JERZY GRUZA

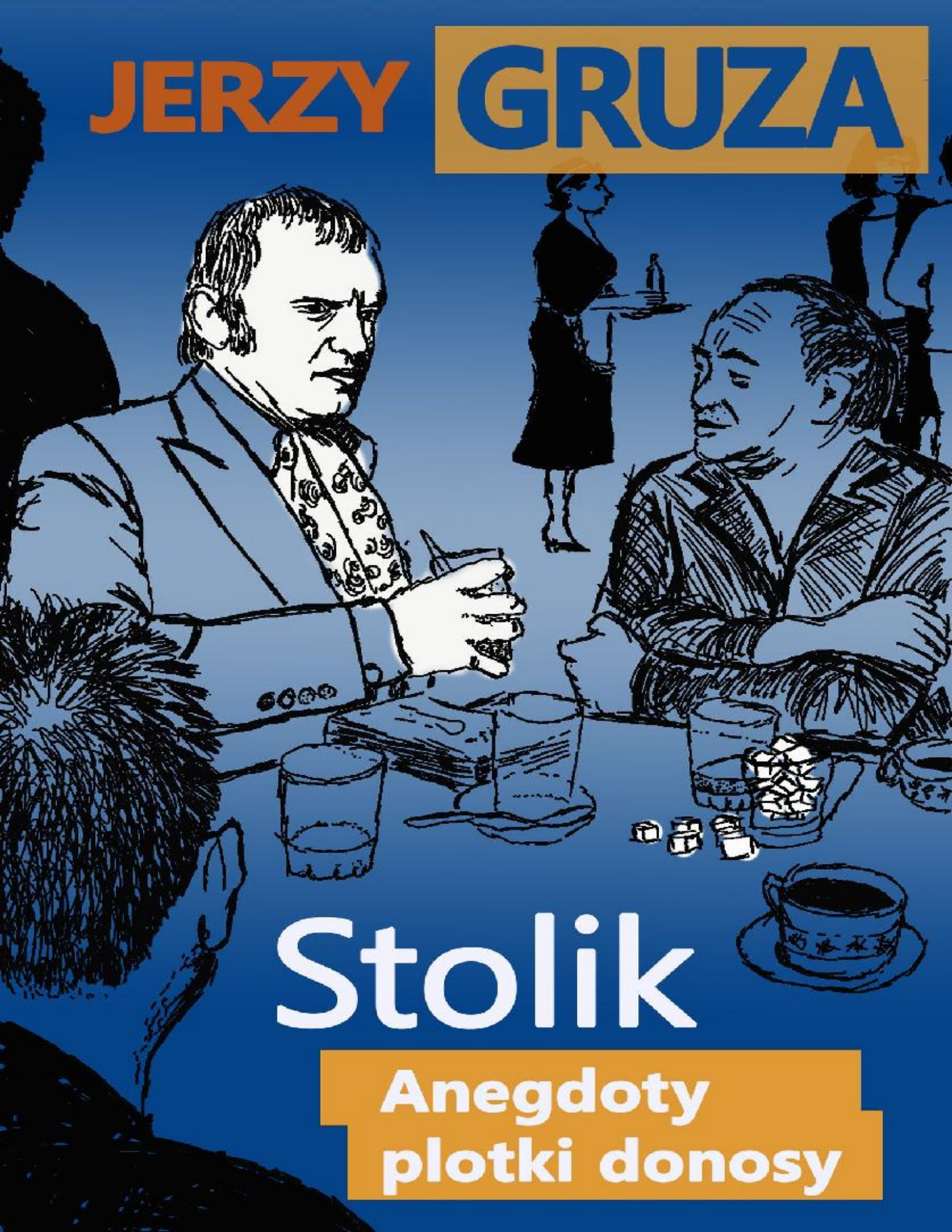

Stolik

Anegdoty plotki donosy

Jerzy Gruza

STOLIK
ANEGDOTY, PLOTKI, DONOSY

Wydawnictwo Estymator
www.estymator.net.pl
Warszawa 2021

ISBN: 978-83-66719-51-4
Copyright © Jerzy Gruza 2010
Projekt okładki: Iwona Białas

Chciałbym do końca
załatwić się w literaturze

Lech Wałęsa

JERZY GRUZA

Od pewnego czasu swoją datę urodzenia podaje w cyfrach rzymskich IV.IV.MCMXXXII, bo tylko nieliczni potrafią ją odczytać.

Reżyser *Czterdziestolatka, Wojny domowej, Tygrysów Europy*, spektakli Teatru Telewizji i Festiwalu Piosenki w Sopocie.

Scenarzysta większości swoich filmów i seriali.

Twórca programów telewizyjnych *Poznajmy się, Małżeństwo doskonałe*.

Dyrektor Teatru Muzycznego w Gdyni: *Skrzypek na dachu, Jesus Christ Superstar, Les Miserables*.

Autor książek *40 lat minęło jak jeden dzień, Człowiek z wieszakiem, Telewizyjny alfabet wspomnień, Pasaże warszawskie, Głową o stolik, Najpiękniejsza, Rok osła*.

Były tenisista, aktor, prestidigitator.

Z OKŁADKI WERSJI PAPIEROWEJ

Bardzo elegancki i wykształcony znajomy na wejście pięknej kobiety:
– Widzę, że pani zadała sobie trud osłodzenia mojej samotności...
– Jaki pan miły.
– Rozbieraj się dziwko! Ale już!!!
Zdarł z niej futro, poszarpał suknię i porwał pończochy.
Po czym padł ze zmęczenia.
Nie miał już siły na gwałt.

Ambitny aktor wybierał imię dla swego syna: Oskar, Wiktor, Feliks. Żona aktora, znana gwiazda telenoweli, żałowała, że nie urodziła im się córka, mogłaby mieć na imię Telekamera.

Spotkali się w łóżku. Nie wiedział, że będzie tak, jakby rzucał zapałkę na wysuszoną upalnym latem ściółkę. Uciekał w popłochu, a ona płonęła. Wyrwał gaśnicę ze ściany i pianą próbował gasić. Można też było pianą do golenia „Gillette”. Podpalacz. Podpalić łatwo, zgasić coraz trudniej.

Reklama Bio... Hormony. Reklamują, że można mieć przyjemność przy stosunku płciowym. Pan Bóg to wymyślił bardzo dawno.

Donosy na siebie, plotki o innych, zmyślenia własne.

Uwielbiam książki bez akcji, bez początku, końca i chronologicznej kolejności. Lubię otworzyć książkę w dowolnym miejscu i czytać gdziekolwiek. W pociągu, w parku, przed snem. Rzucić ją w kąt, znaleźć po roku i znów czytać.

Może się wydawać, że trudniej tak się czyta, ale na pewno łatwiej... pisze.

Bar.

Przychodzi January, który trzy czwarte życia spędził w klubach, restauracjach i na bankietach. Zamawia drinka u barmana:

– Panie Robercie, dzisiaj poproszę tylko odrobinę czystej wódki, bo mam nadciśnienie, sok grejpfrutowy, bo zrzuca zły cholesterol, odrobinę cytryny, bo ma witaminę C naturalnie absorbowaną, wodę niegazowaną, bo mi się potem odbija, sztucznie nie mineralizowaną, bo lekarz gastrolog profesor Butruk mnie przed taką wodą kategorycznie przestrzegał, i jedynie odrobinę lodu, bo gardło mam po anginie.

Siedzący obok młody człowiek mruknął do swojej dziewczyny:

– I takiej starości się boję.

Ja też.

Były stoliki niskie i wysokie, z marmurowym blatem, małe, szerokie, kwadratowe, okrągłe... W SPATiF-ie, Związku Literatów, w PIW-ie, na placu Trzech Krzyży, w „Szpilkach", u Bliklego...

Klub „Czytelnika", właściwie klub literatów, po zamknięciu tego na Krakowskim Przedmieściu, mieści się przy ulicy Wiejskiej, niedaleko Sejmu.

Od lat piło się tam kawę w południe, a potem jadło obiad, który wydawano względnie niezamożnej inteligencji warszawskiej. Sala jadalna często stawała się miejscem promocji książek wydawanych przez spółdzielnię „Czytelnik", spotkań z autorami, a w powszedni dzień była rodzajem domu, w którym przyjmowano gości, spotykano się, siadano do stolików, obgadując wydarzenia, opowiadając plotki, pochłaniając tanie dania.

Przejmujący głos pań wydających potrawy: „sznycel do odebrania", „pierogi z mięsem", „wątróbka", „pomidorowa z makaronem"...

elektryzował gości, którzy zrywali się od stolików i biegli w stronę bufetu.

Ale podczas konsumpcji i później przy herbacie toczono zawzięte pojedynki na opinie, poglądy, oceny tego, co się wydarzyło w polityce, w teatrze, w kinie oraz... w życiu towarzyskim i osobistym. Wszystko się dzieje równolegle. To jest najbardziej przerażające!

Dzisiaj mamy wysyp „stolikowych" wspomnień z różnych miejsc. Liczba wydanych książek, felietonów, programów telewizyjnych jest ogromna. Zwykle młodzi wspominają starych. Powtarzają poprzekręcane już przez kolejnych wspominaczy anegdoty i dykteryjki.

Konwicki rzadko wspomina Konwickiego.

Trudno.

Piszę.

W klubie „Czytelnika" siadałem przy stoliku pod słupem. Tam gdzie był/jest? stolik Henryka Berezy, uznanego krytyka literackiego. Miejsce na zasadzie własności, ale słabej, nie takiej, jaką kiedyś miewał Antoni Słonimski, Irena Szymańska czy Tadeusz Konwicki. Siadywał tu ostatnio Gustaw Holoubek, Janusz Głowacki, Kazio Kutz, Filip Bajon, sporadycznie Kondratiuk Janusz i kobiety przyjeżdżające z Paryża albo Łodzi. Siadywali też dochodzący: redaktor „Twórczości", plastyk Andrzej Vogt, który obżerał się pomimo szczupłości stolika, pił piwo i mlaskał przy jedzeniu.

Głowacki go nienawidził. Miał na niego jakieś uczulenie.

Bereza znosił obcych z podziwu godną obojętnością. Najwyżej wstawał i wychodził. Jest to człowiek łagodny, o gołębim sercu.

A Kazio Kutz niegrzeczny. Nie wstał, gdy prezydent przyszedł z orędziem do Sejmu. Potem, podobno, podczas przemówienia czytał „Gazetę Wyborczą".

Wybrał.

Ksiądz Luter to za dobre nazwisko jak na katolickiego kapłana, wydawało mi się, że to raczej pseudonim. Kiedyś siadał obok nas, reagował na głośne żarty i stopniowo zbliżał się, ośmielał, i dzięki Berezie został już na stałe przy jego stoliku.

Współcelebrował mszę na pogrzebie Holoubka, ale zniknął mi gdzieś ostatnio.

Nie lubił, gdy cytowałem Radio Maryja. Powiedziałem mu, że „obejmuję go adopcją duchową", jak zapłodnione komórki od samego

poczęcia, wynalazek tak lansowany w radiu ojca Tadeusza.
Wściekał się.

Kiedy umarł Gustaw, przy stoliku też wszystko umarło.
Rola jednostki w historii!
Nawet stolika.

A więc *dramatis personae*, czyli Osoby: Autor, Krytyk, Literat, Senator, Ksiądz i najważniejszy z nich Wielki Aktor na scenie i przy stoliku – Gustaw Holoubek. Wszyscy wybitni.

Nikomu nie było wolno wstawać od stolika jako pierwszemu. – A to głupi ch...! - komentowali za odchodzącym koledzy. Gombrowicz dawniej mówił: – A to osieł! Jeden starozakonny łagodniej: – Oszołek.

Marta uderzyła się w głowę. Objawy obserwowałem już od pięciu lat.
W niedzielę przyjeżdża z zabawy na Wybrzeżu. Oczy podkrążone, ziewa, oglądamy finały mistrzostw Europy. Grecy mistrzami! Całuje mnie judaszowsko na pożegnanie.
– Może się jutro jakoś zderzymy.
– Może.
Jak mam jej powiedzieć, że to koniec?

Obudziłem się rano. Dzwonek do drzwi. Listonosz. Nie przyniósł mi jednak jak zwykle wezwania do sądu, wydziału finansowego, komornika, ale pierwszą emeryturę. Mój Boże, co za ulga! Jestem, jak mawiał ten aktor na P, mniejsza z tym... Jestem już Emerita Heyworth! Jaka swoboda. Mogę być od dzisiaj wszystkim! Bez żadnych konsekwencji! Mogę być prawicowcem, mogę być lewicowcem, antysemitą, filosemitą, katolikiem, protestantem, zostać biskupem we własnym Kościele, który założę, gdy znajdę dwudziestu pięciu sąsiadów.
Wszystko przede mną!

Patrzę do gazety. Dział restauracji, dubbingu i dyskotek. Jakież to miłe uczucie być wolnym i nieskrępowanym. Nie zależeć od opinii jakichś szefów, kierowników, dyrektorów i przełożonych. ZUS nie interesuje się, jak użyjemy jego pieniędzy, czy zgodnie z moralnością, prawem i obyczajem należnym emerytowi.

Jedyne, co mnie uzależnia i krępuje, to wysokość tej emerytury. Tysiąc pięćdziesiąt złotych, które wypłacił mi listonosz. Boże!

Muszę zaplanować, co pierwsze?

Młode kobiety są kosztowne. Rozpuszczone przez inwestorów zagranicznych i rodzimych, polujących po klubach i dyskotekach, piją tylko zachodnie trunki. Gdzież te czasy, kiedy można się było umówić na kawę, miło porozmawiać, opowiedzieć fragment życiorysu i przelotnie dotknąć kolana, ręki albo musnąć pukiel jasnych włosów. Teraz *Margherita*, *Tropicana*, *Sunrise*, złoty *Johnnie Walker* albo 24-letni *Chivas*, które na dodatek mieszają z coca-colą.

Ach, jak one się znają na tych markach. Tak jak myśmy za okupacji znali się na znaczkach pocztowych, a za komuny na kartkach na benzynę.

Tak to wygląda.

Młodzi, młodym, dla młodych. Pieniądze, poparcie, nagrody z państwowej kasy. Trzeba to zaskarżyć do Strasburga... tak jak antysemityzm, rasizm, bojkot kobiet... ze względu na płeć i preferencje seksualne.

Wnuczka Wojtka Frykowskiego, słynna „Frytka", na promocji szampana Moët & Chandon w klubie „Platinium":

– Gdzie tu jest, do kurwy nędzy, toaleta dla VIP-ów?

Liczba oddających mocz pięknych, młodych kobiet była rzeczywiście zastraszająca. I „Frytka" przebrana za Marię Antoninę miała rację, żądając jakiejś klasowej segregacji w sikaniu.

– A propos – mówi Gustaw przy stoliku – był w Krakowie taki starozakonny, co miał burdel. On tak radził znajomemu mego ojca: „Pan sobie bierz kurwe stare. Ona ma *t e m p o*, ona ma *h u m a n i t e t* i nie jest pazerna na ten Gulden".

„Gulden", wiem, co to jest, „humanitet" mniej więcej, ale co znaczy „tempo"? Może chodzi o to, że starsza ma więcej czasu, a może o właściwe powolne tempo stosunku seksualnego? Goim Talmudu nie pojmie.

Wróciłem nad ranem. Zostało mi z emerytury tylko dwadzieścia pięć złotych. Następnego dnia kupię paczkę chipsów. Zamknę się w domu i poczekam do pierwszego.

Pożyczę od kogoś. Ale od kogo? Przerzucam w myślach listę kolegów. Znam kilku, co mają o sto złotych większą. Ale są w gorszej sytuacji, bo mają dorosłe dzieci na utrzymaniu. Nie znam nikogo ze słynnego WRON-u, oni podobno mają wysokie emerytury.

Oczywiście, kłamię! Kłamię bezczelnie... Nie żyję z emerytury. A moje wydatki „brutto" nie zgadzają się z zarobkami „netto".

Widziałem dzisiaj program o człowieku, którego obserwowano kamerą pokazującą zużycie energii przez poszczególne organy mężczyzny. Okazuje się, że mózg pochłania największy procent energii, którą człowiek ma z posiłków i minerałów.

Nie jestem pewien, czy dotyczy to mnie.

Marta chce iść na pielgrzymkę do Częstochowy. Martwię się, żeby nie poznała jakiegoś biskupa albo co gorsze kleryka. Jej kolega po takiej pielgrzymce od razu pojechał na Gay Parade do Berlina.

Nie chcę wspominać! Nic, co jest przeszłością, nic, co ma być przyszłością, która jest w moim wieku gorsza trzysta razy od przeszłości. Chcę być tu i teraz. A co z paradoksem Zenona, który uważa, że nie ma ani teraźniejszości, ani ruchu?

Małpy. Śpią, jedzą, pierdolą, bawią się... Patrzą na ludzi jak na idiotów. Ale też się nudzą, zapadają w takie bezmyślne „zamrożenie woli" (Nietzsche). Cytat. Widziałem, jak aktorzy grają małpy. Trudne to i piękne. Że też nie chce im się wyprostować.

Jak ludzie chodzą? Po chodzie można poznać charakter, zdolności, determinację, powodzenie lub zbliżającą się depresję.

Obserwacja chodu ludzkiego. Pijanego, kochającego inaczej, złodzieja na dworcu, bandyty w akcji... On unosi się nad ziemią. W Instytucie Onkologii chorzy na ostatnim oddziale chodzą, jakby bali się ściany, która zjawia się w wyobraźni przed nimi.

Często stoją w bezruchu i boją się ruszyć przed siebie.

Aktorzy dwudziestego pierwszego wieku. Bezrobotny aktor bierze udział w grach komputerowych. Zakładają mu na ręce, nogi, biodra, głowę czujniki, a on się porusza według scenariusza np. jako amant, karzeł albo troglodyta, potem technik komputerowy dorabia mu wyraz twarzy, głowę, włosy, resztę członków, ubiera go i charakteryzuje graficznie. Ruch ciała

jest sprowadzony do kilkunastu obserwowanych przez komputer punktów. To tak jakby stary szmirus posługiwał się na estradzie tylko kilkoma gestami, słowami, minami.

Znam takich aktorów.

Kolczykowanie świń. System Ajax. Dotychczas znałem Ajax jako drużynę piłkarską. Okazuje się, że nie nadążamy z 50 punktami dostosowawczymi do Europy. Czy ktoś opracował plan? A co by było, gdybyśmy wypięli się na nich dupą? Nic. Tylko straszą nas Łukaszenką. Żart: podobno krowom też będziemy zakładać kolczyki. Słusznie, najpierw biżuteria, a dopiero potem przyjemność.

Kolczyki dla świń i krów to znów nie taka nowość. Zakładał im je Hitler w Generalnej Guberni. Też miał ideę Zjednoczonej Europy. We własnym stylu – mówi znajomy eurosceptyk.

Łóżko elektromagnetyczne w Gliwicach. Regeneruje stare komórki i orientuje je we właściwym kierunku. Komórka nie wie, gdzie jest i co ma robić, dopiero doktor z Gliwic jej pokaże, za trzy i pół tysiąca złotych. Przypomina mi się zdarzenie w Nowym Jorku: jednego starozakonnego, który prowadził słynny sklep ze wszystkim, czego Polak ze Wschodu potrzebował z Zachodu, zapytano:

– Panie szefie, to radio bardzo mi się podoba, ale czy ono będzie grało w Polsce?

– Oczywiście! Radio nie wie, gdzie jest.

A komórka wie?

Wykupiłem książkę z moimi telewizyjnymi felietonami. Po 15 zł sztuka. Próbowano na niej ceny zaporowej bez żadnej reklamy – po 45 zł. Wykupię cały nakład, niech stoi u mnie na półce. Świetna okazja, będę ją dawał na prezenty okolicznościowe. Taniej niż banalne kwiaty.

Każda promocja musi dorównywać kosztom produkcji: filmu, sztuki, książki, syna lub córki oraz wnuka.

Wszędzie są koszty! Mówił mi o tym król Gastronomii Wybrzeżowej Mazurek. Masz młodą kochankę – koszty, masz starą żonę – jeszcze większe koszty, masz samochód – koszty, nie masz samochodu – też koszty. Nawet jak czegoś nie masz, to masz z tego powodu koszty.

Doświadczony.

Konsekwencje. Nigdy nie sprawiło mi kłopotu to, czego nie powiedziałem, nie napisałem lub nie podpisałem. Odwrotnie – prawie zawsze.

Jeszcze jedna moja złota myśl z tombaku.

Człowiek pseudonim. „Koń" żył z kart. Całe życie grał w prywatnych mieszkaniach, spelunkach. Z kim? Z kucharzem Bieruta, szoferem Bieruta, trzema ambasadorami dawnego PRL-u.

– Lubiłem z nimi wygrywać – mówił.

Idzie ulicą. Światła, reflektory, statyści, amerykańscy aktorzy czekają na wejście na plan.

– Co za film tu kręcą? – pyta „Koń".

– *Noc generałów*.

– A, to już widziałem.

Odchodzi w kierunku Bristolu.

Dlaczego się ożenił?

Z obawy przed zakażeniem. Ojciec jego narzeczonej chciał mu odrąbać głowę zardzewiałą siekierą, kiedy zastał z nim w łóżku własną córkę.

Dlaczego się rozwiódł?

Poszedł do lekarza. Wraca i mówi do żony:

– Nigdy nie wierzyłaś mi, że jestem chory, a lekarz zbadał mnie i odkrył, że jestem hipochondrykiem.

„Czwartego maja przyszłego roku, to będzie koniec Polski. Unia nas zeżre. Tysiąc lat walki o niepodległość, wolność, swobodę i godne życie zakończone totalną klęską" – bełkocze pijany w SPATiF-ie.

Pożywiom, uwidim!

Widim.

Mija dwadzieścia lat.

Cała epoka. Jakby od kamienia łupanego do iPhone'a.

Nie do wiary!

iPhone wpadł mi do wanny z wodą.

Tragedia.

Zostałem sam.

God *bless America*! – mówi papież Bushowi. Na ulicach Rzymu leją się z policją setki młodych ludzi w proteście przeciw Amerykanom w Iraku.

A następnego dnia papieżowi w Bernie krzyczą: „Viva Papa!”.

Jedno wyklucza drugie.

Świat zwariował.

Albo ja.

Wspólnie zanieśli walizkę pieniędzy za Bagsika, aby mógł odpowiadać z wolnej stopy. Wpłacili kaucję.

Gdy Bagsik znalazł się po wyroku w więzieniu, jeden z nich przyszedł do sądu już o ósmej rano – po zwrot pieniędzy. Odebrał i schował. Nazajutrz odbył się sąd koleżeński polskich kapitalistów.

– Gdzie są pieniądze?

– Zwinąłem.

– Jak mogłeś?!

– Jak ja bym nie zapierdolił, to zrobiłby to tamten – logicznie argumentował ten, co wziął walizkę pieniędzy. Wiedzieli, że jest to wysoce prawdopodobne.

Ale mu nie wybaczyli. Nie został zaproszony na doroczne polowanie na lisa.

Był na nartach w Dolomitach.

Podczas szalonego zjazdu gubi skipass za 130 euro. Jego dziewczyna wsiada na wyciąg i wypatruje zguby z gondoli kolejki.

Znalazła. Rzuca z wyciągu czarną rękawiczkę, aby zaznaczyć miejsce na stoku. Zjeżdża i przywozi mu karnet! Dzielna! Oczywiście chce równowagi w kolacjach i trunkach.

Wydaje dwa razy tyle, ile kosztowałby go nowy skipass, ale z przyjemnością. Chciałby, aby opiekowała się nim do końca życia... jej.

Jaki to straszny egoizm mężczyzny w „pewnym wieku”. Co on jej daje? Nie wiem, czy wytrzyma jego fobie, zazdrości, zrzędzenia. A może też będzie potrzebowała pomocy, bo już dawno skończyła trzydziestkę i zacznie się sypać? Wspólna starość na stokach w Unii Europejskiej zapowiada się optymistycznie.

On obiecuje, że po powrocie zrobi listę mężczyzn, z którymi ona może się kontaktować.

Mężczyzn o następujących dolegliwościach: brak nerki, jedno płuco, arytmia, wycięty gruczoł krokowy, stendy w żyłach albo tętnicach, sztuczne zastawki, okrężnica, bóle żołądka i wątroby.

Na wszelki wypadek przepisze sobie tę listę. Dobry pomysł z tymi chorobami konkurentów.

Ona mówi, że musi mieć znajomych w jej wieku, bo jak jego zabraknie, nie będzie miała do kogo zadzwonić.

I płacze.

Usnąłem na łóżku podczas masażu ezoterycznego. Obudziłem się też z płaczem.

– Płacz, płacz – mówi ruda psychoterapeutka. – Nie wstydź się. U mnie wszyscy mężczyźni płaczą.

Powłócząc ciężkimi nogami, wróciłem do „Czytelnika".

Przy stoliku dyskusja.

Powszechna jazda na nieboszczykach. Jak długo może to trwać? Bardzo długo. Wildstein na Pyjasie. Umer na Osieckiej. Odcinają kupony, pieniądze, pozycje, poważanie. SLD na Blidzie będzie jeździć długo. Katolicy ortodoksi na kobiecie, która nie pozwoliła się naświetlać i zmarła. Będzie świętą. Jeżdżą na Katyniu. Na trupie Sikorskiego. Jeżdżą na 250 tysiącach nieboszczyków z Powstania Warszawskiego. Inteligenci i prawdziwi patrioci to ci, co odwiedzają Muzeum – powiedział ktoś. A ci, co zginęli? Brata mojej matki podczas Powstania niemiecka „rycząca krowa" (zestaw bomb rakietowych) przerzuciła z jednego podwórka na drugie. Podobno zbierali go łopatką.

Stoi tam teraz bank.

Godzinę „W" ogłaszam w sprawie seksu. Stale ją przesuwam. A to ze względu na pogodę, niesprzyjające warunki ciśnieniowe, bóle brzucha, ciekawy program telewizyjny, wreszcie jest!

Okazała się godziną zero.

Słowo *cunnilingus* to nic innego jak tylko seks oralny; czynność zastąpienia leniwej waginy lub leniwego członka ruchliwymi i pełnymi zachłanności wargami ust i wszędobylskiego języka.

A brzmi tak uczenie.

„Kozi bobek i ciało Miss Polonia jest tylko sezonowym zbiorem cząstek materii" – z wykładu Telewizyjnego Uniwersytetu, czyli Edusatu.

Tak dużo i głośno ludzie się śmieją. Drażni mnie to. Chyba stopniowo zapadam na depresję, wariactwo, ponuractwo, smutek.

Pamiętam na rogu MDM-u i Pięknej czy Koszykowej – bo Bierut tak popierdolił te ulice, że nie wiadomo, która jest która – w tych socrealistycznych domach ukazywała się w oknie pewna kobieta. W wieczornej ciszy bluzgała wymysłami na spacerujące pary, przechodniów, przejeżdżające samochody, ludzi czekających na przystanku autobusowym... Wymyślała, obrażała ich wyzwiskami w bezsilnej rozpaczy samotnej starej kobiety.

Czasami stawałem i słuchałem. Teraz rozumiem. Nie dawała sobie rady z beznadzieją egzystencji w tym domu, z zewnątrz ozdobionym figurkami szczęśliwych robotników, pyzatych i cycatych kobiet robotnic, zadowolonych dzieci socjalizmu. A w środku? Brudne, odrapane klatki schodowe, zepsute windy, smród zsypów i odwieczny strach przed samotnością, śmiercią, długotrwałą chorobą, pustką.

Rozkwitała wiosna, a ona krzyczała z okna w nienawiści do innych ludzi. Za co? Że chodzą, kochają, śmieją się, bawią, nie myślą o tym, co będzie jutro.

Cierpienie. Najbardziej cierpię u dentysty, kiedy nie mogę zabrać głosu w dyskusji pomiędzy asystentką a lekarką o telenoweli, którą nadawali wczoraj w telewizji. Jak smażyć naleśniki i dlaczego ksiądz Łukasz nie poświęcił majonezu w *Plebanii*. Mam gębę pełną ich narzędzi.

Zamierzają wsadzić jakiegoś Andrzeja O. na dziesięć lat, bo chciał handlować bronią dla Iraku bez pozwolenia, mając tylko... pięciu pracowników!

Nie do pomyślenia! Pięciu!

Sami mieli stu. Dwustu. I też im gówno wyszło.

Amerykanie ich wykiszkowali.

Z okazji piętnastolecia Michnik drukuje pierwszą stronę pierwszego numeru „GW”. Przeglądam program telewizji.

Porównuję z programem na dzisiaj. Żenada. Tam dopiero „misja”! Poza *Dziennikiem*, o którym wszyscy wiedzieli, że kłamie, i czytali między wierszami – reszta jakaś taka szlachetna: historia życia Emila Zoli, w poniedziałkowym Teatrze Telewizji *Jakubowski i pułkownik*. Nie wiem, czy dzisiaj LPR pozwoliłaby na występ pułkownika Wojska Polskiego w

mundurze w zestawieniu niezbyt korzystnym – bo z Żydem – uciekających razem przed Niemcami. Już nie pamiętam, czy Dziewoński w roli Żyda, czy w roli pułkownika? I w jednym, i w drugim byłby świetny, ale to chyba grał Bista z Pietraszakiem. W ogóle program Jedynki zaczynał się od rozpatrywania – podczas lekcji fizyki – *Siły w polu elektromagnetycznym*, a Dwójki – od nauki języka niemieckiego(!).

Dzisiaj amerykańskiego. Od góry do dołu same produkcje zza Atlantyku i telenowele. Wszystko na „formatach", licencjach. Polskich autorów na palcach jednej ręki można policzyć.

Chuj z nimi!

Byłem wczoraj u lekarki Mongołki. Badanie pulsu. Zapisałem się pod pseudonimem „Edward". W medycynie tybetańskiej są podobno 32 określenia na rodzaj pulsu serca. Miałem nadzieję, że mój jest jak „turlanie się pereł po judeitowej tacy".

Mongołka dała mi zioła. Wołałbym tę asystentkę, co tłumaczyła na polski panią doktor z Tybetu. Piękna i delikatna. Płaci się po wizycie. Dowód zaufania do pacjenta. Polski lekarz nie przyjmie bez kwitu z rejestracji, że opłacony jest z góry.

Nie mogę zapomnieć urody tej tłumaczki.

Azja. Dopiero w Tajlandii zrozumiałem piękno Wschodu. Było już niestety za późno.

Stres.

Na stres to ja jem. Inni chodzą na kurwy, drudzy piją, ktoś gra w karty, zbiera stare monety, podmacowuje małolaty, błąka się po Dworcu Centralnym w poszukiwaniu bezdomnych chłopców, bije żonę. Ja chcę naleśniki z dżemem.

Banał.

Trudno.

Sen.

Idzie nowa fala. Ślub Mikołaja. Kiziuk Karel. Łapa. Chwytny. Zuzia i wywiad z Demską... Bo siedział z nią na ławce. Popełnię samobójstwo, dzwoni Kiziuk z pogotowia. Brat telewizor. Olbrychski niech wygra w tenisa. Konicowa. Pod laden. Istnieje tylko teraźniejszość! Znana aktorka: – A może jutro złamię nogę. I co wtedy? Gustaw: – Jajko to wyskrobane

nienarodzone kurczę. Jaka jest różnica między Brademem Pittem a ojcem Rydzykiem? Lotnik patrzył tylko na mnie.

Zazdrość jest najbardziej bolesna, gdy się śni. Podwójnie mocna.

Na placu Bankowym. Kupuję książki do hiszpańskiego z koleżanką z kursu. Zacząłem się uczyć hiszpańskiego dla przyjemności.

Ekspedient:

– Czy pan jest studentem?

– Tak.

– Bo dyskont mamy tylko dla studentów.

– Jestem studentem.

– W tym wieku?

– Tak! Chuju.

Płacę i wychodzimy.

– Co koleżanka preferuje w seksie? – pytam.

– Jestem jeszcze młoda. Wszystko przede mną.

– Rozumiem.

– Jestem gotowa na propozycje, wszystko mnie interesuje.

Nie pytałem, czy ma szybko orgazm. Czy trzeba się męczyć. A tu lekarz mówił, że trzeba unikać pierdolenia na bezdechu. Oddychać! Oddychać stale pełną piersią. Wtedy uniknie się zejścia na dupie. O tym jest film z Jackiem Nicholsonem *Lepiej późno niż później*.

Pocałunek w samochodzie przy pożegnaniu z koleżanką z kursu nie był łatwy. Trzeba zdjąć bejsbolówkę z daszkiem i okulary. Wcześniej przygotowałem się logistycznie do tej operacji. Odwróciłem czapkę daszkiem do tylu, zdjąłem okulary pod pozorem przetarcia i dopiero wykonaliśmy ten obrzęd.

Po zdjęciu okularów mylę ze zdenerwowania ulice i zamiast jechać do centrum, to się od niego oddalam. Siąpi deszcz ze śniegiem. Jadę w przeciwnym kierunku. Na Radzymin.

Przez cały czas tego spotkania przywoływałem jakąś dawną formę, maskę, odruch zatrzymany w czasie... Jeszcze żyjemy, powtarzamy schemat podrywu, tylko nie kończymy sprawy tak jak dawniej. Mnożymy wątpliwości: ale po co... na chuj mi to... bez sensu... będzie gadać od rzeczy... może jest brudna... brzydko pachnie...

Mądrzeję. Inteligencja to tylko sporadyczne unikanie robienia głupstw.

– Marta wyjechała.

– Gdzie?

– Do Sopotu na jeden dzień, a właściwie kilka nocy.

– Dziwisz się? Ile ma lat?

– Nie jest stara.

– To ma prawo chyba do śmiechu i zabawy?!

– Obiecała, że będzie dzwonić. Wyłączyłem telefon. Nie chcę meldunków z kolejnych klubów.

Po kilku drinkach założyliśmy ze znajomymi Bractwo Wątrobian. Jest też Siostra Menopauza i Siostra Becia. Ściśle popieramy się nawzajem. Jeden o drugim mówi dobrze, z nazwiskiem...

– Jak brat Boguś mówi do ciebie, Beciu, zdrobniale w łóżku? – pyta Siostra Menopauza.

– Brat Boguś mówi do mnie zdrobniale: – Ty dziwko pieprzona! Wtedy mu staje.

Siostra Menopauza z Becią przy stole pokazują sobie sutki. Zazdrość na tle firm biustonoszowych.

Brat Boguś o matce i babci... że nigdy by sobie nie pozwoliły na coś tak niekulturalnego.

Profesora arabistę okrutnie demaskuje Siostra Menopauza. Okazuje się, że arabista nie mówi po arabsku, nie ma matury i nigdy nie był poza Polską, a we wszystkich dziennikach i programach komentuje wojnę w Iraku. Powinna zająć się tym jakaś komisja śledcza, a nie tylko Kaczmarek, Kaczmarek albo Krauze. Oczywiście Siostra Menopauza kpi z profesora bezpodstawnie, bo od lat jest w nim zakochana miłością... matczyną.

Zjawia się Gwiazdor. Zamiera wszystko. Pieprzy coś o Kazimierzu nad Wisłą, angażowaniu, opowiada jedną anegdotę o Żydzie w Izraelu, co mu proponował wszystko za darmo, tylko nie zaproponował honorarium za występ.

– Otóż to! – mówi Siostra Menopauza.

– Byłem też na premierze teatralnej, którą zaprezentował nam producent... gładzi tynkowej. Duże przeżycie!

Jakie przyjemne są wibracje telefonu komórkowego, gdy dzwoni młoda kobieta, a mój aparat jest w kieszeni spodni.

– Unikaj telefonu komórkowego. Dzwoń tylko w razie pożaru do straży, na policję i do mnie, gdy będziesz w potrzebie duchowego wsparcia – mówi

Menopauza.

– Masz jakiegoś przyjaciela, któremu możesz powiedzieć to, co mnie mówisz?

– Moim najlepszym przyjacielem jest laptop – oświadczam. – Gdy się zepsuł, byłem z nim u lekarza w serwisie. Było mnóstwo osób z chorymi laptopami. Czułem się jak w klinice dla dzieci albo zwierząt.

Odczłowieczenie. Gorszy słuch, słabszy wzrok, wolniejszy krok, zadyszka.

Mam jakieś sadomasochistyczne upodobanie do upajania się niedołężnością. Jaka ulga! Nie muszę być pierwszy, lepszy, dowcipniejszy, zwycięski. Mam przyjemność mówienia *pas*. Niepodejmowania próby.

– A, to już do dupy. Takie jest moje zdanie i całkowicie się z nim zgadzam – stwierdza Brat Boguś.

Przyjęcie imieninowe u Artura. Przy wyjściu spotykam właściciela kilku browarów, wymieniamy uścisk dłoni. Arturowi daję książkę, którą mu ofiarowałem także w zeszłym roku. Jest to moja książka. – Będziesz ją dostawał co roku na imieniny, dopóki jej nie przeczytasz. Trwa to już pięć lat. Jeszcze jej nie przeczytał. W przyszłym roku dostanie ją znowu. Aż do wyczerpania nakładu. Okazuje się, że właściciel browarów, z którym się witałem, dostał po mordzie od innego biznesmena, ponieważ jest mu winien 100 tysięcy papierów. Żona uderzonego chlusta w twarz tamtemu czerwonym winem. Ten zdejmuje koszulę i chodzi półnago.

January ma znów opowiedzieć świetny dowcip, ale zapomina o czym. Kiedyś dzwoniła do mnie Konicowa, mówiąc, że January tak schudł, że ktoś pomylił go z nią.

Na przyjęcie przyjeżdżają z głosowania nad wnioskiem Błochowiak w Sejmie. Rozpalone twarze posłów z SLD. Wygrał nieoczekiwanie Ziobro, bo oni zdaje się pędzili na to przyjęcie i opuścili salę, gdy LPR złożyła jakiś wniosek o nadzwyczajne głosowanie.

Wachowski mówi, że dzwonił do niego Wałęsa ze skargą, że dostał policzek od narodu polskiego. Chodzi o to, że Gierek zajął pierwsze miejsce w plebiscycie na najpopularniejszego przywódcę w ostatniej historii Polski. Wałęsa dopiero na drugim miejscu, a potem zdaje się Kwaśniewski, Gomułka...

– Startuj w następnych wyborach na prezydenta RP, dostaniesz drugi – miał mu powiedzieć Mietek.

Tymczasem January przypomina sobie znany wszystkim dowcip. Wraca pijany mąż do domu. Dialog:

– Piłeś!

– Nie piłem.

– Piłeś!

– Nie piłem.

– Piłeś!

– Nie!!!

– To powiedz: Gibraltar.

– Piłem.

Na dobitkę January przypomina sobie jeden ze szmoncesów.

– Pan Rozenkranc w domu?

– Jeszcze w domu.

– Co znaczy jeszcze?

– Za godzinę wyprowadzenie zwłok.

Wyprowadzam się z tego przyjęcia i idę dalej.

Awantura, czy można mieć swoje zdanie na temat, kto może leżeć Na Skałce. Podali wiadomość, że Miłosza tam położą, ale nie będzie konduktu. Jak niepostrzeżenie przetransportują poetę z kościoła do grobu? Zadanie dla logistyków wojskowych albo wywiadów. Najlepiej CIA. Patrz Kukliński. Na szczęście wszystko skończyło się szczęśliwie. Nie oglądałem pogrzebu w telewizji. Leżałem pod kroplówką z magnezu i potasu. Akurat tyle, ile trwała msza, kondukt i pogrzeb. Podczas wieczornicy, kiedy recytowano wiersze poety, spałem monitorowany przez elektrokardiogram.

Z ostatniego tomu Prousta. „Starość: poczucie szczudeł zamiast nóg”.

Bywanie i niebywanie na spędach towarzyskich. „Browarek” z Pałacu Prezydenckiego opowiada, jak wmawiał facetowi, że było jakieś ważne przyjęcie. Fikcyjne. Tamten się załamał, zaczął skrupulatnie prowadzić śledztwo, dlaczego go nie zaproszono. Uznał, że to jego wina, początek końca jego kariery... Zadręczał się i rozkleił się kompletnie. Zapadł psychicznie. Opuścił zawodowo. Wreszcie wyrzucili go ze wszystkiego. Materiał dla Gogola albo Czechowa.

Zwierzęta.

Nie czytają, nie wiedzą, nie oglądają, nie bywają.

– Człowiek nie jest zwierzęciem. Takie jest moje zdanie i całkowicie je popieram – mówi Brat Boguś.

– Arystokracja? Janek Zamoyski opowiada, że jak jego dziadek pisał listy z Francji, to podpisywał: Zamoyski z Paryża pod Wersalem.

Taki punkt odniesienia.

Na urodzinach celebryty.

Stale mylę ważnych facetów – tym razem prezesa Orlenu z mniej znanym prezesem zupełnie innej firmy. Przedstawiam mu plany, które dotyczą tamtego. Zamiast stacji benzynowych w Niemczech dowiaduje się, że buduje budynek z dziesięcioma restauracjami. Bez przerwy mówi do mnie: – Rozumiemy się?

Po tym poznałem, że to ktoś inny.

Po tym refrenie: – Rozumiemy się?

Nie rozumiemy się.

Jutro do lekarza na kręgosłup. Fatalne prześwietlenie. Opis symptomów porażający. Mam nadzieję, że profesor jakoś mnie pocieszy. Minutę analizuje zdjęcie rentgenowskie, a czterdzieści cztery minuty opowiada o przyjemności jazdy na motorach wodnych po Zatoce Gdańskiej.

Pamiętam wizytę u słynnego profesora, założyciela kliniki w Konstancinie. Obejrzał kliszę ze zdjęciem moich kręgów lędźwiowych.

– Panie, mam to samo. Po kąpieli powieś się pan na drzwiach od łazienki, samo przejdzie.

Po tygodniu czytam w gazecie, że po jakichś fałszywych oskarżeniach sam się powiesił. Ale na gałęzi w parku szpitalnym.

Przeszło mu całkowicie.

„Czy po śmierci można jeszcze wziąć prysznic?" – pyta Woody Allen.

– Wyszłam jak Zawadzka na mydle – mówi mi jedna młoda osoba.

Wyszedłem z siebie.

Najgorszą stroną śmierci jest to, że zostawia taką przewagę nad tobą zawistnym kolegom.

Waham się, czy wydać te notatki, czy zakończyć pisanie, bo zawsze jest taka możliwość, że jeszcze zdarzy się coś nadzwyczajnego, zostanę jakimś ważnym prezesem, wygram w lotto albo przyjdzie wielka miłość szalona i ogłupiająca, druzgocąca całe moje dotychczasowe życie. Nigdy nie powinienem powiedzieć koniec. Żyjemy, dopóki mamy nadzieję. Na co? Właśnie. Kiedy nadzieja umiera, co jeszcze żyje? Nadzieja jest naszą jedyną nadzieją. Banały. Ale jakie prawdziwe.

„Każdy zna prawdę, ale życie polega na tym, by ją ukrywać. Przy pomocy takich afrodyzjaków jak władza, pieniądze, polityka i sztuka, ale też... kolekcji orgazmów" – Woody Allen.

Żałuję, że nie znam greckiego. Z niego cała mądrość świata. Pan Jourdain przejmująco mówi w *Mieszczaninie szlachcicem* Moliera: „O, moi rodzice, jak żeście mnie okrutnie ukrzywdzili, nie posyłając do szkoły!".

– Kto ci tak mówi? – pyta Marta.

– Molier.

– Aha.

Znów powtarzają w telewizji *Mieszczanina szlachcicem* z Kobielą. Poprawiałbym go jeszcze. Ale nie ma już szans. Już inni go macerują na różnych scenach. Tragizm dążenia człowieka do czegoś szlachetniejszego, „wyższego" jest ciągle nieubłaganie śmieszny i... wzruszający. Ile trzeba mieć lat, aby zrozumieć, że to wszystko nie ma najmniejszego znaczenia wobec życia, choroby, śmierci.

Pięknie powiedział G.B. Shaw, gdy ktoś zwrócił mu uwagę, że zachowuje się niegrzecznie: „To, że się urodziłem, jest niegrzeczne, a to, że ciągle żyję, jest największą niegrzecznością".

Jet people. Plotą w kółko to samo, te same bajki, anegdoty, opinie. Jeden ma zawsze najnowsze dowcipy, zawsze w świetnym humorze, obrzucony złotem, w dobrym samochodzie, drugi rebe filmowo-telewizyjny, trzeci... jest kimś jeszcze ważniejszym i nagle pewnego zimowego dnia wszyscy „ci ludzie" spotykają się na korytarzu kliniki gastrologicznej na badaniu odbytu. Kolonoskopii. Przypadek, a może farsa. Żony z nimi. Smutne oblicze diagnosty. Tylu jeszcze musi zajrzeć do dupy. Siostra bierze po kolej każdego do sracza i przepytuje na temat oczyszczenia okrężnicy, aby

jet people nie ufajdali się panu profesorowi na śnieżnobiały fartuch przy zaglądaniu do tyłka.

Gustaw przy stoliku następnego dnia opowiada o pacjencie, któremu zaglądali w kiszkę stolcową.

Profesor do studentki, która bada pacjenta przez wziernik:

– Co pani tam widzi?

– Gówno! – krzyczy wesoło pacjent.

– Nie tylko, nie tylko, proszę pana.

Ale to trzeba mówić jak Holoubek, inaczej nie śmieszy.

W Łodzi była Łódzka Ośmiornica, a tu na korytarzu jest Warszawska Okrężnica.

Jet people wchodzą po kolei do gabinetu doktora profesora, mężczyźni się wstydzą, chowają za żony, choć później już wszyscy, jak na kolejnym bankiecie, rozmawiają i dowcipkują. Ale gdzieś czai się strach przed wyrokiem tego smutnego pana, co im za chwilę zajrzy do dupy.

Może rak?

Brr...

Obsesyjne i świadome obserwowanie organów ciała to daleko zaawansowana choroba. Coraz częściej zastanawiam się, jak funkcjonuje moja wątroba, serce, pęcherz. Świadomość fizjologii własnego ciała napawa przerażeniem. Kiedyś w komorze ciszy, gdy usłyszałem, co dzieje się w środku mnie, jakie dźwięki wydobywają się z tej maszyny, fabryki produkcyjnej ciała, chemicznego laboratorium, urządzeń komunalnych sprzątających, spalających, przetwarzających rzeczy dostarczane przez otwór gębowy – doznałem szoku.

Chciałem uciekać gdzie pieprz rośnie przed piekłem ciała.

A badanie rezonansem pracy serca, kiedy lekarz włączył na głośny odbiór szmery i dźwięki wydawane przez ten narząd!

Przerażające.

Holoubek opowiada przy stoliku o Szlachecie. Słynnym Żydzie pracującym kiedyś w filmie jako kierownik produkcji. Przypomina jego znane: „Potrzebuję dwanaście matek bosek", „Ty albo nigdy!", „Panie Holoubek, niech pan jeszcze śpi. Jest piąta, a zdjęcia zaczynają się o ósmej. Krochmal potrzebny!". Do telefonu na centralę: – Poproszę Czyżewske! Panie Szlachet, Czyżewska nie gra w tym filmie. Ja mówię czyzewska... dreicig proszę.

I zakończenie.

Stary Szlachet, historia powojennego filmu polskiego, stoi gdzieś na planie filmowym dzisiaj już nikomu nieznany, ktoś kręci jakiś film. Dostrzega go Gustaw. Szlachet jest już pokurczonym małym człowiekiem, opatulony jakimś wyliniałym futrem, nikt go nie zauważa, bo i nie zna, przygląda się temu, co było całym jego życiem.

– Panie Henryku! Co u pana? Trzeba się spotkać, może po planie coś zjemy, jakąś kolację, są tu filmowcy...

– Panie Gustawie, po co mamy jeść kolację, jak nie ma z kim usiąść do stołu.

W żydowskim teatrze.

– Panie Holoubek, panu chyba tłumacz niepotrzebny. Pan zna jidysz.

– Ja? Nie znam.

– To kto ma znać?...

Dają Gustawowi tłumacza.

Tłumaczy.

– Oni teraz weszli do pokoju, rozmawiają... On się z nią nie zgadza...

Kłócą się, ona rzuca pieniądze na stół... On odwraca się tyłem... Otwiera okno, jest mu duszno...

Z gorliwości tłumaczyli to, co widać było gołym okiem.

Gustaw nie był niewidomy, trochę pod koniec życia gorzej słyszał.

Umarł Niemen. Warto było żyć! Aby być mu współczesnym.

Holoubek przy stoliku o śmierci Broniewskiego.

Nad grobem poety patetycznie przemawia St. Ryszard Dobrowolski:

– Gdy umiera poeta, milkną ptaki...

W tym momencie nadlatuje tysiąc, dziesięć tysięcy wron i gawronów. – Kra!..Kra!..Kra!...

Zagłuszają słowa przemawiającego.

„Arivederczi Chroma!” – tak Prutkowski mówił do kochanki poety Lewina, która utykała na nogę, wychodząc nad ranem z Klubu Aktora.

Przy stoliku awantura: czy Prutkowski to cham, czy dowcipny? Jakie to bliskie. A Woody Allen: „Ostatnia kobieta, na którą wszedłem, to była Statua Wolności”.

– Kto tu puścił Bąka? – krzyczał Prutkowski, gdy w sali SPATiF-u zjawiał się znany aktor Henryk Bąk.

Gustawa boli kolano. Utyka.

Postanawiam, że nie wolno jeść przy stoliku z Gustawem i Henrykiem Berezą, aby nie bezcześcić wysokiego poziomu rozważań literackich bywalców stolika. Wtedy Gustaw opowiada dowcip o owsikach, jak wyszły z pewnej części ciała. Był to synek z mamusią. Rozejrzeli się po okolicy i synek mówi: – Mamusiu, jak pięknie tu jest. Ptaszki śpiewają, błękitne niebo, zielone listki szemrzą na drzewach, kwiatki, a my siedzimy stale w dupie.

– Bo tam jest nasza ojczyzna – mówi mamusia.

„Nie jeść tak jak inni – jest równie trudne, jak nie myśleć tak jak inni" (Cioran).

Nie chodzi tylko o wybór z jadłospisu, ale o szukanie całkowicie innego pożywienia niż współplemieńcy.

„Nie ma nic gorszego dla twórcy, niż być zrozumiałym do końca".

A tylu chce tego za wszelką cenę!

„Gdyby się było świadomym w każdej chwili tego, co się wie, człowiek popełniłby samobójstwo lub całkiem zidiociał. Istniejemy dzięki chwilom, w których zapominamy o niektórych prawdach: w takich chwilach gromadzimy energię, która pozwoli nam stawić czoło tym prawdom" – znów Cioran.

Gustaw mówi, że sztuka powinna dawać nam poczucie zażenowania. Wtedy jest autentyczna.

Dlaczego piszę? Nie wszyscy mieli szczęście umrzeć młodo.

Pisanie przynosi ulgę.

Ale tylko mnie.

Na razie.

Pisarz Unamuno kupiony w Księgarni Taniej Książki za pięć złotych:

„Jedynym zadaniem człowieka w życiu, to zachować życie... Zasadniczym powołaniem człowieka to nie chcieć umrzeć". W każdym sensie: biologicznym, społecznym, jako podmiot polityki, jako człowiek medialny. Znika z mediów, umiera albo się rodzi.

Agonia to walka o życie ze śmiercią. Od samego urodzenia.

„Czcimy Chrystusa w agonii".

Wizyta w British Museum na wystawie *Living and Dying*.

Czytam napisy:

„Ludzie doświadczają kłopotów, smutku, pragnienia i chorób – i rozwijają całą swoją umiejętność i spryt oraz wiedzę w odpowiedzi na te zagrożenia i przeciwności".

„W jaki sposób dostać się do nieba? Trzeba trumnę ustawić na sztorc, aby łatwiej się wznieść w górne rejony".

„Szamani mają władzę i ukrytą wiedzę, jak dostać się do świata ducha".

„Czasami sprawy nie idą dobrze, od złych do jeszcze gorszych".

„Czasami... a czasami człowiek celuje wysoko i wszystko idzie po jego myśli. Od czego to zależy?".

„Ludzie we wszystkich miejscach na świecie w obliczu trudności opierają się na pokrewieństwie, starając się stawić czoło problemom życia i śmierci".

Pośrodku sali długi stół, a na nim szal inkrustowany kolorowymi pigułkami, które człowiek połyka od dnia narodzin do śmierci. Pod koniec życia natężenie tych kolorowych kulek, trójkącików, podłużnych proszków gwałtownie się zwiększa. A później jest już ich coraz mniej, aż zostaje biały całun pozbawiony prefabrykatów podtrzymujących życie.

Jedno pytanie, tak wiele odpowiedzi. Jak radzić sobie ze śmiercią. To wiem na pewno: nie umrę młodo.

Angielski pacjent.

Arytmia. W Londynie biorą mnie do angielskiego szpitala.

Coś z dawnych filmów. Waterloo Bridge. Czerwone cegły, wysokie sale i wielkie okna umieszczone pod sufitem. Mierzą, ważą, sprawdzają temperaturę, ciśnienie, puls – rytm serca. Robią elektrokardiogram. Stanisław Dygat miał najlepszy elektrokardiogram na krótko przed śmiercią. Lekarka przeszukuje moją torbę z lekami, rewiduje mnie, by wiedzieć, co zażywam, nie wierzy moim słowom. Sama chce się przekonać. Jadę na salę intensywnej terapii. Murzyn, który mnie wiezie na wózku, zakłada gumowe rękawiczki, aby mnie, broń Boże, nie dotknąć. Chorego białasa. Żądam podobnych rękawiczek, bo nie chcę przez nieuwagę jego dotknąć.

Nie rozumieją żartu.

Długie korytarze nocnego szpitala giganta. North London.

Przypomina mi się podobna jazda korytarzami szpitala w Aninie. Tam woziła mnie siostra Deodata. Kiedy nikt na nas nie patrzył, rozpędzała się, wskakiwała na pędzący wózek i razem ze mną zajeżdżała pod windę. Była młoda i rozpierała ją energia. Zwykle mówiła: wkłujemy się w tę żyłę z bożą pomocą. Opierała łokieć w okolicach mojego krocza i precyzyjnie trafiała w żyłę.

Tu nie ma siostry Deodaty, czyli Oddanej Bogu, zamiast niej są czarne dziewczyny z północnego Londynu. Przejmują mnie od posługacza higienisty w gumowych rękawiczkach i wypełniają długą listę pytań kwestionariusza pacjenta: Czy sam chodzę? Czy potrzebna mi laska? Czy sam się myję?

– Owszem, ale nie lubię. Gdybym mógł z tobą wejść pod prysznic...

Śmieją się.

Zgaszone światła. Noc. Leżę i nie mogę zasnąć. Za pulpitem obsługi, z nudów, siostry oglądają jakiegoś pornosa w internecie. Chichoczą. Proszę o coś do czytania. Dają mi jedyną książkę, która krąży wśród leżących. Żądam czegoś ciekawszego. Pytam, czy *Sister* nie ma własnego pamiętnika. Obiecuje, że przyniesie mi jutro rano.

– Ale jakbyś go teraz dostał, tobyś w ogóle nie zasnął.

Polski literat kończy zwykle swoją karierę, pisząc powieść dziejącą się w szpitalu. Później piszą już tylko o nim. Mnie to nie grozi.

Jęki po angielsku: *O, my God! No, no, no! Terrible! Oh, my Dear!*

I tak dalej... Ciekawe jest porównanie umierających Anglików z jękami w naszych szpitalach. Przeżyłem niejedną noc na OIOM-ie. Duże podobieństwo: język inny, ale onomatopeja ta sama. Chociaż pamiętam, jak jedna bardzo cierpiąca w Aninie krzyczała cały czas: „Jadźka! Zamknij drzwi, bo kury pouciekają!”. I tak przez całą noc. Aż ucichła i odeszła z tą troską o kury w niebieskie zaświaty.

Rozwidnia się. Trochę się czuję tak jak w samolocie na bardzo długiej trasie przez Atlantyk. Powoli wszyscy się budzą – i pasażerowie, czyli chorzy, i obsługa. Tam budzą się do życia, tu nie zawsze.

Czynności, ablucje, zasłanianie i odsłanianie pacjentów. Przyszedł już kamerdyner do pacjenta obok.

– *Good mornig, Sir* – mówi z typowym akcentem i emfazą angielskiego służącego.

W odpowiedzi słychać tylko charchot jego pana.

– *I said, good morning, Sir!* – powtarza z uporem kamerdyner.

– *Ech... ech... ech...* – tylko kaszel w odpowiedzi.

Powoli na zewnątrz robi się coraz jaśniej. Smutna ponura angielska jesień. Zbliża się zima. W pierwszym oknie czarne konary i chwiejące się na wietrze liście. W drugim też konary, ale z kilkoma walczącymi z wiatrem czarnymi liśćmi, jak ci starcy za kotarami, w trzecim – zupełnie gołe konary na tle szarego nieba.

Kadry jak na znanym plakacie Henryka Tomaszewskiego: biegnie człowiek, biegnie, biegnie, a na końcu grobek z krzyżykiem.

Dobry jest *porridge*. Każdy angielski dżentelmen je *porridge*.

Świt. Jechała z wózkiem i garnkiem salowa:

– *Would you like porridge?*

– *Yes, please.*

Czułem się Anglikiem. W żołądku miałem zdrową porcję owsianki perfekcyjnie ugotowanej. Moja matka też umiała. W Polsce młoda dupa (może by jednak nazwać ją inaczej?) nie wie nawet, z czego to się robi ani jak powinno smakować. Może ci chipsy zalać zimnym mlekiem, najwyżej.

Sto tysięcy ludzi manifestuje przeciw Amerykanom w Londynie.

Krzyczą jakieś hasła: precz z wojną w Iraku, równocześnie obok trwa premiera filmu *Rambo* nr 3000 – też okrzyki, oklaski.

Przed kinem zbierają się ludzie z show-biznesu, grube ryby filmu w towarzystwie pięknych dziwek. Idą do rzęsiście oświetlonego wejścia do kina – jest też policja, drabinki, zasieki, czerwone i niebieskawe żarówy na wozach policyjnych. Wszystko się dzieje jednocześnie – w tym samym czasie i przestrzeni. Co jest ważniejsze i co bardziej medialne? A gdzie prawdziwa wartość i znaczenie? Słusznie, że podważa się istnienie czasu i przestrzeni.

To nieprawda, że wszystkie suki – piękne angielskie określenie *bitches* – są zrobione komputerowo, jak przysięga jedna znajoma z Warszawy.

Na żywo też są wspaniałe.

Nie wolno nam pożądać nawet żony. To jest grzech. Pieprzyć bez pożądania – oto chrześcijański obowiązek. Ciężki warunek do spełnienia. Pożądanie dlatego jest też wstydem, że nie możemy mu naszą wolną wolą zapobiec. Pożądanie zaprzecza wolnej woli. Holoubek wspomina pewnego aktora w starszym wieku, który opowiadał, że przygotowuje się do randki tygodniami, ale jak już kobieta się rozbierze, to on zastanawia się: – Co ja tu robię?

Pieprzenie bez pożądania. Wolę odwrotnie.

A w angielskiej telewizji pokazują, jak Michael Jackson idzie do sądu na przesłuchanie w sprawie nieletniego. Chce spać z dziećmi. Szeryf, co się uparł na niego, miałby w Atenach w starożytności kupę roboty. Albo na drodze do Berlina, gdy polscy chłopcy udają się na seksualne roboty do Reichu.

Wszystko dzieje się równocześnie!

Także casting na sekretarkę.

– Niech mi wolno będzie usłyszeć, jak pani mówi: „Szef jest nieobecny".

Na ulicach, w pubach, w dyskotekach unoszą się masowo wirusy erotyzmu. Ile w Londynie podczas jednej nocy wylewa się spermy? Gospodyni, u której nocujemy, pani Wandzia, nie ma pojęcia. Toczy się dyskusja. Cysterna? Dwie? Pociąg z długim szeregiem wagonów?

Pani Wandzia jest dentystką, mnoży, dzieli, dodaje, ale nie może się doliczyć.

Przyjaciel proponuje sprawdzić eksperymentalnie z panią Wandzią.

Wszystko dzieje się równocześnie!

– Zalesioną działkę mam po babce – mówi bez związku – samochód po ojcu, a po dziadku zęby... – pokazuje je w szerokim uśmiechu.

Pani Wandzi to nie bierze.

Cierpię na bezsenność. Długo zastanawiałem się i nie wiedziałem, co to znaczy: „Zasnąć w Panu". Wolę przy kobiecie. Na razie.

Spotkali się w łóżku. Nie wiedział, że będzie tak, jakby rzucał zapałkę na wysuszoną upalnym latem ściółkę. Uciekał w popłochu, a ona płonęła. Wyrwał gaśnicę ze ściany i pianą próbował gasić. Można też było pianą do golenia „Gillette". Podpalacz. Podpalić łatwo, zgasić coraz trudniej.

Reklama Bio... Hormony. Reklamują, że można mieć przyjemność przy stosunku płciowym. Pan Bóg to wymyślił bardzo dawno.

Jest chory, grozi mu zawał. Żeni się z młodą, atrakcyjną seksualnie kobietą. Ta rozsądnie w kościele przyrzeka przed księdzem i rodziną:

– Nie dopuszczę cię (w domyśle: do siebie) aż do śmierci!

Humanistka.

Film *Samsara*. Piękny. „Jak uratować kroplę wody przed wyschnięciem? Wrzucić ją do morza". Takie przesłanie. Mężczyzna rzuca żonę, dziecko, rodzinę, wraca do klasztoru. Ale w środku filmu jest scena, w której dziecko puszcza na wodę patyczek, obserwuje, jak kręci się w wodzie i płynie gdzieś daleko, obijając się o kamienie, wiry, krzaki, kłody drewna. Pada kwestia: – Ile musi się taki patyczek namęczyć, zanim dopłynie do morza.

Ten sam tekst trzydzieści lat temu wygłosił Maklak. Nawet powstał scenariusz pod tytułem *Zanim do morza dopłynie*. Miałem go robić, ale wyjechałem do Stanów. Nie wierzyłem, że mi na niego pozwolą. Rozpłynął się. Dzisiaj powiedzieliby, że to plagiat, a przecież identyczna scena została przed laty zapisana, tylko działa się nad Wisłą. Bohater rzucał kawałek drewna do Wisły i obserwował jego perypetie, kiedy płynął do morza. Niby ludzkie życie. Dzisiaj też by na to nikt nie dał pieniędzy.

Mam wiele przykładów zmarnowanych pomysłów. Cieszy tylko to, że ktoś tam daleko w Indiach tak samo myśli i zastanawia się nad ludzkim życiem. Maklak był filozofem.

Idę do opery. Anegdota. Ktoś powiedział, że *Parsifal* Wagnera trwa trzy godziny. Zaczyna się o szóstej po południu. Patrzysz na zegarek, jest szósta trzydzieści.

Przy stoliku zaciekły spór o to, czy powiedział to Waldorff do Miecia po premierze tej opery w Warszawie.

Wydalanie. Dlaczego jemy ostentacyjnie, a wydalamy sekretnie?

Widziałem takie zdjęcie, jak kobieta w sercu pewnej metropolii dużego państwa kuca i sika. Przechodnie nie zwracają na to uwagi.

Wydalanie jest obarczone różnymi psychicznymi uwarunkowaniami. Pies na przykład szuka miejsca przyjemnego wydalenia, kręci się w kółko,

wącha, patrzy dookoła. Oddaje się metafizycznym rozmyślaniom z miną srającego kota na puszczy.

Człowiek też ma swoje ulubione miejsca – na mieście albo na wsi, w przyrodzie, gdy nie ma w okolicy czystej toalety. Dziki, jak mu się chce, po prostu to robi, gdy się chce wysikać, oddaje mocz bezwstydnie... Dlaczego my, ludzie miasta, tego się wstydzimy? Sekretność wydalania coraz bardziej wzrasta, zamykamy się na zamek, odgradzamy jeden od drugiego. Dawniej w szaletach publicznych nie robiło się wielkiej tajemnicy z sikania. Widać było nogi oddającego mocz.

Był taki słynny szalet na placu Trzech Krzyży, wokół którego krążyli mężczyźni kochający inaczej. Może dlatego został zlikwidowany. Ktoś mi opowiadał, że widział tam wchodzącego sprężystym krokiem oficera Armii Radzieckiej, a po kilkunastu minutach z szaletu wyszła kobietka kołysząca biodrami – tyle że w mundurze z orderami – pod rękę z jakimś mężczyzną. Oddalili się w stronę parku nad Wisłą.

W trakcie poważnego wydalania czytanie gazet jest nagminne.

Powoduje to całkowite odwrócenie uwagi od tej poważnej dla naszego organizmu czynności. Najlepiej wziąć nudną książkę, jak się musi, broń Boże co ciekawego, bo zapomnimy szybko, po co weszliśmy do toalety.

Ludy południowe albo Azja mają inny stosunek do tych czynności.

W Bułgarii spotkałem kiedyś ładną dziewczynę, z którą przegadałem pół nocy na bardzo interesujące tematy, a gdy wyszliśmy na szosę przed kawiarnią, podciągnęła spódnicę i bez żenady wysikała się w promieniach wstającego słońca.

Nie wiem dlaczego, ale nie próbowałem jej posiąść. Była zdziwiona. Jakoś mnie zbrzydziła.

Ciężki dzień. Zamiast wycieczki na Mazury lekarz, badanie elektrolitów, apteka, dobre spaghetti aglio olio i *Harry Potter*. Po wyjściu z kina w połowie seansu na deser dwie kulki lodów, cytrynowe i toffi. Jedna natychmiast spada mi na ziemię. Wracam do ekspedientki, mówię, że prosiłem o toffi i zapłaciłem za dwie, pokazuję kwit z kasy i rożek, gdzie jest tylko jedna kulka. Ta robi wielkie oczy.

– Przecież ją panu przed chwilą nałożyłam.

– To gdzie jest?

– Dobrze pamiętam.

– Ale jej nie ma – pokazuję pusty rożek.

Wprowadzam ją w stan zakłopotania i przerażenia, że coś, co miało miejsce przed chwilą, zdarzyło się tylko w jej umyśle, w podświadomości. Koleżanka staje po mojej stronie.

– Kochana, coraz częściej coś ci się zdaje, jesteś pewna, że nałożyłaś dwie, a to nieprawda – mówi do ekspedientki.

– Bardzo pana przepraszam.

Nakłada jeszcze raz kulkę toffi.

Nie mam serca jej tak zostawić, płacę jeszcze raz i wyjaśniam okrutny żart.

Dziewczyna oddycha z ulgą.

Tak mogła się zacząć choroba umysłowa.

U mnie zaczyna się od szukania okularów.

– Przecież przed chwilą miałem je w ręku!

Dzisiaj dzwoniła jakaś księgowa z Sochaczewa, podobno kochaliśmy się jako młodzi ludzie. Dostała skądś telefon. Mówiła długo o życiu, jakie jest. Ma troje dzieci i sparaliżowanego męża. A gówno mnie to obchodzi! Stałem w korku na szczęście.

– To myśmy tak urządzili ten świat.

– Kto?

– Nasze pokolenie.

– Przepraszam, ale źle słyszę...

Wyłączyłem się.

Przy stoliku Gustaw o Szwedach, co przyjechali do Czech: Lars, Larsen i Larsoden. Tubylcy im poradzili, aby odwrócili nazwiska i napisali je na wspak, to będą łatwiejsze. I tak nazywali się: Sral, Nesral i Nedosral...

To już rok, jak Franek nie żyje.

W Instytucie Kardiologii spotykam Franka S. von Biberstein. Mówi, że najlepszym kandydatem na prezydenta Polski jest jeden polityk, co to jego ciotka służyła u nich w majątku podczas okupacji. Bardzo odpowiedzialna sługa.

Opowiada też o słynnym polskim architekcie, który wygrał konkurs na budowę nowego paryskiego kompleksu budynków – siedziby Archiwów. Przyniósł lampę bardzo piękną, przemyślnie plastycznie wykombinowaną.

Komisja zdziwiona wobec precyzyjnych projektów innych architektów. A on powiedział, że ta lampa to cały jego projekt, resztę – korytarze, sale, sufity, sracze – wszystko to trzeba do niej dopasować. Wygrał.

Co pewien czas Franek mówił bardzo cicho. Wtedy pochylałem się nad nim i pytałem:

– Proszę? Nie słyszę... Co mówisz?

A on:

– Ja teraz mówię do ciebie po łacinie. Nie znasz łaciny? U nas w rodzinie często mówiliśmy po łacinie, bo wszyscy byliśmy wykształceni w szkołach klasycznych.

– Mój ojciec z trudnością skończył pięć klas – odbijam wściekły.

– Drażni mnie to, jak młodzi ludzie mówią „siwi", a to przecież przepiękne *curriculum vitae*. Byłem ostatnio we Francji...

I znów coś po cichu...

– Co proszę?

– Powiedziałem *pour mange les huitres*... francuskiego też nie znasz? – zdziwił się.

– Franek, chyba ci odbija!

– To przez ten szpital. W dzieciństwie miałem dwie bony. Najpierw Francuzkę, potem Niemkę, a na końcu, tuż przed wojną, Angielkę. Uciekła po pierwszym nalocie sztukasów na naszą rezydencję. Dlatego nie mówię po angielsku.

– *Good bye!*

Intryga stolikowa.

W „Czytelniku" idę do konkurencyjnego stolika profesora Jahody. Tam oświadczam, że już nie mogę dłużej słuchać tych wspomnień sprzed stu lat i dowcipów znanych od dwustu.

– My, młodzi, musimy się trzymać razem – mówię do „długowiecznego", o wiele starszego od tych, z którymi stale siedzę przy stoliku. Dokładnie obsmarowuję stolik Berezy. Profesor jest wniebowzięty i młodnieje w oczach. Chwyta za rękę fertyczną kelnerkę i coś jej szepcze głosem zjedzonym przez chroniczną chrypę.

Zabieg psychologiczny. Taka negatywna deklaracja na temat innych może nawet ratować od ostatecznego znikania człowieka ze świata zmysłów.

Ostatnio przejeżdżam obok Skolimowa. Jeszcze tak niedawno na ławce, grzejąc się w słońcu, siedział profesor Mieczysław Jahoda. Mój długoletni kolega. Teraz zniknął ze świata całkowicie. Chociaż wrócił do Krakowa. W urnie.

Czeka mnie w sobotę Biznes Klub w Oborach, w niedzielę imieniny Januarego, a wieczorem monodram Pszoniaka *Belfer*. W poniedziałek w SPATiF-ie 75-lecie urodzin Salvano, słynnego polskiego prestidigitatora. Specjalność: *palmowanie*, czyli tylko dłonie. Ma piękne, wysmukłe, długie palce, wyćwiczone do robienia cudownych trików ze znikaniem i pojawianiem się talii kart albo palącego się papierosa...

Zobaczymy, który *event* wygra.

W Oborach wystawa fotografii rezydencji, głównie z Konstancina, najbogatszych Polaków. Jakaś pani reklamuje swoje usługi. Pytam, czy mogłaby sfotografować mój blok na Ursynowie. Nie odpowiada, patrzy na mnie z pogardą.

A poza tym bardzo miło, tyle wspomnień z Obór. Ani jednego literata poza Januszem Głowackim. Najbogatszy Polak ma dolegliwości kręgosłupa, a znany lekarz ciągle zdrowy jak byk. Jak ci lekarze to robią, że nie chorują? Nie zażywają lekarstw, które nam przepisują. Zdziwienie, że na korytarzu w Aninie jestem chory, a tu na pikniku Klubu Biznesu jestem zdrowy i uśmiechnięty... Czekam, aż tego lekarza coś dopadnie, i to wcale nie z jego specjalności. Niech posmakuje szpitala, innych lekarzy, obcych pielęgniarek, wodnistej zupy i kurczaka na drugie w kolorze wyciągniętego z formaliny małego nieboszczyka.

Zawiść!

Na pikniku facet, prawa ręka prezydenta, pyta, ile „kwach” stoi do dolara. Zrozumiałem tylko Kwach. Okazało się, że to waluta państwa, do którego leci Głowa Państwa Kwach. Chcą coś kupować na targu, czy co?

Spacerujemy po parku.

Kiedyś tu strasznie śmierdziało, bo za komuny w sąsiadującym przez płot PGR-ze były stada krów. Dobrze zrobiła nam ta transformacja. Obory zamknięte, stoły nakryte, uginają się od wykwintnych dań, na grillu karkówka i żeberka z miodem, namioty w razie deszczu kolorowe, politycy snują się między drzewami, ale za dużo rozpuszczonych dzieci oligarchów.

Za płotem były PGR śpi mimo głośnej muzyki.

Dom Pracy Twórczej Literatów żyje nowym życiem.

Wiedza. Gdybym wiedział, że tzw. zmarszczki mimiczne są nie do usunięcia, już jako noworodek nie śmiałbym się i nie płakał. Ale cóż warte byłoby takie życie!

Premiera *Belfra*. Sztuka, monolog, a może monodram przywieziony z Paryża przez Wojtka Pszoniaka. Półtorej godziny bez przerwy mówi o tragedii nauczyciela literatury, który w zemście za swoje cierpienia z bandą licealistów wygarnął do nich z karabinu maszynowego.

Byłem kiedyś przypadkowo w Żyrardowie na lekcji religii. Młody ksiądz do uczniów mówił o tym, czy można w dzisiejszych czasach zostać świętym. Śmieli się, rozmawiali o motorach, pokazywali sobie zdjęcia z weekendu, dogadywali chamsko. Chciałem tych debilów zadusić po kolei własnymi rękami albo wytłuc z kałasznikowa. Zero myśli, zero zastanowienia się nad życiem, zero w ogóle.

Nie wiem, jak *Belfer* pójdzie, czy ludzie będą chodzić, może na Pszoniaka? Może magia sukcesów za granicą pomoże?

75-lecie Salvano. Iluzjoniści nudzą zwykle swoimi sztukami i za dużo mówią. Najzdolniejszy mówi jak do dzieci, drugi jak do ćwierćinteligentów, tylko Salvano mówi normalnie. I robi wszystko cudownie, elegancko i z wdziękiem, mimo lat. Nie wytrzymuję, wskakuję na scenę i opowiadam o swoim występie na Międzynarodowym Zjeździe Iluzjonistów. Niestety nie w stolicy... Paryżu, Berlinie czy Londynie, ale w Tarnowie!

Iluzja rzeczywistości. To co jest naprawdę? Ilu filozofów się nad tym zastanawiało?

Pozorność. Człowieczeństwo Chrystusa było podobno pozorowane. Dlatego nie cierpiał na krzyżu jak człowiek. Tak twierdzili niektórzy gnostycy, którzy wyznają doketyzm, od greckiego słowa „dokeo” – wydawać się, pozorować.

Za wielkie teorie do magika na estradzie. Chociaż każda dziedzina ma swoje głębsze dno. Wcale nie błahe, rzadko dostrzegane przez innych.

Pozornie wygląda to tak, jakby Salvano włożył palącego się papierosa w rękę, a w rzeczywistości... to dokeo.

– *I am Bond. Siergiej Bond!* Ruscy. Coraz częściej uciekam do oglądania rosyjskiej telewizji. Opowiadają jakoś wolniej i nie ma tych migawek bezsensownych. Nawet Animal Planet mnie nudzi. Ciągle tygrys goni

zebrę, dopada ją i zagryza, a małpy pierdolą wszystko co popadnie. Matkę, córkę, kuzyna, dziadka i onanizują się bezwstydnie. Na Discovery bez końca coś odkrywają, stąpają po planetach albo badają DNA kolejnego seryjnego mordercy, a miny naszych aktorów w telenowelach powodują odruch wymiotny. Nagle Rosja! Stoi gruba aktorka i mówi przez godzinę, ale jak interesująco. Rozumiem piąte przez dziesiąte. Jak kazano uczyć się w szkole rosyjskiego, to na złość zapominałem alfabetu, gdy nauczyłem się ostatnich liter, to zapominałem pierwsze. Teraz żałuję. Otworzyłem ten kanał rosyjski i słuchałem, jak mówiła o sensie życia, starości, o mieć i być i co to znaczy dobry człowiek. Nie potrzeba akcji, banalnych romansów, strzelaniny i pogoni.

Trochę człowieka.

Drugi ruski. Mały, w dwurzędowej obcisłej marynarce, łysy do połowy głowy, reszta ruda, sterczająca idiotycznie, wzrost siedzącego psa. Mówi fascynująco. O Neronie na przykład. O Napoleonie. Trochę obrazów, reszta to jego głos i gestykulacja.

Słucha się go i patrzy się na to, nie czując potrzeby obserwowania mordobicia, gonitwy i pieprzenia.

Może to właśnie telewizja przyszłości. Antymatrix.

Miller zrezygnował. Tyle się nadrapać w górę, żeby później odwróciła się od niego tłuszcza, której on narobił tyle dobrego. Zwykle tak jest, że w dupę dostajesz od tych, co ich całe życie promowałeś. Gomułka dostał od robotników, Gierek od tych, co im popuścił, więc chcieli więcej i więcej... a teraz lider najsilniejszej partii od własnej partii, której nie umiał utrzymać w ryzach moralności i przyzwoitości. Zachłysnęły się szmaciaki ponowną władzą, za komuny trzymali ich za mordę Żydzi.

Przemaglowali go. Miałem portret z tygodnika „VIP”. Miller stoi na nim uśmiechnięty, pełen wigoru, z błyskiem w oku. Dzisiaj zmęczony staruszek. Minęło kilka lat. A tak niedawno śpiewał z Gudzowatym u Małgosi Potockiej *Kolorowe jarmarki*, znał perfekt słowa i melodię. Nie musiałem mu podpowiadać.

Bonzowie partii i rządu przeceniają sukcesy na arenie międzynarodowej. Tak było z Gomułką, gdy podpisał historyczny traktat z Niemcami, a tu w kraju dostał kopniaka, Gierka przyjmowali na Zachodzie jak wielkiego

męża stanu, a tu zastrajkowali mu w stoczni i odesłali go na drzewo. Miller doprowadził Polskę do Unii, a tu Ziobro podstawił mu nogę i winią już go za wszystko. Największa zbrodnia to spadek popularności, „lubości" społecznej.

Pewien analityk z telewizji przypomina, że Stalin nie podlizywał się szmaciakowi, a Bierut nie podawał wyników OBOP-u.

Myślę na marginesie upadku Millera, że suma energii, którą ma człowiek, jest stała. Ten z dołów zużywa jej więcej już na początku niż ten, co ma zapewnioną od rodziców sytuację życiową, materialną. Start wymagający o niebo mniej wysiłku. Ten się mozolnie drapie, tamten jest już na górnej półce. Może z większym zapasem sił startować do sukcesów i mieć siłę je utrzymać. U tego z dołu, z podwórka Żyrardowa, pod koniec życia ten zapas sił i energii jest na wyczerpaniu, podczas gdy ten drugi ma jeszcze pod nogą pedał mocy. Poza tym pojawia się destrukcyjna myśl – czegóż mam żądać więcej i tak zaszedłem wysoko; i tak mam ogromny sukces w porównaniu z tym, z czym startowałem. I wtedy leżocha, często powrót do punktu wyjścia... i myśl – oszukiwałem. Jestem tylko tym, kim byłem, nikim więcej. Zmęczenie. Albo poczucie, że wszystko to marność, bo wreszcie miał czas przeczytać Eklezjastę zamiast podręcznika aktywisty, a w Biblii wyraźnie jest napisane, że wszystko „to marność i przemijanie z wiatrem".

Dla ludzi bez tradycji wyniesionej z domu zabójcza też jest muzyka poważna i sztuka. Wytrąca ich z rozwiązywania problemów codzienności takich jak: zniszczyć przeciwnika, dokopać mu, zarobić więcej, oszukać konkurenta, być wiernym żonie, chodzić co niedziela do kościoła, uczyć się języków, aby pracować w Unii jako europoseł.

A tu *vanitas vanitatum*, czyli *havel havalim* po hebrajsku. Skąd to wiem? Też niepotrzebnie czytam. Na przykład, że „hebel" znaczy pustka, nic, bez sensu, coś, co jak dym się rozwiewa.

Gustaw leży pod kroplówką. Wycieńczył się obrzydliwą dietą. Ze względu na nerki nie wolno mu jeść normalnie. W związku z tym nic nie jadł, bo mu nie smakowało. Coraz mniej jest możliwości smakowania. To, co smakuje, jest dla nas niezdrowe.

Odkrycie. Potrzeba jest matką wynalazku... kredytu bankowego.

Telefon od byłej wspólniczki.

– Zbliżają się twoje urodziny. Są to cztery czwórki w dacie. Czwarty dwa tysiące czwartego. A wiesz, że czwórka w alfabecie chińskim oznacza śmierć?

– Nie wiem i nie chcę wiedzieć. Spierdalać!

– Ale ty miałeś wspaniałe życie... Nie denerwuj się!

– I będę miał jeszcze. Cipo!

Następnego dnia. Gdzie jechać? Na Mazury czy do znajomych w moim wieku. Marta się chmurzy. Na Mazury, do hotelu, gdzie mamy mieć ulgę. Zachęcają, że wszystko tam jest. Jazda więc. Po drodze węgierska knajpa, a nawet dwie. Wszystko po węgiersku. Pytam kelnera, czy herbata też węgierska. Przytakuje. *Hotobagy*. Że niby w *bagy*. W torebce.

Lubię rozmawiać z kelnerami. W japońskiej restauracji, gdzie podają pałeczki do sushi, zawsze gram taki gag. Rozrywam je przy kelnerze z okrzykiem: – O Jezu, rozerwało mi się... Bardzo przepraszam.

Tłumaczą mi cierpliwie, że sushi je się dwiema pałeczkami i nic wielkiego się nie stało.

W drodze do hotelu Marta mówi, że siedzą w niej Doktor Jekyll i Mister Hyde, że jest wielką altruistką, oddaną bez reszty i jednocześnie bezwzględną egoistką. Zgadzam się z tym trochę przerażony otwartością, z jaką to relacjonuje. Bardzo wygodny podział, raz jestem taka, raz inna. *Ekskjuz* do wszystkich możliwych świństw, które człowiek zrobi. Poza tym radzi, żeby iść z falą tam, gdzie cię niesie, jak na Oceanie Wielkim surfingowcy. Zauważam, że w telewizji pokazują tylko to, jak ich wspaniale niesie, ale kiedy już wpadają w wodę, tuż przedtem obraz zostaje ucięty.

Na maturze pisała o ambiwalencji uczuć Barbary Niechcic z Dąbrowskiej *Nocy i dni*.

– A co to jest ambiwalencja?

– Skrajne uczucia do tego samego obiektu.

Pierdolę. Popłynę na fali spokoju.

Koniec!

Wyobrażenie a rzeczywistość. Wysłuchałem folderu reklamowego przez telefon, opisali, co nas czeka: jezioro, kręgle, bilard, fitness center i parking. Za kilkanaście kilometrów okaże się wszystko jak na dłoni.

Taką niedzielną jazdę rozwodową już kiedyś odbyłem z pewną młodą osobą, a sam też nie byłem stary. Pojechaliśmy na św. Krzyż do braci oblatów. Zazdrościłem im spokoju i życia bez tej świecko-męskiej szarpaniny. Dzwonek wzywał ich na modlitwę, dzwonek na posiłek, dzwonek do snu. Mnie dzwoni tylko komórka z kłopotami. Teraz ta kobieta, z którą tam wtedy jechałem, jest stara i gruba. W obecnym przypadku chyba nie doczekam się starości i grubości u „ambiwalentnej".

To najbardziej boli.

Hotel wszystko ma tak, jak obiecywała recepcjonistka, ale całość to koszmar. Niemieccy emeryci z wnukami. Ponuro i wstrętnie. Uciekamy do Mikołajek.

Mikołajki wypiękniały. Dużo Niemców na wycieczkach. Chodzą, jedzą, kupują. Patrzą, jak to Polacy się tu urządzili. Coś myślą. Boję się, że wiem.

Niepotrzebnie pokazuję Marcie żeglarstwo. Zakochała się w nim. Pokazałem narciarstwo, ciężką pracą wyuczyłem ją carvingować. Zakochała się. Ja coraz mniej sprawny, ona prześciga mistrza. Człowiek sam zastawia na siebie pułapki i podcina gałąź, na której siedzi.

Powiesz jej coś ciekawego, będzie się popisywała przed innym, złapie jakieś żartobliwe powiedzenie od ciebie, powtórzy to wśród towarzystwa, zanim ty gębę otworzysz, dasz recenzję z filmu, będzie to głosić na bankiecie po premierze, wzbudzając zainteresowanie innych samców, że taka atrakcyjna i mądra.

Twoją mądrością.

– Kobiety mają dzisiaj większe jaja niż wy, mężczyźni, i jeszcze dodatkowo cycki – mówiła moja psychoterapeutka.

Dzwoni za kilka dni.

– Uratowałam Tadeusza z zaburzeń erekcji. Dzięki masażom dolnej części kręgosłupa.

Wątpię.

Młodzi żeglarze rżą ze śmiechu jak młode konie. Ona z nimi. Szanty nigdy mnie nie brały. Widzę, jak dwóch żeglarzy w podeszłym wieku – jeden gruby, drugi mały i chudy – tańczy w parze rytmiczny szybki numer, trzymając w rękach olbrzymie kufle z piwem. Zatańczyli trzy numery i ani kropli nie rozlali.

Podziwiam.

Nagle podchodzi do mnie dziewczyna:

– Proszę pana, może mi pan zrobić zdjęcie?

Podaje mi aparat „dla głupiego”.

– Tu tylko przycisnąć!

Staje w świetle przy barze. Jednym ruchem zdejmuje dżinsową bluzkę. Ukazuje się Wenus. Baranieję. Ze zdenerwowania nie wiem, gdzie przycisnąć. Wydatny biust, szóstka, bluzka ledwo zakrywająca sutki, brzuch opalony, z jakimś symetrycznym tatuażem, jasne włosy odrzuca do tyłu i patrzy na mnie ogromnymi, zielonymi oczyma.

Szukam nerwowo przycisku, wreszcie, klik, błysk flesza... Stoję oszołomiony, podchodzi i zabiera mi aparat z zaciśniętej ręki.

– Dziękuję!

Znika w tłumie.

Dlaczego akurat ja? Może wyglądam poważnie i wie, że nie spieprzę w tłumie z jej aparatem?

Chyba tak.

W nocy w hotelu za ścianą dialog mężczyzny i kobiety, z silnym akcentem na słowo „wziąć”.

– *W e z m ę* cię tutaj natychmiast.

Szarpanina.

– *W e ź* się lepiej w garść.

– Nie będę się masturbował co noc!

Szarpanina.

– *W e ź* mnie lepiej do Hiszpanii. Nie byłam tam jeszcze.

– *W e z m ę* cię, jak tylko *w e z m ę* dywidendę z akcji Bartimpexu.

– Nie *w e ź m i e s z* jej nigdy.

– *W e z m ę*!

– *W e ź m i e s z* wielkie gówno.

– *W e z m ę* ten biznes i skończę z tą szarpaniną.

Szarpanina.

– *W e ź* na wstrzymanie.

– *W e z m ę*, darling.

– Potem ich *w e ź m i e s z* za mordę.

– A jak mnie *w e z m ą* za jaja?

– Za jaja to cię *w e ź m i e* prokurator.

– Nie odbiorę *w e z w a n i a*.

– To ci *w e z m ą* i siłą wcisną wezwanie.

– Nie *w e z m ę*!

Szarpanina.

– *W e ź m i e s z*. Bo cię *w e z m ą* i wsadzą do sprawy. Na śledztwo wydobywcze.

– *W e z m ę*, ale zaraz spierdolę do Hiszpanii.

– A *w e ź m i e s z* mnie tam?

– *W e z m ę*.

– To *w e ź* mnie teraz.

– Biorę!

Moja towarzyszka chrapała przez sen, czego nie znoszę u kobiet, i wydawała jakby komendy żeglarskie: wanty zwiń, wypnij fok, rumpel na Ost...

Rankiem zwiedzanie żaglówki. Najbardziej interesuje ją, jak śpi załoga. Przymierza się do koi.

– A gdzie śpi kapitan? – pyta niewinnie.

– Tu.

– Tak blisko! Tam gdzie ja? – dziwi się. – A jak będę chciała się ubrać albo rozebrać?

– Odwracamy się! – rechocze załoga.

Potem kupują mi piwo „Pod złamanym pagajem", a ja im w rewanżu gofry z jagodami. Ona żegna się z żalem, że nie płyniemy z nimi.

Ja nie żałuję.

Ruszamy do świata Galindów, mazurskiego Edenu. Na półwyspie oznaczonym na mapach turystycznych jako najładniejszy punkt widokowy, 100 metrów od ujścia rzeki Krutyni.

Zapewniają tam: śpiew ptaków, szum fal, czystą wodę, zapach lasów żywicznych oraz upajający aromat ziół i kwiatów tworzących florę. Wszystko to prawda.

Już od V wieku p.n.e. okolice te zamieszkiwały plemiona Galindów, żyjąc w przyjaźni z naturą, tworząc model demokracji opartej na wspólnym języku i tradycjach obyczajowych. O wszystkich ważniejszych sprawach decydowały wiece (wayda!) prowadzone przez Wajdelotę.

Właściciel obiektu p. Kubacki – czytam z folderu – kontynuuje i wskrzesza uniwersalne idee Galindów. W kostiumie historycznego

„Wczoraj” z bagażem naszych „Dzisiejszych” doświadczeń tworzymy maleńkie drogowskazy dla „Jutra Współczesnej Europy”.

Dlaczego Kaczyński, Tusk albo brat Kaczyńskiego tu nie przyjadą, żeby porozmawiać z panem Kubackim, do cholery!

Tu rzeczywiście jest pięknie.

Podaję jadłospis Galindów:

Siekane błyskawice (kapusta biała i oliwa), *Niedorobiony* (ogórek małosolny), *Białogłowa* (zapiekany kalafior), *Pożądanie nałożnicy* (żur z jajem), *Portfel dzianego jelenia* (udziec z jelenia), *Kasa chorych* (bigos), *Karczes skwaszonej teściowej* (karkówka w sosie słodko-kwaśnym), *Biust z wiedźmy* (pierś kurczaka z ananasem), *Przystanek a...laska* (lody), *Wyciąg zielny obcoplemienny* (herbata Lipton).

Wszystko bardzo pyszne.

Najlepszy pomysł p. Kubackiego to logo: obsadzanie drzewami ziemi Galindów, ale stawianymi wzdłuż drogi do góry nogami. Suche korzenie zamiast gałęzi z zielonymi liśćmi. *Au rebour* dendrologii. Z którejkolwiek strony podjedziesz albo podpłyniesz i zobaczysz drzewa z korzeniami na opak, to zbliżasz się do krainy Galindów. Wszystko do góry nogami.

Można by tak całe granice Polski oznaczyć.

Spływ Krutynią. Wykupujemy kajaki i płyniemy w cudownej ciszy, a właściwie przy śpiewie ptaków i lekkim szumie liści. Można zapomnieć o bożym świecie.

Rozmawiamy szeptem. Jest pewne, że na starość człowiek stopniowo zamyka się tak jak kwiat na noc. Nie chce widzieć innych, poznawać nowych miejsc, doznawać nowych wrażeń. Płatki zamykają się do siebie, stale zmniejszając pole widzenia i doznawania. Ona mówi, że całą siłą swojej młodości powstrzymuje u mnie to zamykanie się na świat i innych ludzi.

Ma rację.

Nigdy by mi nie przyszło do głowy, aby wynająć kajak i płynąć jakąś ledwie widoczną na mapie rzeczką po Mazurach.

Nigdy bym też nie złapał zapalenia oskrzeli, po tym jak spadła na nas gwałtowna ulewa, przemoczyła do suchej nitki, po czym słońce nas osuszyło, a kolejne gradobicie o mało co nie zatopiło. Ale było wspaniale. Po dwóch godzinach machania wiosłami, głównie ona, nareszcie na suchym lądzie. Znów słoneczko. Płacimy i wio, wracamy do Warszawy.

Ale po drodze w Rucianem świetna knajpa. Ludzie szczęśliwi, opaleni, same nowe zachodnie wozy z polskimi rejestracjami. Wchodzimy. I zakończenie jak z filmu. Przy środkowym stole siedzi... słynny mecenas, adorator mojej towarzyszki z gór!

Wstaje, obejmują się na powitanie, wymieniają informacje. Obiad już mi nie smakuje. Zamykam się. Zamiast się otwierać. Siedzę wkurwiony, patrząc jak oni ćwierkają.

Po powrocie z Mazur kaszel i pewnie zapalenie oskrzeli. Boję się też, że coś mnie ukąsiło w dupę. Trzeba poszukać, może to kleszcz!

Zeznaję przy stoliku, co było wczoraj na jubileuszu znanego aktora. Już jest bardzo stary. Żona opalona. Wróciła z Egiptu. Jej przyjaciółka opowiada mi dwa dowcipy. Pamiętam jeden.

– Panie doktorze, niech pan powie, że umarłem na „hifa".

– Dlaczego?

– Chcę, aby nikt po mojej śmierci nie pieprzył mi żony. A ci, co już ją mieli, żeby umierali ze strachu.

Spotkałem trochę rozlaną brunetkę. Była taka jak z opowiadań Szolema Alejchema o młodych semitkach jadących do wód na wywczasy. I przypomniała mi się ulubiona anegdota Gustawa o telegramie córki z podróży poślubnej: „Mame, mój mąż tak mnie kocha, że skacze na mnie z szafy i... trafia". Odpowiedź po tygodniu z domu od ojca: „Wracaj natychmiast, mama ma wybite oko".

Rozpanoszyły się „tokszoły" do niemożliwości. I zjeżdżają w dół jak po rozmazanym gównie. Ostatnio jakaś gruba baba opowiadała o wizycie u ginekologa i wtrąciła, tak *en passant*, że ma nadżerki, a przy tym upławy. Do wyrzygania! Chwyciłem pilota i przeszedłem na Animal Planet, a tam się orangutany onanizują. Wyłączyłem i dla relaksu zacząłem czytać książkę *Vademecum leków* 2005. Powinienem zażywać wszystkie po kolei – od „Atropa Belladonna" do „Zocor Forte".

Kaszlę bez przerwy.

– Od tego się nie umiera. Ale można – nie pocieszają mnie przy stoliku.

Pod *Faktami* w TVN ukazuje się napis: „Wyrok w sprawie umieszczenia głowy Rywina w sedesie na okładce «Wprost», sąd oddala pozew, motywując to tym, że jest to symbol największej tragedii Polski"! A gdzie

rozbiory? Powstanie styczniowe? Wrzesień 1939 roku, zburzenie Warszawy, śmierć 6 milionów podczas wojny?

Ludzie!

Kręcenie filmów. Jakie to głupie z powagą przymierzać się z wizjerem reżyserskim do filmowania rzeczywistości: kopulacji, przechodzenia do drugiego pokoju, rozmowy, żarcia czy ucieczki. To wszystko próby oszukania widza. Bo obiektyw to nie oko. A poza tym te próby z aktorami, potrzebne rekwizyty, dekoracje, światło, te efekty, aby wszystko było podobne do życia. A życie przędzie swoje... Nie nadąża artysta filmowy za faktami. Chyba że je wyprzedza (*Avatar*). Fakty biegną, a za nimi cała ekipa z reżyserem, operatorem, dźwiękowcem, aktorami i statystami, którzy są najbardziej zakłamani.

Odechciało mi się tego, jak zobaczyłem jakiś reportaż z pracy na planie filmowym kolejnego badziewia.

Znów znalazłem anonse za szybą auta.

Kuszą!

„Hrabianka" – visiting.

„18-letnia nimfomanka", duże „B". Wyjazdy!

„Basia prywatnie". Miła, namiętna, zaprosi do siebie hojnego pana.

Nie skorzystam.

Odstraszyły mnie przymiotniki. Namiętny, miły... Tak! Ale od razu „hojny"?

W ataku suchego kaszlu padłem na ziemię, bo zrobiło mi się z wysiłku ciemno przed oczyma.

Nie ma do kogo zadzwonić po pomoc.

Dziś przy stoliku Gustaw wybuchnął.

Wesele jest stekiem grafomańskich tekstów. Ten, co grał Czepca, na premierze bełkotał i najbardziej się podobał Wyspiańskiemu. Pijany Wernyhora wszedł na scenę i powiedział do Jaśka: „Masz tu róg, trąb!". I reszty nie potrzeba. Tak robić *Wesele*, a nie cyzelować banały. To najostrzejszy portret Polski, jaki kiedykolwiek ktoś narysował.

Kuklówka.

Rocznica Chełmońskiego. Miejscowa inteligencja, ksiądz prałat i pastor augsburski z żoną. Pastor bardzo modnie ubrany, w płaszczyk jakby z Kings Road prosto. Rzecz odbywa się w domu Chełmońskiego, w którym mieszka ciągle rodzina malarza. Malarz rzucił Paryż i przyjechał na taką wieś mazowiecką.

Dzisiejsi artyści, gdyby im się tak powodziło w Paryżu jak Chełmońskiemu, nigdy w życiu by nie zamieszkali na wsi polskiej. Ale jak już, to Kraków, Warszawa... nawet ten z Meksyku – gdy nie poszła marmolada produkowana przez małżonkę – Mrożek wybrał Kraków. Sam o tym pisał. Teraz mieszka na południu Francji.

Wszystkich tych, co wracają do Polski pod różnymi pozorami i tłumaczeniami, określam jednym słowem: marmelada. Nie poszła marmelada. To może być książka, film, gazeta, interes, praca, malowanie obrazów albo ścian.

Jak dobrze idzie, to nie wracają.

Aktorzy z Warszawy grają w domu Chełmońskiego fragmenty *Wesela* Wyspiańskiego. Wszystko się zgadza: i pejzaż za oknem, i wnętrze chaty, i publiczność. Grają też młodzi amatorzy z jakiejś szkoły biznesu! Mimo to potem przejmujące wspólne śpiewy, chata rozśpiewana i wzruszająco prosto powiedziane przez jakiegoś aktora amatora studenta biznesu: *A to Polska właśnie*.

Księdza grał prawdziwy ksiądz, nie najlepiej, mimo że prawdziwek.

January, który pożyczył im wozy i konie na to wesele, by zajechali pod chatę, powiedział mi, że nie może rozwieść się z żoną, gdyż lato się już skończyło, a zimą mógłby się strasznie zaziębić. Z pewnością puściłaby go całkowicie gołego. – W pewnym wieku trzeba bezustannie uszczuplać masę spadkową! – dodaje.

Do „Czytelnika” wpada Pszoniak, mówi, że chce grać Papkina. Może.

Wypada.

Zamiast jeść ślimaki w Paryżu trzy razy dziennie, zabiera stertę pierogów z mięsem w reklamówkę dla żony na Górnośląską.

Nieoczekiwanie Gustaw pyta, co ma wspólnego Lwów z chrześcijanami?

Nikt nie wie.

– Lwów rozszarpali chrześcijan, a Sowieci Lwów.

Śmiech.

Rozbijają mi kamień w nerce.

– Panie doktorze, udało się? Rozbity?

– Przypuszczam, że tak, bo na tym aparacie nic nie widać. Musi pan dużo sikać. Jak poczuje pan straszny ból, znaczy rozbity i idzie...

W nocy straszny ból.

Wizyta w Szpitalu Dzieciątka Jezus. Jazda meleksem po dróżkach do dyżurującego lekarza od USG. Podróż w poszukiwaniu zagubionego kamienia nerkowego. Okazuje się, że zniknął z moczowodu.

Młoda lekarka w półmroku gabinetu ogląda na monitorze moje flaki.

– No, nereczka ładna, ładna, i prawa, i lewa. Nabrać powietrza, nie oddychać. Wątróbka dużo przeszła. Improwizowało się, co? Oddychać. W pęcherzu pusto, kamienia nie widzę.

– Niech pani zobaczy w członku.

– Nie będę grzebać w członku, niech to zrobi urolog. Ale radzę, aby nie pozwalał pan sobie tam grzebać. Nie ruszać tego, co natura schowała.

Mogłaby powstać część sagi *W poszukiwaniu zagubionego kamienia nerkowego*, np. *Sodoma i Gomora Urologii*, *W cieniu przekwitłych pielęgniarek*, *W stronę USG...*

Opowiadam to przy stoliku.

Gustaw niezadowolony, że wszyscy się śmieją z mojego gadania.

– Ofiara hipochondrii – komentuje. – Miejscowy Hiob.

Jego żona nawiązuje do sytuacji na lewicy.

– Słusznie, nie należy grzebać w członkach.

Ma na myśli SLD.

Lubi mieć ostatnią pointę.

Gustaw umie naśladować górali.

Na procesie sędzia pyta oskarżonego górala:

– Czy przyznajecie się do zabicia?

– Nie zabiłem.

– Uderzyliście go?

– Uderzyłem.

– I co?

– Upadł.

– Podniósł się?

– Nie miał prawa.

– A więc zabiliście go?

– Nie zabiłem.
– Podniósł się po tym, jak go uderzyliście?
– Nie miał prawa.
– A więc zabiliście go!
– Nie zabiłem.
I tak do końca procesu.

W kinie „Atlantic” na seansie filmu *Lady Killers* kobieta zasztyletowała siedzącego obok mężczyznę.
Zaczęło się!!!

Dziś Holoubek był w dobrej formie. Przyszedł do kawiarni po serii kroplówek w szpitalu.
– Cholernie głodny stale jestem.
– Szpinak możesz jeść?
– Mogę, ale niesłony.
Żarty.
Opowieść o tym, jak na Plantach w Krakowie szli Sienkiewicz z Modrzejewską pod rękę, a do nich zbliżał się hrabia Tarnowski, redaktor „Czasu”. Widzieli siebie już z daleka. Narastało napięcie. Kto komu ma się pierwszy ukłonić? Wypadało Tarnowskiemu, bo Sienkiewicz szedł z kobietą. Ale hrabia nie robił najmniejszego gestu do cylindra. Wtedy Sienkiewicz nie wytrzymał i pierwszy uchylił kapelusza. Tarnowski skomentował to na głos:
– Nie dość, że idzie z kurwą, to jeszcze mi się kłania.

O pogrzebie znanej aktorki:
– Nieboszczka chuja bardzo lubiła – szepnął nad grobem na cały głos znany przedwojenny estradowiec Lawiński.
Gustaw mówi, że to aktorska dbałość o dykcję, a poza tym:
– Było to jakieś pochwalne i akceptujące działalność artystki w każdej dziedzinie.
Młodość ma swoje skróty: nara, spoko, siemanko, kissaczki...
Pewien ksiądz katecheta chciał znaleźć wspólny język z młodzieżą, którą nauczał religii.
– Pochwa, chłopaki! – powiedział, gdy wszedł do klasy.

Ktoś o M.: Wyszła za niego, bo myślała, że niedługo umrze, a tu żyje trzydzieści lat. Straszne i okrutne! I nieprawdziwe.

Grecy. Empedokles: „Żadna ze śmiertelnych rzeczy nie ma narodzin ani końca w nieszczęsnej śmierci". I dalej: „Głupcy – niedaleko sięgają ich myśli, gdyż sądzą, że powstaje coś, co przedtem nie istniało albo umiera i ginie całkiem". Pocieszające.

Powiem Gustawowi, zobaczę, jak to skomentuje.

„Wraz z wiekiem coraz bardziej uwiera obca szata ciała".

Nie moje.

Pośpiech i zwłoka! Piękno i szpetota! Prawda i ślepa niejasność!

Wszystko równocześnie!

„Pośpiech i krzątanina oznaką złego wychowania" – W.F. o żonie rano.

W.F. – znany playboy sprzed lat.

Żona – znana autorka tekstów piosenek.

Gustaw opowiada, że za czasów jego młodości gruźlica brała się z ciepłego mleka od krowy. Krowy chorowały na gruźlicę, ale im to nie szkodziło. Był taki lekarz rentgenolog, co się cieszył, jak odkrył cavernę, czyli dziurę w płucu: – Jest, jest wielka caverna jak łeb krowy! Cieszył się. Używał aparatu, który był chyba pierwszym aparatem rentgenowskim w Europie. Rzecz działa się w Zakopanem. Trzeba było po ciemku przeciskać się przez jakieś ścianki oddzielające go od pacjentów, aby znaleźć się za ekranem. Po dwóch tygodniach znów prześwietlenie, doktor zachwycony: – Jest pan całkowicie zdrowy! Dziura zniknęła.

Przypuszczalnie tylko na jego sprzęcie. Raz przyszła kobieta z dzieckiem do prześwietlenia. Ekran z promieniami X był nieruchomy. Trzeba było postawić dziecko na krześle. Po prześwietleniu dziecka kobieta poprosiła, aby ją też prześwietlić. Stanęła na krześle, nigdy nie była prześwietlana, myślała, że tak trzeba. Lekarz wykrzyknął zachwycony:

– Piękną cavernę widzę!.. Ale płuc nie widzę.

Zgadało się to wszystko z okazji pobytu w klinice. Widziałem tam L. – wesołego, dowcipnego mężczyznę, byłego króla życia towarzyskiego. Siedział na wózku ze zwieszoną głową. W pierwszej chwili go nie

poznałem. I dobrze, nie wiedziałbym, co powiedzieć. Wieźli go gdzieś na kolejny zabieg. Na starość wożą nas w wózku jak niemowlaka.

Przerażające.

„Antysemityzm – podobno mówił Słonimski – to nienawiść do Żydów większa, niż na to zasługują".

– Jestem po kursie asertywności, ale jak pan nie przestanie, dam w mordę!

– Ćwiczyłem asertywność i emisję głosu, mimo że jestem nieśmiały.

Kolacja z tancerkami. Startowały w Los Angeles w konkursie na stare tancerki i starych tancerzy. Nie przyjęli ich ze względu na wygląd. – My mamy po sześćdziesiąt pięć lat! – protestowały. Ale nie wyglądacie na tyle. Odpadły. Szykowały sobie układ, wszystko na nic. Gdyby były kulawe i chrome, mogłyby wygrać. Mnie lekarz po USG też mówi, że świetnie wyglądam... z zewnątrz.

Wróciły z wystawy – instalacji pewnej Japonki, co wszędzie wsadzała różnej wielkości członki męskie z plastiku. Na malutkiego i zwiniętego ze strachu chujka jedna z nich wskazała, mówiąc: – Pamiętasz Roberta?

Pamiętała.

Jedna drugą zabrała do Francji na chałturę. W samolocie uczyła ją, pokazując kroki palcami dłoni na blacie stolika. Wszystko szło dobrze, tylko że w kankanie pomyliła kolor sukni. Gdy zapaliło się światło, dwadzieścia dziewcząt stało w czerwonych spódnicach, Polka była w zielonej.

Odleciała do Polski najbliższym samolotem.

Siedziałem z nimi w SPATiF-ie na kolacji. Kilku znajomych myślało, że coś mnie z nimi łączy. Niektórzy nie wyobrażali sobie, że można spędzić śmieszny wieczór w knajpie bez seksu, łóżka, pierdolenia. Takie napalenie mężczyzn już dawno jest *out of date*.

Halleluja brothers!

Jedna z nich wyszła wcześnie za mąż.

– Myślałam, że to jest stary, mądry człowiek. A on był tylko stary.

Czytam Russa (tak go spolszcza Boy-Żeleński). J.J. Rousseau *Wyznania*. W Księgarni Taniej Książki kosztowała 5 zł. Lubię się zanudzać. A tu niespodzianka, nie mogę się od niej oderwać. Poza tym jest tak gęsta od

zdarzeń i analiz, że nie można długo czytać, bo albo trzeba do końca, albo po kawałku. Kilka rzeczy wspaniałych. O podróżowaniu: „Nie mamy przyjemności dzisiaj w wędrowaniu, z niecierpliwością chcemy się jak najszybciej dostać do celu". Autor napisał to dwieście lat temu. Nie wiedziałem, dlaczego tak nie lubię prowadzić samochodu, nawet gdyby był najszybszy, najwygodniejszy. Niecierpliwiłbym się pewnie i wtedy, gdybym przebywał przestrzeń z szybkością światła. Trzeba zacząć w ę d r o w a ć! Niecierpliwość przybycia do celu zastąpić rozkoszą wędrowania – zachęca Russo.

Ale gdzie, jak? Kiedyś z Maklakiem planowaliśmy podróż na rowerach ze SPATiF-u w niewiadome. Ustalaliśmy daty, terminy, zawsze kończyło się na projekcie. Zostawaliśmy w knajpie i piliśmy do późnej nocy. A tak mogło być interesująco. Wędrować!

Z niecierpliwością czekam, aż Russo spróbuje po raz pierwszy z kobietą. Jestem ciekaw, jak daleko autor posunie się w opisie. Na razie miał przyjemność ze starszą od niego panną, co biła go po tyłku, jednym pedałem, co rzucił się na niego, i „mamuśką", do której się onanizował.

Powiedział wtedy: „Ten nałóg tak poręczny dla wstydliwych i nieśmiałych natur ma prócz tego wielki urok dla człowieka z żywą wyobraźnią; daje możność rozrządzania niejako całą płcią niewieścią i wciągania w swe uciechy piękności, która nas kusi, bez potrzeby starania się o jej zgodę".

Salvador Dali też tak uważał. Mówi, że bez onanizmu nie ma prawdziwego artysty. Onanizm rozwija wyobraźnię. Ale trzeba mieć materiał do fantazjowania, do cholery! U presokratyków: nie istnieje żadna rzecz, która nie może być pomyślana. Albo odwrotnie. Tylko taka rzecz może istnieć, którą można pomyśleć. A o to w seksie coraz trudniej, trzeba sięgać do starych zasobów w pamięci. Grzebać się w odległych doznaniach i doświadczeniach. Komponować je na nowo. Stosownie do wieku, chociaż w wyobraźni można nie liczyć się z możliwościami. Zarówno towarzyskimi, jak i fizycznymi.

Postęp technologiczny. Z roku na rok prezenty pod choinkę są coraz trudniejsze do rozpakowania.

Święta. Święta, święta i po świętach... Większość życzeń traci swą ważność.

Starość? Jak się pomyśli o alternatywie... Brr!

Moja znajoma przyjechała z prowincji do Warszawy. Zobaczyła na masce mojego samochodu kilka reklamówek agencji towarzyskich.

– O Boże, przecież to jakieś dziecko może zobaczyć!

Dzieci już to nie interesuje. Traktują te obrazki jak nieciekawy komiks.

W telewizji polskiej w *Wiadomościach* bez opamiętania pokazują sceny gwałtu. Protestują przeciwko biczowaniu manekina Chrystusa w *Pasji* u Mela Gibsona, a z lubością oglądają podrzynanie gardła przez Arabów jakimś Japończykom w Iraku.

BBC ominęła te sceny. Nie wiem, czy z przyzwoitości, czy z wyrachowania politycznego, żeby nie drażnić ludzi przeciwnych wojnie w Iraku.

Zaczyna się proces zapominania najprostszych słów. Straszna perspektywa. Ale może są to słowa niepotrzebne? Na przykład *popcorn*.

Mniejsza z tym.

Holoubek opowiada o znanym aktorze, który tak relacjonował kolegom swoje przyjście do teatru i co zdarzyło mu się po drodze.

– Proszę was – mówił pięknie ciepłym barytonem – budzę się dzisiaj rano jak zwykle... (A kiedy ma się budzić?) Piję kawę. Ubieram się, schodzę na dół, a mieszkam przy ulicy... tego... No, *mniejsza z tym*. Na dole są delikatesy. Ruszam do teatru ulicą... jak jej tam... *Mniejsza z tym*. Przechodzę przez park... ten, no... jak mu tam... *Mniejsza z tym*. Jest tam taka wielka fontanna. Nagle patrzę, przyplątał się do mnie jakiś pies... Idę dalej... tym placem, co się teraz nazywa... *Mniejsza z tym*... Pies ciągle obok mnie. Wchodzę na Krakowskie... *Mniejsza z tym*, ten pies ciągle przy mnie. Mijam pomnik... tego, jak mu tam... *Mniejsza z tym* i jestem na czas w teatrze. Dlaczego nie zaczyna się próba? Gdzie jest reżyser, ten... jak mu tam... *Mniejsza z tym*. Zdążymy panowie napić się kawy?

– Ale co z tym psem?

– Jakim psem?

– No, mówiłeś...

– A co mnie jakiś pies obchodzi!

Mniejsza z tym.

Coraz częściej.

– Nie jestem Bułgarką, żebyś mnie traktował jak tirówkę. Nie spotykamy się w lesie przy dwupasmówce E7!

– Ty nie jesteś Bułgarką, a ja niestety nie jestem Bułgarem. Muszę mieć jakąś pikantną podkładkę, abym poczuł się pełnosprawny. Nawet to, że jesteś Bułgarką na E7, czasami wystarczy, aby zaiskrzyło.

– W paszczu choczisz?

– Orgazm albo śmierć!

Trawestacja nicejskiego zawołania Rokity.

Nareszcie! Dwudziestoletni Russo zdobyty przez „mamuśkę". Bez namiętności z jej strony, za to z wyrachowania, bo inna kobieta chciała go posiąść. „Mamuśka", aby uchronić młodzieńca od rozpustnicy, dała mu to, o czym marzył, choć z pewnym opóźnieniem. Bez entuzjazmu, ale elegancko, tak jak robi się grzeczność towarzyską.

Znałem takie kobiety.

Dzwoni telefon.

– Hallo! Tu badanie prostaty przez telefon. Ma pan życzenie?

– Tak.

– Proszę włożyć słuchawkę w dupę.

Poznaję Henia.

Zakopane.

Biorę na noc od kierowniczki domu wczasowego trzy książki: *Bhagawadgitę – taka jak jest*, *Vademecum leków* i trzecią – z wyrwaną kartką z tytułem. Natychmiast poznaję, że napisała ją Barbara Wachowicz. Rzecz jest o kobietach Henryka Sienkiewicza.

Kartkuję z niecierpliwością, aby znaleźć fragment, jak go rzuciła trzecia żona, młodziutka Wołódkowiczówna. Autorka kluczy, zwodzi, a ja gdzieś, kiedyś czytałem, że nie mógł jej po prostu skonsumować. Nie stawał mu. Zagłębiam się w *Vademecum leków* i czytam do rana.

Śpię godzinę, budzi mnie powrót sąsiadów z jakiegoś bankietu. Otwieram *Bhagawadgitę*: „Bez względu na to, gdzie umysł zbłądził – z powodu swojej chwiejnej i niespokojnej natury – należy natychmiast powstrzymać go i z powrotem poddać kontroli jaźni".

Poddaję go i zasypiam.

Ale się budzę. Czytam w *Bhagawadgicie*, że mam pięć zmysłów czynnych: głos, nogi, ręce, odbyt i narządy płciowe. Znów zasypiam,

zamiast zrobić użytek z tego ostatniego.

Kłapiące sztuczne zęby u kobiety, która była trzydzieści lat temu moją narzeczoną, w dodatku źle zrobione, są nie do zniesienia. Zmarszczki na twarzy jak siatka Mercatora na głobusie są łatwiejsze do zaakceptowania.

Spędziłem noc w izbie przyjęć. Kroplówka. Wypiłem wczoraj za dużo. Rano przypadkowo odbieram od listonosza rachunki telefoniczne. Otwieram i zdumiony sumą do zapłacenia, zaczynam studiować billingi Marty. Około stu telefonów i esemesów do mecenasa o różnych porach, czyli trzy na dzień. Najpierw do mnie i zaraz do niego. Nasilają się w porze popołudniowej – umawiają się na wieczór, bo później już nie dzwoni! Dopiero po północy znów dzwoni albo wysyła: *I love you* lub *I miss you*. Do mnie podobnie.

Ciekawy jestem, jak to „ambiwalentna" skomentuje? Jako Mister Hyde z pewnością.

Czeka mnie z nią rozmowa decydująca. O czym? Zasłona spadła. Ukazuje się normalna rzeczywistość, od dawna przeczuwana i okupiona obopólnym cierpieniem. Jakie to banalne. Sprawdzam w kalendarzu, kiedy wyjeżdżałem z miasta. Nasilają się wtedy jej kontakty z mecenasem, aż komórka rozgrzewa się do czerwoności.

Piekielny ten wynalazek: billingi. Podszept szatana, aby je sprawdzać!

Puszczam dymy o mecenasie. Mówi, że nie kontaktuje się z nim jak z mężczyzną. Rozmawiają. Ciekawy jestem, co powie, jak pokażę jej daty, godziny i częstotliwość tych „rozmów" z wykazu billingów.

– Tak! Dzwoniłam, i co z tego?

Tysiące pytań i ani jednej prawdziwej odpowiedzi.

Rozstaliśmy się.

Na chwilę.

W Austrii można zlecić pożegnanie przez internet, korzystając z Agencji Rozstań. Oferują pakiety w różnej cenie. Na przykład pożegnanie przez telefon: „Zostańmy przyjaciółmi" albo „Zostaw mnie w spokoju", kosztuje 19,95 euro. Pestka. Za list – 29,95. Wizytę domową z odebraniem osobistych rzeczy – 49,95 euro plus dodatek za miłe zdanie o porzuconym.

Europa!

A u nas?

Bagno.

Z miłości do mnie chce mnie rzucić, aby nie krzywdzić zdradą. Uprzedza cały proces niewierności z szacunku i serca dla mnie. Wyższy stopień dobroci i oddania. Całkiem nowe podejście!

Khalil Gibran: „A co jutro może przynieść zapobiegliwemu psu, który zakopuje kości w bezkresnym piasku, podążając za pielgrzymami do świętego miasta?".

Wkładam swoje oszczędności do PKO na zmienny procent, licząc na zysk za trzy lata. Ciągle zapobiegliwy pies.

Ale nie przewidział kryzysu.

Ktoś mnie pyta.

– Gdzie jest twój dom?

– No... mieszkam...

– Ja pytam o dom. To znaczy, gdzie jest twój pies? Nie żona, dziecko, kochanka, matka. Pies!

Jaka głęboka prawda! Szczególnie na starość.

Zaraziłem sobie paznokcie grzybicą, chodząc boso w szatni tenisowej. Wizyta u dermatologa. Musiałem najeść się prochów i robiłem co trzy tygodnie tzw. shoty. To znaczy zastrzyki. Jak to angielszczyzna wkrada się nawet do języka dermatologów, do których chodziło się kiedyś tylko w sprawie rzeżączki albo syfa. Teraz najpopularniejsza grupą u tych lekarzy są tenisiści, pływacy i lekkoatleci.

– Pięknie, pięknie rosną panu nowe paznokcie – mówi dermatolog podczas kolejnej wizyty. A teraz odkażanie w komorze gazowej w Wilanowie.

Bo najgorsze są zarodniki. Pięć lat mogą żyć.

Przestałem grać w tenisa.

Nawet tam już się nie rozbieram i nie ubieram do gry. Pamiętam pewnego inżyniera w klubie... Był już starszym człowiekiem (w takim wieku jak ja teraz). Przychodził do szatni klubu tenisowego Legii, rozbierał się, przymierzał różne rakiety, sprawdzał piłki, a potem brał prysznic i ubierał się. Trwało to około dwóch godzin. Najważniejszy był dla niego rytuał zachowania się tenisisty z klasą.

Mówił wszystkimi językami europejskimi – po angielsku, po niemiecku, po francusku i tak dalej – ale tylko jedno zdanie:

I am endżinier of agrikalczer. Ze agrikalczer is ze most important part of our economy. Je suis enżenier agricultur. Agricultur est tres important. Io sono ingegnere agricoltura. Agricoltura e molto importante. Ich bin...

I tak leciał przez siedemnaście języków.

Potem wdrapywał się na stół, krzesło, stołek i podpatrywał przez okienko pod sufitem, jak kąpią się juniorki.

Spadł z dużej wysokości, połamał się i nie pokazał się więcej w szatni nasz *Endżinier of Agrikalczer*, ale też wytrwały erotoman.

Dzwonię do Muzeum w Wilanowie, żeby odkazić buty po kuracji antygrzybowej. Telefon odbiera niskim, ciepłym głosem jakiś pracownik, zapewne po studiach na UW – wydział historii sztuki, praca magisterska i doktorat z malarstwa wczesnego Veronese.

– Gazujemy tylko raz w miesiącu. Niezależnie od ilości obuwia. Czekam na zapełnienie komory. To jest zbyt kosztowne, abym gazował tylko pana kapcie. Czekamy, gdyż ma przyjechać z Krakowa jeden zagrzybiony obraz.

– Mam nadzieję, że to nie *Dama z łasiczką*, wstyd by mi było przed nią, to mój ulubiony portret kobiety.

– Nie. Ale nie mogę zdradzić panu, co to będzie, ze względów bezpieczeństwa.

– Proszę też nie informować publicznie, że moje kamasze będą gazowane w tym sezonie – odwzajemniam się.

– Oczywiście.

Mam czekać na telefon.

Jaka straszna prowincja! To, co interesuje świat, znika, a w mediach pozostają tylko małe sprawki małych ludzi, jakieś plotki, złodziejstwa na różną skalę. Dziwiłem się, objeżdżając Amerykę, że nie interesuje ich nic poza własnym obszarem interesów. Świat ograniczają do podatków, highwayów, morderstw w okolicy i pogody na jutro. Mamy to teraz u nas.

Irak – publikują zdjęcia z torturowanymi więźniami... Coś, co zachwiało wiarą w Amerykę, demokrację i niesienie ludziom nadziei na lepszy świat. Ustrój, porządek pękają – w opinii świata – a u nas w telewizji i prasie ani słowa. Zamiast tego zagadka, czy to senator Stokłosa smrodzi na okolicę.

Wesoło jest w szpitalu. Szczególnie jak do izby przyjęć zaczynają zwozić nowych pacjentów. Ile kolorów, typów, jęków, reakcji sióstr, lekarzy, rodzin i papierkowej roboty personelu. Jaki mam tam kontakt z życiem? Tylko w izbie przyjęć. Byłem przyjmowany już w tylu miejscach. Ostatnio po wypadku drogowym. Spieszyłem się na pociąg. Ranek mglisty, wstrętny, jak to ostatnio w maju. Stłuczka. Walę głową w przednią szybę. Policja, pogotowie. Siedzę otępiały. Wiozą mnie karetką do szpitala. Izba przyjęć. Gwar. Uwijają się pielęgniarki. Na wózek! Z wózka! Prześwietlenie kręgów szyjnych nic nie wykazuje. Na wszelki wypadek zakładają mi usztywniacz na kark, sumitując się, że to niezbyt elegancko wygląda. Podają adres luksusowego sklepu z takimi urządzeniami. Zostaję w tym szpitalnym. Biały. Wyglądam jak pastor. Błogosławię personel i wychodzę o własnych siłach. Inni zostają.

Czasami na zawsze.

Przy stoliku ktoś relacjonuje. Wróciła do mnie Krystyna. Wzięła się do sprzątania. Postawiła trzy warunki: pierwszego nie pamiętam, drugi to natychmiastowy rozwód, trzeci to zakup zmywarki.

Z tymi propozycjami to tak jak w tym żarcie.

– Mam dla pani dwie propozycje.

– Do buzi nie biorę.

– To przejdźmy do drugiej.

Mój doświadczony przyjaciel często mi powtarzał: „Jak stoi problem pierdolić czy nie pierdolić, zawsze pierdolić!

Potem możesz żałować”.

Dzwonili z Wilanowa. Jutro gazowanie z rana. Trzeba przygotować buty i dwieście złotych plus VAT.

Sprzedaję pięcioletni samochód. Ciężko rozstawać się z czymś, z czym miało się tyle kłopotów. Porysowania, uderzenia, duża katastrofa, w której o mały włos nie straciłem życia. Tak jak z kobietą, która przysparza nam tylu zmartwień, a rozstanie jest ciężkie, bo pamięta się też przyjemność jazdy, przyspieszenia, wspólne branie zakrętów, wyprzedzanie i start z piskiem opon.

Dzisiejsze rzężenie motoru na wysokich obrotach to konsekwencja tego wspólnego życia. Jak w za długim związku.

Usuwanie rekwizytów: stare rękawiczki, jakieś opakowanie, taśmy do nauki języka hiszpańskiego, mapa Austrii, nitrogliceryna zapasowa, kwity z pralni, pęknięte szkło od okularów przeciwsłonecznych, dowody w postaci kwitów, że był zdrowo trzaśnięty... Jakie to podłe!

Żal.

Samochód smutny stoi na ulicy pod domem i czeka potulnie na nowych właścicieli.

Siada koło mnie w Sopocie wysoka, czarna dziewczyna. Okazuje się, że jest grubo po czterdziestce.

– Byłam babcią klozetową na wyścigach w Ascott.

Nachodzą mnie wspomnienia z filmu *My Fair Lady*. Panie w pięknych kapeluszach, panowie w szarych frakach i wysokich cylindrach. A co w toalecie? Tego nie pokazują.

– Mam ciekawe spostrzeżenia – mówi. – Wiele się tam nauczyłam. Arystokracja daje napiwku trzy funty, middle class pół funta, a plebs zero funtów. A zostawia najwięcej brudów, podpasek, smrodu dezodorantów i potu. Taki jest plebs wszędzie.

– Powiedzmy.

– Wróciłam do Polski, bo kocham zwierzęta.

– Czy to nie rekompensata za brak kontaktu z ludźmi?

– Chyba tak.

Kupuję jej czerwoną różę. Jest wzruszona. Ma dwudziestosześcioletnią córkę, która uciekła z malarzem. Sama nie wie, czym żyje. Nie będę jej uświadamiać.

Popołudnie przed telewizorem. Tysiące banalnych twarzy i spraw. Romanse, polityka są śmiertelnie nudne. Na Animal Planet zwierzęta skaczą sobie do gardeł, opiekują się małymi, facet łapie jadowite węże, drugi specjalista od dzikiej natury chwyta jaszczurki za ogon. Nietzsche jest przeciw naturze, najwyższą wartością jest dla niego spokój kamienia. Wyższość martwej natury nad żywą.

Zgadzam się.

Przyćmione światła. Jest już po koncercie, nagle od baru odrywa się jakaś kobieta w czarnym kapeluszu. Twarz nalana, szeroka dupa, usta wymalowane. Poznaję Romę.

– Jesteś! Dopiero co skończyłam. Ale zaśpiewam ci bez muzyki *Summertime*.

Zaczyna śpiewać głosem zachrypłym, z widocznym wysiłkiem, bo trudno bez podkładu, dookoła ciemne typy byłych artystów, umalowana Rysia, gruby ze starości transwestyta warszawski, obok były właściciel sklepu z krawatami chwali mój krawat. Ma taki zawodowy sposób oceniania ludzi – po krawatach. Znałem pewnego dyrektora, co odsuwał okulary na czoło i chwytał za koniec krawata: – Co to za mareczka? – pytał. Waliłem go zawsze po łapie. Tutaj wiem, że chciał się przypodobać. Podchodzi człowiek, historia polskiego jazzu, ściska mi dłoń i mówi:

– We wtorek pogrzeb Wojtka...

Tamta śpiewa *Summertime*.

– Syn znalazł mnie po wylewie na podłodze – kontynuuje – pierwszy raz w życiu się przestraszyłem. Policja nie chciała wybić okna, chociaż mieszkam na parterze, bo tylko straż pożarna może to zrobić. Policji nie wolno, rozbija tylko drzwi, taką specjalność zatwierdził Sejm.

Summertime leci dalej.

– Wiesz, że Danka Rinn umiera?

– Wszyscy umierają – mówię.

Piosenkarka kończy i zaczyna od nowa.

Wychodzę. Wybiega za mną:

– Poznaj, mój ojciec. Tato, tato!

Starszy pan krąży po sali jakby trochę nieobecny. Witam się i żegnam.

Roma wygląda jak sprzedawczyni z MHD, a kiedyś była bardzo atrakcyjną kobietą.

Choroba robi z człowieka innego człowieka.

Sygnał, że na poczcie głosowej mam wiadomość. Godzina 5 rano. Jakby jej głos.

„Ejch...ełab...sch!” – bełkocze.

Nie przeszło jej.

Po latach zobaczyłem Łyżwińskiego, jak udzielał wywiadu dwóm panom z TVN-u. Przed wyrokiem. Cień dawnego zdobywcy kobiet. Odczytywali mu zeznania, że trzymał ją za pierś, rozbierał... Jakie to wszystko nędzne. Seksualny Potwór z Piotrkowa. Don Juan Samoobrony.

Czyta w celi presokratyków(!).

Okazało się, że jest chory na raka.

Leczył go dentysta więzienny.

Skoro jest już skończony w oczach publiczności telewizyjnej, to można go trzymać w celi, mimo że wyje z bólu.

W Iraku zabili Milewicza. Dobrze wymierzony cios. To nie było przypadkowe. Zaczynają się sypać dalsze polskie ofiary. W Stanach senatorowie na wolnym ogniu smażą Rumsfelda za tortury na irackich więźniach. Bush mówi, że jak oglądał zdjęcia, to miał *stomach sick*. Gołym muzułmanom kazali się samogwałcić. Na zdjęciu wśród nagusów z kapturami na głowach roześmiana i podniecona baba w mundurze. Mówi, że została zmuszona.

W Krakowie homo manifestują tolerancję, na końcu rozchodzą się po kawiarniach i pubach, a krew się leje z policjantów walczących na Rynku z chuliganami. Strzały, bitwa, ranni wśród hetero. „Ciotki" – zza szyb lokali rozrywkowych – z zainteresowaniem oglądają osiłków rzucających kamieniami w osiłków z policji.

Są sprzeczności na śmierć i życie. Są też tylko na w s p ó ł ż y c i e, tak jak zdrowie i choroba. Można z tym żyć. Poważną sprzecznością dla zdrowia jest tylko śmierć.

Przeczytałem jeszcze raz wyniki badań lekarskich z zeszłego miesiąca. Jakie to szczęście, że człowiek jest taki powierzchowny i zapomina o poważnych sprawach. *Carpe diem*! Sięgam po anonsy agencji towarzyskich. Cóż za fascynująco-optymistyczna lektura:

Czarujące dziewczyny! Planeta kobiet! Księżycowa bajeczka! Prysznic w każdym apartamencie! Osobny domofon pod bramą! Wesołego Alleluja! Z tą ulotką piwo gratis! Francuski „bez" w cenie! Euro casting! Perfect love! Korepetycje z francuskiego! Kurtyzana całodobowo! Różowy salonik! Różowa piątka! Luksusowa aktorka filmowa P.

Zachodzę w głowę, kto to mógłby być?

Odważyłem się w zeszłym roku, będę jeździł na nartach i w tym.

Tymczasem zamiast wyjazdu szpital – leczenie migotania serca. Ona ma jechać z panem mecenasem. Już schodzi na dół – ja nieoczekiwanie zdrowieję! I nie pozwalam jej z nim jechać. Czule się żegnają, obserwuję to

z okna. Jak w *Szkole żon* Moliera, kiedy stary mąż podpatrywał młodych. Otwierają i zamykają drzwi samochodu. Nie mogą się rozstać!

Gdy odjechał, stopniowo ustępuje mi migotanie. Może pojedziemy jutro, ale razem. Będę ich bacznie obserwował.

Jedziemy! Migotanie ustąpiło. Mam codziennie brać zastrzyk. Pogoda fatalna. Mży, śnieżek.

O godzinie 12.20 było ponuro.

O godzinie 13.00 świeciło słońce.

Mecenas z dwiema koleżankami jest już o cały dzień przed nami.

Ciągle miałem koszty: obiad, benzyna.

Zaraz będzie granica. Znów koszty – na naklejki upoważniające do jechania po szosach i highwayach Czech i Austrii. Koszty, koszty – przypomina mi się *Skąpiec* Moliera. Co ja z tym Molierem?!

Śpimy w motelu przed granicą austriacką.

Ruszamy rano, pod wieczór jesteśmy na miejscu w Alleghe Italia.

Od rana jest pięknie.

Alpy we wstającym słońcu.

Zawsze zazdrościłem Iwaszkiewiczowi albo innemu literatowi, że mógł pod wierszem albo nowelą podpisywać jakąś włoską miejscowość i datę napisania utworu. Postanawiam też tak robić, ale nie mam nic do podpisania. Zaczynam pisać wiersze, z wyraźnym ukierunkowaniem przeciw mecenasowi, który dla oszczędności śpi w łóżku z dwiema koleżankami.

Zatytułowałem cykl *Liryki dolomickie* i po pierwszej wspólnej kolacji napisałem następujący krótki utwór:

„Już pierwszego wieczoru chciał porwać niebogę
Nie ma drań sumienia, ciągle wchodzi w drogę”.
Alleghe, *Italia* 2007

Rankiem następnego dnia, po śniadaniu z mecenasem, napisałem drugi:

„Pojawił się rano, rzucił się na szynkę,
Lubi schrupać mięso lub ładną dziewczynkę”.
Znów podpisałem: *Alleghe*, *Italia* 2007.

Mecenas po nartach bierze prysznic. J a s z m i r u j ę dalej:

„Podgląda przez dziurkę pana mecenasa
Od dawna ciekawa nowego kutasa”.
Alleghe, *Italia* 2007

W pewnym wieku człowiek może udawać wszystko, ale nie to, że jest szczęśliwy.

Wszystkie rzeczy pragną trwać w swej istocie, napisał podobno Spinoza. Kamień pragnie być kamieniem, tygrys tygrysem.

A ja...?

Podobno podczas snu wszystkie otwory w ciele śpiącego zamieniają się funkcjami. Kobiety słuchają swoim uchem między nogami. Łechtaczka pełni funkcję bębenka w uchu. Można też śpiewać odbytem arię Tristana z *Lohengrina* Wagnera. Ustami wydalać. Po pijanemu często się to zdarza. Uchem oglądać *Sąd Ostateczny* Boscha albo *Iwana Groźnego* Eisensteina odświeżonego w technik kolorze.

Taka jest moc snu.

Zagranica. Może Rumunia, może Bałkany... Urlop. Pali się cały pensjonat. Zaczynam się pakować... mam jak zwykle za dużo rzeczy – ubrań, szpargałów. Ewakuacja w chaosie bałkańskim, ładowanie pogorzelców do starych, drewnianych kolejowych wagonów. Dostajemy się do przedziału, jakby pokoju, szukam matki, nie mogę jej znaleźć w tym bałaganie. Pociąg jedzie, zasypiam. Budzę się, już nikogo nie ma, zostałem okradziony, wszystko zniknęło. Na szczęście zostały jakieś dokumenty – paszport, bilety. Chcę wysiadać, ale nagle znajduję podrzuconego pod ławką trupa matki owiniętego w białe prześcieradło. Pusty pociąg rusza, jadę gdzieś w nieznane, coraz szybciej, w pustym wagonie. Jakiś przerażający pejzaż miga za oknem.

Budzę się.

Znów przy stoliku z Gustawem.

W sali „Czytelnika” pojawia się jakaś dziewczyna. Gustaw mówi, że to córka chama, prostaka i łobuza, matki idiotki i pijaczki... Ona za to bardzo inteligentna i wrażliwy krytyk literacki.

Dowód, przeciw aborcji.

A potem opowieści z Zakopanego. Brandstaetter, przechrzta neofita, autor chrześcijańskich sztuk teatralnych, opiekował się Gustawem, który

leczył się w latach pięćdziesiątych w Zakopanem. Siadywali razem obowiązkowo w kawiarni „Europejska” (do dziś istnieje). Przyklejał się do nich jakiś nieudacznik pokraka – pretensjonalny i arogancki aktor. Raz zjawił się w kawiarni Xawery Dunikowski. Aktor z miejsca pochwalił się, że będzie grał Hamleta. Na to Dunikowski:

– Bardzo się cieszę, zawsze marzyłem, żeby umrzeć ze śmiechu!

Zwykle po takich celnych ripostach podejrzewałem, że Holoubek miał to wcześniej opracowane i używane kilkakrotnie. Może ze studentami. Nie wierzę, że można tak *impromptu*. Za dobre to jest i pasuje na każdą okazję.

Kończymy posiedzenie na często spotykanych różnicach w wysokości partnerów. Na przykład ona wielka baba, on malutki. Przyciąganie się przeciwieństw. Gustaw cytuje, co mówiła duża kobita w łóżku do męża o nędznym wzroście:

– Albo schodź na dół i rób co, albo chodź na górę i mów co!

Chcąc wejść na premierę filmu *Troja*, udawałem z Krysią Mazurówną, że przyleciała na tę premierę prosto z Paryża, tylko samolot się spóźnił. Musiałem przed bramkarzami mówić po francusku z paryżanką. Starczyło mi słówek tylko na kilka zdań. Powiedzieli, że nas wpuszczą, jak ustawią catering i fontanny greckie. Piękna Helena w wykonaniu polskiej modelki udawała piękną.

Nie widziałem filmu *Troja*, ale udzieliłem kilku wywiadów do mediów, chwaląc film. Nawet dawałem jakieś rady skrótów reżyserowi. Chwaliłem grę aktorską, scenariusz, *Iliadę* i piętę Achillesa.

Pogrzeb Milewicza. Od kilkunastu lat nie byłem na żadnym pogrzebie, od śmierci Tadeusza Łomnickiego. Dyr. Zieliński zaprasza mnie do środka kościoła, gdzie są miejsca dla VIP-ów.

Decyduję się wejść zaraz za trumną. Zamiast marsza pogrzebowego grają jakieś współczesne ukochane melodie nieboszczyka. Dobrze, że ja nie mam takich, co bym chciał, żeby mi zagrali... Za dużo epok i mód na muzykę: tanga, slow-foksy, boogie-woogie, big-beaty, Beatlesi, hip-hopy albo rap tego z Kielc Borixona: „A ty prostuj się, kurwa, prostuj!”.

W kościele walka o miejsca dla VIP-ów, jakiś facet mówi, że nie mogę tam usiąść. Siedzą byki z KRRiT, generałowie oraz Płażyński i Terentiew, która składając kwiaty, chciała uklęknąć przed trumną, ale zwaliła się na bok. Nie wiadomo dlaczego. Otyłość albo choroba nóg. W każdym razie rzucili się, by ją podnosić.

Przemówienie biskupa Głódzia trochę długie, zgromił dziennikarzy, że chcą zaciekawić swoimi reportażami widzów i czytelników. Ale potem chwali, że nieboszczyk „ciekawie relacjonował wypadki na świecie". Trochę to niekonsekwentne. W trakcie uroczystości żołnierz trzymający przy trumnie wartę honorową pocił się i chwiał, walcząc z trudem o utrzymanie wyprostowanej pozycji. Było strasznie gorąco od reflektorów. Tu Zielina ładnie zareagował i poprosił pułkownika, aby zmienili wartę, bo ten żołnierz zaraz padnie. Na szczęście przyszła zmiana i zielony jak ściana wartownik udał się na świeże powietrze.

Komunikował tylko jeden z Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji oraz Płażyński. Podczas transmisji zasłaniał mnie min. Dąbrowski, wychylałem się, ale to nic nie pomagało. Przyjmowałem pełen zadumy wyraz twarzy nad losem człowieka i czekającą go, za dobre sprawowanie, nagrodą w niebie. Dopiero teraz zorientowałem się, że w Iraku też giną w imię czekającego ich raju. Jest coś takiego w pogrzebach, że ludzie lubią wystawiać na pokaz wzruszenie i uczucia żalu za zmarłym. Zresztą zwykle każdy myśli o sobie i jak to będzie, gdy on zejdzie z tego świata. Przypomina mi się anegdota Gustawa o wielkim polskim aktorze, któremu umarła żona. Na drugi dzień kolega składał mu gratulacje, że tak wzruszająco rozpaczał przy trumnie w kościele.

Na to aktor:

– A widziałeś mnie nad grobem?

– Widziałem. Byłeś fantastyczny!

Wzruszyła mnie jakaś pieśń i wtedy rzeczywiście zadumałem się nad losem człowieka. Ale wówczas nie kręcili.

Na koniec przekazywaliśmy sobie znak pokoju, ale tylko pierwszy rząd notabli drugiemu rzędowi notabli. Do nas w trzecim rzędzie nikt z tamtych nie kiwnął nawet głową. Sobie tylko kiwali, kłaniali się i do siebie się uśmiechali.

Wazelina i fałsz.

Wyszedłem zaraz po wyniesieniu trumny, minąłem się z nowojorczykiem Golonko i najkrótszą drogą udałem się do zaparkowanego opodal samochodu.

Obok mnie szła jakaś para.

– A na co on umarł, proszę pani? – pytał jakiś wyrośnięty chłopak.

– Zabili go. Na śmierć.

– Kto?

– Nie wiadomo.

– Zaprowadzi mnie pani do babci?

– Nie mam czasu. Takiego dużego chłopca? Babcia z pewnością pana odnajdzie.

Odwróciłem się. Jakiś chory, niepełnosprawny młody człowiek.

– Jak mnie pan nie odprowadzi do babci, to ja wracam na pogrzeb.

Po chwili dopada mnie inny facet, ze sztucznie przyklejonym uśmiechem.

– Pan...?

– Tak.

– Poznaję mnie pan?

– Nie.

– Mieszkam teraz w Szwecji, jestem parodystą. Potrafię naśladować Hankę Bielicką. Przypomina mnie pan sobie?

– Nie przypominam.

– Może dlatego, że się zestarzałem. Mieszkam teraz w Szwecji, ale Milewicza zawsze oglądałem na TV Polonia. Zmieniłem się, ale zawsze jestem sobą. Zawsze jestem sobą! Zawsze!!!

Zostawiłem go.

Być sobą? Całe życie. Trudne i nudne.

Liczba tomów wspomnień Rakowskiego jest porażająca. Ludzie tak długo nie żyją. Gustaw o znanym tłumaczu *Ulissesa* Maćku Słomczyńskim:

– Jak obliczyłem to, co on mówił, co robił w życiu i kim był, Maciek musiałby żyć dwieście lat.

Dobrze byłoby użyć kalkulatora do życiorysu M. Rakowskiego.

Zrobić podsumowanie. Ale umarł.

Kiedyś umarł też Stefan Żeromski. Był wielki, uroczysty pogrzeb, ludzie szli ulicami Warszawy. Następnego dnia goli się u fryzjera Antoni Słonimski.

– No i co pan sądzi, panie Ryszardzie? O tym Żeromskim...

– A co?... Nakradł się, nakradł i umarł.

Manifestujący w Alejach Ujazdowskich przed rządowymi gmachami krzyczą: „Złodzieje! Złodzieje!...” niezależnie od tego, z jakiej opcji „złodzieje” siedzą za biurkami.

Od lat kupuję używane samochody po Joli J. Czuję się jak *second hand man*. Ona już klasę wyżej, ja zaraz po niej, ona planuje nowy model, a ja już się cieszę, że będę nim jeździł za dwa lata. Czy zdążę? Chociaż samochody wolniej się starzeją niż ludzie na emeryturze. Jest jakieś przyspieszenie. Jest modny i nagle rozpada się w okamgnieniu. Kiedy się zdobędę na odwagę, aby mieć coś z pierwszej ręki?

Dzisiaj przy stoliku Gustaw mówi, że wyszedł na prostą. To znaczy żyły są już połączone z tętnicami i można oczyszczać krew z mocznika. A przy tym bardzo zabawny i znów zgadało się o szpitalach.

A potem o zębach i wreszcie znów o Franku Starowieyskim, plastyku. Opowiedziałem im, jak Franek zaatakował Polaków z okazji Unii, że wieszają krzywo firanki, nawet w Pałacu Prezydenckim. Ogólna konsternacja. Powiedział, że on ma prawo tak mówić, bo się nazywa von Biberstein. A „von" sobie dodał, żeby Polacy nie myśleli, że jest Żydem. Gucio wspomina też, że Franek uważał, że wszystkie zamki nad Loarą są jego rodziny, królowa Elżbieta II jest jego ciotką i że pochodzi od Karola Wielkiego – ku zdumieniu posłów Samoobrony – więc ma prawo zwracać uwagę Polakom, że krzywo wieszają firanki. Surrealizm!

Ja opowiadam o sytuacji w klinice kardiochirurgicznej, jak Franek informował mnie po ciężkiej operacji serca, że zbliża się 14 lipca, a on w szpitalu nie będzie mógł zasłonić okien czarnym kirem w rocznicę rewolucji francuskiej, jak czyni to co roku. Świetna jest też jego opowieść, jak podczas okupacji spotkał się z Hitlerem. Otóż jako mały chłopak bawił na wsi w swoich posiadłościach i nagle widzi, że drogą zbliża się kawalkada niemieckich samochodów. Mimo że jest „von", zaczyna uciekać, chowa się za przydrożne drzewo, wreszcie zaczyna się na nie wspinać ze strachu przed hitlerowcami. Kawalkada zatrzymuje się, z mercedesa wysiada Hitler i zmierza w kierunku drzewa. Mały Franek umiera ze strachu, a Hitler – nieświadomy, że ktoś siedzi na drzewie – wyjmuje członka i zaczyna sikać. Franek z satysfakcją obserwuje, że Führer ma nadzwyczaj małego chuja. Hitler wytrząsnął co potrzeba, wrócił do auta i kolumna wozów zniknęła za horyzontem posiadłości rodziny „von".

Aby być, jak to się mówi, w temacie, zakończyliśmy spotkanie w „Czytelniku" przypomnieniem maksymy naszego arystokraty, że to chuj ma stać, a nie babskie cycki.

Dzisiaj Franka już nie ma.

Za długo się żyje. Co za idioctwo z tym przedłużaniem życia przez medycynę! Najgorsze, gdy wiek nie zgadza się z kondycją. Młody chory – stary zdrowy.

Trzy przykłady.

Natręci zawsze się pytają:

– Jak się czujesz?

– Ale dlaczego mam czuć się źle?

Bo wiedzą, ile masz lat.

Dzwoni telefon. Znajomy głos męski. Wowo Bielicki (Bim-Bom oraz autor scenariusza manifestacji młodzieży na Stadionie Dziesięciolecia: „Wchodzi ważna Osoba. Wszyscy wstają i skandują: „Gierek! Gierek!...").

– Zapraszam cię na kolację, ale... Ty jeszcze wychodzisz?

– Jak potrzeba, to wychodzę.

– Bo większość w naszym wieku już nie wychodzi.

– Niech spierdalają!

Stoję w sopockim SPATiF-ie przy barze. Doklepuje się jakiś starszy gość i nudzi szczegółami swego nudnego życia. Zjawiają się dwie młode, piękne dziewczyny studentki. Rozmowa, żarty, komentarze. Miętolę w tłoku kurtkę, z której wypada mi długopis. Schylam się. Szukam dłuższą chwilę. Tamten pyta z troską w głosie tak, że słyszą go dziewczyny stojące obok.

– Sam się podniesiesz czy ci pomóc?

Nie ma dalszej rozmowy. Płacę i znikam z lokalu.

To Woody Allen, ale tragiczny.

Przy stoliku Gustaw pointuje:

– Podchodzi do mnie staruszka i mówi: „Kochała się w panu moja mama".

Góraszka. Pokazy samolotowych zawodów. Leje jak z cebra. Śmiertelnie niebezpieczne ewolucje mało kto ogląda, bo ludzie pochowali się pod parasolami. Często w życiu jest tak, że zmaganie się z chorobą, niebezpieczeństwem, zazdrością, nieodwzajemnioną miłością, a także troska o kogoś najbliższego są gdzieś głęboko schowane. Nie podejrzewamy, że w ogóle istnieją.

Ekwilibryści z Czech pięknie latali, ułamki sekund i centymetry decydowały o ich życiu. Dawali popis sztuki, estetyki i poczucia rytmu w podniebnym locie. Kobieta pilotka i trzech mężczyzn. A publiczność piła piwo, siedziała w namiocie w pizerii lub pod parasolami i nic nie widziała. Deszcz.

Następnego dnia była słoneczna pogoda, ale już nie pojechałem.

Niemczyckiego piękna idea pokazów lotniczych. Nie ma sukcesu bez pasji i namiętności.

Najważniejsze to mieć target. Musisz wiedzieć, dla kogo jest produkt. Ale i odwrotnie. Musisz wiedzieć, czego szukasz. Kapitalizm z jego marketingiem wkroczył w życie erotyczne. Na co się ukierunkować? Dojrzała? Młoda? Blondynka? Mała, wysoka, piersiasta? Płaska, skromna, rozpustna, dziwka? Pobożna, skrzętna? Rozrzutna, wykształcona, głupia? Mądra? Dzisiaj trzeba być zdecydowanym. Inaczej zwariujesz, jest za duża podaż.

Za komuny, jak się pojawiła jedna ładna dziewczyna na Nowym Świecie, to szło za nią kilku warszawskich podrywaczy. Ktoś wolno jechał samochodem, inny szedł po drugiej stronie ulicy. Dzisiaj z odkrytymi pępkami idzie kilkaset obiektów i mało kto zwraca na to uwagę, chyba że wpadnie mu w oko to, czego potrzebuje, co odpowiada jego *targetowi*.

Decyzja na temat *targetu* jest teraz najważniejsza.

Po powrocie z Wybrzeża odwiedzam psychoterapeutkę.

Kiedy dopytuję się, jakie ma podstawy, aby terapeutować, mówi:

– Chodziłam cały rok do specjalnej szkoły psychoterapii. Mieściła się w Domu Kata na Starym Mieście. Nad restauracją „Maharadża” i obok „Senatora”, gdzie jest pyszna kaczka wyluzowana. Tam profesor mi powiedział, że mam „trzecie oko”.

– ?

– Też nie wiedziałam na początku, co to jest. Teraz wiem, że jestem wyjątkowa. Tym trzecim okiem wiele widzę. A jak ktoś robi mi zdjęcia, to za mną widać biały obłok.

– Nawet w mieszkaniu?

– Tak. Mów.

– Jaka przerażająca ilość stosunków płciowych na ekranie telewizyjnym – mówię po chwili zastanowienia. Jakby mnie to najbardziej bolało. Bez żenady rypią się wszyscy. Dawniej w filmie była panorama na okno albo na drzewa czy księżyc. W czasie dyskusji o filmie *Pasja* profesor Mieczysław Jahoda wspominał: – Pamiętam taki przedwojenny film, w którym całe ukrzyżowanie było rozegrane cieniami na białym prześcieradle i też było wstrząsające.

Życie to „Morze dobra i zła. I człowiek próbuje znaleźć granice, siatki postępowań złych i dobrych. A morze faluje i zmienia wartości, proporcje, oceny”...

Mam tylko wyuczoną bezradność!

„Sokrates: – A jeśli chodzi o ciało, to czy człowiek jest bardziej szczęśliwy, gdy zostaje wyleczony, czy gdy wcale nie choruje?

Polos: – Oczywiście, gdy nigdy nie choruje”. Sokrates przyznaje mu rację.

To błąd! Człowiek jest najszczęśliwszy, gdy dowiaduje się, że został wyleczony. Sprawdziłem to! Zdrowie jest niezauważalne i nie powoduje poczucia szczęścia czy nieszczęścia. Jest. Dopiero gdy go brak, ale znów może wrócić, człowiek odżywa na nowo. Cieszy się byle gównem.

By the way... Nietzsche mówi, że ten cały Platon z Sokratesem to naiwna dialektyka dla maluczkich! I że to są Żydzi. Nie wiedziałem.

– Możliwe. Bardzo możliwe – mówi moja psychoterapeutka. – Kładź się na brzuchu. Podobno Lepper też jest Żydem.

A, właśnie! W związku z Platonem. Komisja śledcza do badania śmierci Blidy. Świat widziany tak, jakbyśmy siedzieli w grocie tyłem i patrzyli na cienie przesuwające się na ścianie. Zeznają oficerowie ABW. Cienie na płachcie i zmienione głosy.

Platon w polskim wydaniu.

– Byłem u lekarza. Pani docent kończyła jak zwykle. Zamiast diagnozy podała mi adres nowej knajpy z dobrą kuchnią. Zastanawiam się, czy to nie jest celowa gra psychologiczna, aby odwrócić ode mnie czarne myśli, że jestem poważnie chory.

– Spryciula – rzuca ktoś przy stoliku.

– Wkurwia mnie to, że ludzie są tacy bez taktu. Znajomy biznesmen, gdy mnie spotkał samego w pubie, pyta:

– Stary, co tak siedzisz? Przybij mi piątkę. A gdzie w n u c z k a?

– Nie wiem, dzwoniła, że jest u koleżanki.

– Nie martw się. One zawsze są u koleżanki. Ja mam gorsze zmartwienie: obecna cena masy mięsnej kaczki pekińskiej jest zagrożeniem dla polskiego producenta.

– Myślałem, że chińskiego.

– Nie – wzdycha.

Szczerość. Jeśli nie mówią o mnie, nie słucham.

Koniec zabiegu psychoterapii.

Tadeusz z Białegostoku, przyjaciel psychoterapeutki (no sex), robi *regresing*, czyli odkrywa ludziom ich poprzednie wcielenia. Dobrze zarabia. Ona często medytuje... Wtedy wiedza całego świata odkrywa się przed nią i na nią spływa...

– Czy wiesz, że spotkałam podczas medytacji samego Pitagorasa?

– ...?

– Albo widziałam Wedy. Dopiero z encyklopedii dowiedziałam się, co to były Wedy w hinduizmie.

– ...?

– Mogę medytować, nawet pijąc piwo, sprzątając albo zmywając naczynia w kuchni.

– Ja tylko po piwie.

– Kiedyś nasz profesor zaprosił na wykład w Domu Kata na Starym Mieście... ducha. Opisywaliśmy go. Każdy oddzielnie, a wyszło to samo. Wszyscy uczniowie opisali go podobnie! Co powiesz na to?

Egzorcystka Wanda Przesławska-Okoń powiedziała Rudej: – Ty już nie potrzebujesz niczego, bo ty „widzisz”. Jasno!

Dlaczego ja nie widzę?!

Kwestia czasu. Może.

Jest 52 aniołów. Każdy od czego innego. Podobno.

Dostałem wahadełko. Kręci się na zawołanie. Najpierw poziomo, góra dół, a później, jak mu rozkażę: – Rób koła! – zatacza kręgi coraz większe. To podobno moja podświadomość rozkazuje wahadełku. Boję się, że się do nich zapiszę. Tylko gdzie?

UFO na polskiej wsi. Jeden z mieszkańców opowiada, że zatrzymali go jacyś mali ludzie, kiedy jechał nyską. Kazali mu otworzyć maskę i analizowali, jak samochód działa, czym jest napędzany itd.

Normalna relacja jak z kontroli technicznej pojazdu.

Trzeba być pokornym w wierze.

A Zmartwychwstanie? Niewierny Tomasz? Nie widziałeś, a wierzysz. A tu widział ufoludki, rozmawiał z nimi, a my mu nie wierzymy.

W pubie przy barze.

– Dlaczego jest pani taka wściekła? A może ja jestem pani biologicznym ojcem.

Uspokaja się.

Znajoma modelka idzie do taksówki i powtarza sobie: „Tylko żebym nie zapomniała adresu – na Widok, na Widok, na Widok...".

Wsiada do taksówki i mówi do kierowcy:

– Na Oczki proszę...

Anegdota tylko dla warszawiaków. Trzeba tłumaczyć, że są takie ulice w stolicy – Widok i dr. Oczki.

Żarty w naszej wsi, mieście, kraju, na kontynencie, wreszcie nawet na globie – są śmieszne i zrozumiałe tylko dla ich mieszkańców. Czy ufoludzie mają żarty na nasz temat zrozumiałe dla Ziemian?

„Cynamon" – dobre miejsce. Przemieszanie pokoleniowe, socjalne i portfelowe. Nie mówiąc o płci. Gorąco. Blisko jedna drugiego, jeden drugiej. To zbliża. Potrzebne jest takie miejsce w naszym życiu, gdzie można zdjąć marynarkę i krawat, przyjść w sweterku od Bossa albo w jakiejś podróbce. Było tak w dawnej „Scenie". Tu tańczą na stołach, chłopak na barze. Jest *very okey*. Spotykam jakąś laskę, która okazuje się attaché w ambasadzie zagranicznej (?!), obok aktorka obchodzi trzydzieste urodziny razem z mamą albo znajomą w moim wieku. Staram się nie tańczyć zbyt blisko niej, aby nie wzięli nas za parę. Wolę opaloną na brąz dziewczynę, która wróciła dopiero co z Ibizy. Ma na sterczącym biuście brylantowy krzyż świecący złotym blaskiem. Dobrze, że w „Cynamonie" nie ma migotek świetlnych, wszystko widać jak na dłoni, jest jasno i to robi charakter spotkania. Świetna motoryczna muzyka. Zamykam się w toalecie, aby odebrać telefon od syna, który spędza „gorączkę piątkowej nocy" z książką *Presokratycy* i żałuje, że nie zna greckiego.

Opóźniony w rozwoju!
Co wszyscy z tymi pre... post... sokratykami?
Pretensjonalne szpanerstwo.

Nikt mnie nie podejrzewa, że jestem emerytem. Ale tańczę ostrożnie, aby wytrzymać do trzeciej rano. Przydają się treningi w tenisa na Legii, gdzie w upale, razem z pewnym generałem, tłuczemy po kilkanaście gemów. Generał ma prawie osiemdziesiątkę i lekkiego parkinsona, a i tak z trudnością mogę mu urwać dwa, trzy gemy.

Wychodzę o czwartej. Zakochany w młodości. Ale do domu wracam sam. Siadam przy laptopie, włączam Radio Maryja i dopiero żyję. Kto to powiedział, że pierdolenie przy różnicy, jak to się mówi eufemistycznie, pokoleń jest nieprzyzwoite? Ojciec Krzysztof.

Teraz „Cynamon" podobno *padaczka*. Wszyscy walą do „Platinium".

Miły, dowcipny człowiek w towarzystwie, a nudny jak flaki z olejem we wszystkim, co pisze: powieściach, sztukach, słuchowiskach.

Zaczynam wpadać w ton dzienników polskich literatów z czasów PRL-u, kiedy każde drgnienie duszy artysty było sprzedawalne w formie książkowej.

Czwartek: *Padało po pp. Przejaśniło się. Przyjechał Olo.*

Piątek: *Od rana wieje wiatr. Otulam się pledem. Telefon z „Czytelnika". Chcą drukować moją powieść. Zgadzam się.*

Sobota: *Świeci słońce. Spacerowałem do obiadu.*

Itd., itd.

Dziś takie rzeczy tylko na przemiał.

Przy stoliku po jubileuszu aktora, który urodził się we Lwowie, Gustaw puszcza serię dowcipów ze wschodnim, kresowym akcentem.

Pierwszy:

– Prosił, prosił i doprosił.

Drugi:

– O jaką ładną sukienkę ma panna Mania!

– A czy widział pan kiedykolwiek coś na mnie brzydkiego?

– Tak. Gajowego.

Trzeci:

Miała cyce jak balkony.

– Niech pani Zosieńka zdejmie biustonosz.

– A jak ja to wszystko potem połapię?

Wracamy do tego, że Kiksa na bankietach zanudza ludzi dowcipami.

– Nienawidzę, jak ktoś opowiada dowcipy! – mówi Gustaw na koniec.

Ma rację, tylko on może po raz sześćdziesiąty opowiadać to samo. Jest w tym genialny.

Przy stoliku pojawia się poeta, który jedzie do Maastricht. Proszę go, żeby załatwili tam tak, aby można już było dostawać honoraria w euro.

Na razie ministerstwo nie chce im zapłacić za przelot.

Dziś po południu ma być rozmowa z Ogórkiem w radiu, dlaczego Gierek jest na pierwszym miejscu w rankingu polityków polskich.

Co ja mam wspólnego z Gierkiem?

Ale lubię Ogórka.

Znana autorka zaprasza. Mnie też. Poszedłem. Po godzinie wyszedłem. W środku była autorka *and* jej *friends*.

U Januarego początek sezonu to jak zwykle polowanie na lisa. O ile jesteśmy kulturalniejsi od Angoli. Tam krwawe walki pod parlamentem, krew się leje, pałowania... a tu po prostu kitka lisa na ramieniu pięknej, zgrabnej dżokejki. I gonimy – nie biednego liska, ale symbol, jakże wymowny... Polska symbolami stoi.

Po gonitwie w gronie zamkniętym opowiadamy sobie o chorobach. Wyśmienita kaszanka, bigos i żurek, polityków jak na lekarstwo, mimo że podobno zaproszeni. Strach, że ich sfotografują, a potem posadzą. Nad nami unoszą się prywatne helikoptery. Kiedy dojdziemy do takiej sytuacji, że u Januarego na imieninach będzie więcej helikopterów niż samochodów? Pan domu z panią najpierw są w pięknych strojach do konnej jazdy, a później już w popołudniowych.

Dowcip tego dnia po bigosie.

– Panie doktorze, ja muszę być przy porodzie żony, to dla mnie strasznie ważne.

– A dlaczego to takie ważne dla pana?

– Bo nie byłem przy poczęciu.

Zawsze, gdy cytuję jakiś żart, to boję się, że jest stary i dobrze znany. Ale ja słyszę go po raz pierwszy i mnie śmieszy, więc mam gdzieś, że go może znacie.

Przy stoliku Gustaw opowiada o dwóch starozakonnych, co spotykają w Afryce jakieś straszne zwierzę.

– Panie Em, czy to jest tygrys, czy lew? – pyta przerażony towarzysz podróży.

– A skąd mam wiedzieć?! Czy ja jestem kuśnierz?

Potem rozmawiamy o lokalnych żartach, które szybko giną. Szmoncesy są wiecznotrwałe. Ale tak niewielu umie je opowiadać. Najczęściej słyszę je w złym wykonaniu z takim „żydkowaniem", a wtedy chce mi się wymiotować i odchodzę.

Aby stwierdzić śmierć papieża, szambelan dworu w Watykanie woła trzy razy po imieniu zmarłego, a nie usłyszawszy odpowiedzi, stuka srebrnym młotkiem w czoło Ojca Świętego, aby się upewnić, czy dokonał żywota.

Woła go nie po tytule lub po przybranym imieniu przy powołaniu na tron Piotrowy, ale po imieniu danym mu na chrzcie świętym, tak jak go wołała matka.

Mój przyjaciel, jak tylko coś się chwieje, przychodzi fala niepowodzeń czy zagrożeń, z miejsca ucieka do swojego azylu. Są nim: religia, obyczaje, wiara, w której się wychował. Wszystko jedno jaka. Zagrożenie i strach powodują przybliżanie się do Boga. Jakie to egoistyczne, a jednocześnie zrozumiałe.

Trzeba mieć gdzie się schronić.

Znów szpital. Sam w pokoju na cztery łóżka. Panorama Warszawy od strony lotniska. Czasami słychać dźwięk startującego samolotu. Jakie to miłe. Budzi skojarzenia z podróżą, ciepłymi krajami, palmami, egzotycznymi restauracjami. Oglądam telewizję szpitalną i nabieram wstrętu do tej tandety na ekranie. Po transmisjach meczów o Puchar UEFA zawsze myślę sobie, jak będzie wyglądało menu zawodników w restauracji. W Barcelonie, Londynie czy Mediolanie... A tu zupa na ścierce, kawałek chabaniny i maź szpinaku.

Po dwudniowej samotnej labie w sali szpitalnej mam współtowarzysza.

– Pan mi kogoś przypomina.

– Pan mi też.

– Był pan może na kursie instruktorów drogówki w Legionowie?

– Nie.

– Jestem byłym wojskowym. Do ochrony rządu. Na ćwiczeniach na poligonie ćwiczyliśmy atak obcego lotnictwa. Zwykle podczas obiadu pozorowano trafienie bombami w kuchnię.

– Kryć się! Imperialiści trafili w kuchnię polową! – krzyczał sierżant.

Obiad spóźniał się o dwie godziny. Wtedy nabawiłem się owrzodzenia dwunastnicy.

– To zrozumiałe.

– Co pan sądzi o Jaruzelskim?

– Nic.

– Ja maturę zdawałem przy lampie naftowej, też nie mam zdania.

Wchodzi ksiądz ze Świętym Sakramentem na piersiach w szkaplerzu.

– Komunia?

– Na razie dziękuję, może po rozkruszeniu kamienia w przewodzie.

– Zapraszam na mszę.

Błogosławi nam i zostawia plan dojścia do szpitalnej kaplicy.

Gustaw opowiadał, że siedząc kiedyś w rezydencji majętnego przyjaciela, myślał sobie, że w przyszłości jakaś rewolucja b i e d y zmiecie to bogactwo. Mimo że nieostentacyjne i w dobrym guście. Dawno temu znany ekonomista amerykański, już wtedy sędziwy i długowieczny – bo żył 98 lat – John Galbraith mówił: „Rośnie prywatny dobrobyt, a pogłębia się publiczna bieda".

Jak temu zaradzić? Chciałem powiedzieć Gustawowi, że mimo długowieczności nie dożyjemy tej rewolucji. Powoli zaczynamy należeć do „szuraczy". Tych, którzy coraz częściej, zamiast chodzić po salonach, szurają kapciami po korytarzach szpitalnych.

„Szuracze" to dobry tytuł na książkę, ale niehandlowy.

Tego samego dnia przerażony głos w telefonie.

Krysia Morgenstern.

– Czy ty wiesz, że wszyscy nasi znajomi mają po osiemdziesiąt lat?!!!

– Ja nie.

Dla niej „wszyscy" to Kuba, jej mąż.

W *Wiadomościach* wiadomość, że dziś jest święto Archanioła Gabriela, patrona dziennikarstwa i mass mediów. Jakiś komentator mówi, że

Archanioł zawiadomił Maryję o Zwiastowaniu, ale w sposób spokojny, a nie w formie sensacji, jak to często robi dzisiejsze dziennikarstwo(!).

Myślałem, że śnię.

A tu słyszę: „Pijany maszynista, prowadząc pociąg, zabił złodzieja kradnącego tory PKP".

Polska w pigułce bezsensu.

Zaradni artyści przerabiają na Pradze piwnice, hale fabryczne, puste magazyny na teatry. Teatr Mały w Warszawie, o świetnej akustyce i widoczności, położony w sercu Śródmieścia, zamienili w delikatesy.

Kto? Co? Dlaczego?

Byznes.

Dzwoniła była księgowa z Sochaczewa. Ta, co kochała się we mnie przed laty.

– Mówiłeś, że nic nie robisz, bo nie ma pieniędzy na filmy, książki, przedstawienia.

– Tak, zgadza się.

– Jestem nikim, ale mam możliwość zdobycia gotówki. Ile potrzeba na taki film?

– Trzy, cztery miliony.

– Tylko tyle?! Jestem na wózku inwalidzkim i męża mam do połowy sparaliżowanego, ale zdobędę je! Jako księgowa znam wiele przekrętów moich byłych prezesów – wykrzykuje z żarliwością. – Będę ich szantażować!

Doszło do tego, że niepełnosprawni będą mnie finansować, szantażując złodziei.

Lunch z Prezesem wielkiej firmy kosmetycznej. Robi wykład swojej filozofii handlu.

Ideałem jest wzbudzić takie emocje do p r o d u k t u, powiedzmy pasty do zębów, jaką mają kibice do drużyny piłkarskiej Legii lub Wisły. Od maleńkiego chłopca, przez młodzieńca i dorosłego aż do starca w moim wieku. Przytakuję mu.

Mam taką ulubioną pastę do zębów.

Niestety, jest z innej firmy.

Znów dzwoni księgowa z Sochaczewa.

– Nikt nie chce dać mi pieniędzy na kulturę. Mimo że znam ich wszystkie machlojki finansowe. Jestem na wózku inwalidzkim, więc się mnie nie boją.

Pech.

Chyba ta cholerna azjatycka ptasia grypa zaatakowała mojego ptaka!

– Niech pan pokaże.

Pokazuję.

– To nie grypa. Dam panu na to koniki chińskie. Będzie pan sikał na niebiesko. *In blue*. Na razie. A później – młody doktor odwraca się na krześle.

– Pan widzi tę ścianę?

–Tak.

– Jaki to jest kolor?

– Lekko żółtawy, prawie biały...

– Takim kolorem musi pan sikać! – mówi doktor. – I seks, seks... To najskuteczniejszy lek, który mogę panu polecić.

„Kochać, jak to łatwo powiedzieć...”.

Odkąd wykupiłem Srebrną Kartę pacjenta, nie wychodzę ze szpitala. Odkrywają u mnie coraz to nowe choroby. Kiedy mnie znów położyli do łóżka, kurację zacząłem od reperacji sedesu w szpitalnej łazience. Udało mi się, woda tryska żwawym, ochoczym strumieniem.

Lekarz, który przepisał mi zielone pasikoniki chińskie, kiedy zjawiłem się u niego po tygodniu, kategorycznie zabronił mi ich używać. Zapomniał, że sam mi je przepisał.

Dzwoni Sochaczew.

– Mam zięcia, co zna ważnego prezesa w telewizji. Załatwi ci wizytę u niego.

– Bardzo ci dziękuję.

– Kochałam cię pięćdziesiąt lat. To drobiazg. Zięć to zrobi dla nas.

Obawiam się, że jestem skończony u prezesa.

Na szczęście zmieniają ich co kilka miesięcy.

Był kiedyś w klubie tenisowym pan Karol. Siwiutki, typ starszego pana, o urodzie Włocha. Zawsze otoczony bardzo młodymi kobietami. Trenował

je zwykle na ostatnim korcie pod ścianą, z dala od widzów. Głównie pokazywał forhend, jednocześnie obejmując adeptkę wpół i penetrując wypukłości klatki piersiowej. Jego opowieści budziły zazdrość partnerów tenisowych. Opowiadał na przykład:

– Proszę panów, miałem wczoraj taką jedną, wyjątkowo młodą i piękną dziewczynę, kiedy szczytowałem, to myślałem, że lecę statkiem Apollo jak jakiś kosmonauta na Księżyc.

To był jego ostatni lot.

Wkrótce odleciał w zaświaty.

Lewica się sypie. Jeden Kwach trzyma się zdrowo. Michnik w szpitalu, podobno płuca, żeby tylko nie wdał się w Havla. Urban z holterem na piersi, ledwo moczy usta w winie, Miller nagle postarzały i źle ubrany – niby sportowo, ale już bez tych fantastycznych krawatów, Oleksy blady, Borówce też twarz zrobiła się jakaś mała i zmęczona.

Tyle czasu przesłaniali nam świat. Trudno sobie wyobrazić przyszły Sejm i tych, którzy będą wypływali wieczorem na srebrne ekrany telewizorów. Kerry i Bush po debacie – uściski rąk, żony się obejmują, mężczyźni klepią się po plecach, dzieci rzucają się im na szyję, sala bije brawo. Podają sobie ręce, mimo że przed chwilą okładali się zdrowo jak w kick-boxingu. U nas ciągle proponuje się nogę zamiast ręki.

Co za ludzie tego roku! Kapusta, Chlebuś, Żagiel, Magiel (skąd oni ich biorą?). W internecie wieść, że jakiś rzezimieszek na Dworcu Wschodnim wyrwał ważne dokumenty prokuratorowi apelacyjnemu, więc młodzi ludzie chcą spieprzać z Polski do ciepłych krajów.

Msza za zdrowie Michnika. Nikt mi przy stoliku nie wierzy. Dlaczego nie można się modlić za zdrowie Redaktora Naczelnego? Czy msze są zarezerwowane tylko dla pewnych zawodów i funkcji społecznych, takich jak papież, prezydent, biskup, marszałek Senatu... ojciec, matka?

Urban do Morgensterna, gdy ten przyszedł do niego z propozycją przełamania się opłatkiem gdzieś na wakacjach w głębi Afryki:

– Bardzo dziękuję, ale to pańska religia, nie moja.

Sukces jest tylko sprawą szczęścia. Proszę zapytać o to pierwszego z brzegu nieudacznika.

Zgadzam się.

Bin Laden straszy przed wyborami prezydenckimi w Stanach. Grozi Ameryce palcem. Wygląda zdrowo. Bush wygrywa. Może o to chodziło Bin Ladenowi? Nie chciał zmieniać logo po wyborach. Przyzwyczaili się, że wróg to Bush... Przecież nie można nagle powiedzieć: zamiast coca-coli pijcie coś innego. Kerry'ego. Dlaczego bojownikom mieszać w głowach?

75-lecie urodzin znanego artysty. Pocieszające, jak to wszystko szybko mija i na koniec życia okazuje się bez specjalnego znaczenia. Po toastach anegdoty. Rozróżniam ludzi, ich wartość i charakter, po sposobie opowiadania anegdot, dowcipów i zabawnych obserwacji. Zdolny malarz obnaża się przy cytowaniu żartów, aktor razi wulgarnością tego, co uważa za śmieszne, filmowiec nudzi rozciągniętą anegdotą bez pointy. A całość ich dokonań ginie w rozwolnieniu, które dziś trawi świat w pośpiechu, jest jednym wielkim gównem wydalanym jak po detoksykacji, czyli dawnej lewatywie. *Omnis moriar*!

Wróciłem z przyjęcia podniesiony na duchu.

Fantastyczny występ cwaniaka z Austrii, kutego na cztery nogi, przed komisją śledczą:

– Co panowie robili na słynnym spotkaniu z Ałganowem? O czym była mowa?

– Przez pół godziny wybieraliśmy wino. Zeszliśmy nawet do piwnicy.

– Przez całe pół godziny?! To nie było tam kelnerów? – pyta jeden z posłów, który po peerelowsku nie wyobraża sobie, że wśród takich bywalców można długo celebrować i dywagować o roczniku, smaku i bukiecie trunku, zwiedzając przy tym zasobną piwnicę – dumę eleganckiej restauracji.

– Jak mam pana tytułować? Proszę pana? Panie dyrektorze, prezesie?

Świadek:

– Niech pan po prostu mówi „proszę pana", to ja zatrudniam dyrektorów i prezesów moich firm.

Film *Upadek* – Hitler i Niemcy. Po raz pierwszy widać, że Niemcy też zostawali ranni, obcinano im zgangrenowane kończyny, umierały dzieci, cywilów rozszarpywały bomby... Wielkie zdziwienie zapanowało wśród polskiej publiczności wykształconej na powojennej klasyce filmowej obozu

zwycięzców. Nie ma w historii wojny, która nie byłaby zaprawiona ideologią, przekonaniem o własnej racji. Nawet interes ekonomiczny pokrywa się lukrem szlachetnych celów w imię Boga, Monarchy, Generalissimusa, Führera, demokracji, wolności, porządku, prawa.

Czytam, że można wyobrazić sobie czas trwania naszej planety jako jedną dobę. W skali tej jedna minuta odpowiada trzem milionom lat. Ziemia powstaje o godzinie zero, o północy. O czwartej rano kłębią się już w ciepłych kałużach glony i bakterie. Pierwsze mięczaki i skorupiaki powstają dopiero wieczorem około osiemnastej, dziewiętnastej. Dinozaury wchodzą na scenę około dwudziestej trzeciej i schodzą po czterdziestu minutach.

Przez następne dwadzieścia minut planetę opanowują ssaki, szybko ulegając zróżnicowaniu. Nasi przodkowie – naczelne – pojawiają się w ciągu ostatnich dziesięciu minut, a ich mózg potraja swoją objętość do stanu dzisiejszego przeciętnego użytkownika auta, komputera, telefonu komórkowego i robiącego program telewizyjny w ciągu ostatnich dwóch minut!

Co prawda jest to – bagatela! – jakieś sześćset milionów lat. Ale też w stosunku do czasu na wyprodukowanie Kowalskiego diabelsko mało.

Claude Lévi-Strauss mówi, że „świat zaczął się bez człowieka i skończy się bez niego". Pocieszające.

W samochodzie słyszę reklamówkę tygodnika „Polityka": Holoubek, Kutz i Głowacki rozpoczynają rewolucję w Polsce! Ciekawe. W Radiu Maryja dr Nowak, podwójnie habilitowany, nazwie ich artystami polskojęzycznymi.

Kulczyk zeznaje, ale nie zeznaje. Jakby zeznaje, a jakby nie... Sześć godzin przesłuchania najbogatszego Polaka bez przesłuchania. Ale nie można się było oderwać od telewizora. Dramat, komedia, farsa, thriller. W budowaniu napięcia i zwrotów akcji wysiadają Sofokles i Eurypides. Na końcu ogłupiała i nieporadna Gruszka. Swoją drogą przymiotnik „najbogatszy" doczepiają do każdego ruchu Kulczyka. *Najbogatszy* Polak wyszedł z samochodu, *najbogatszy* Polak usiadł, *najbogatszy* Polak powiedział, chrząknął, pierdnął, odlał się, spojrzał, machnął ręką, odmówił, polecił, zasnął. Fałsz i manipulacja w celu wzbudzenia zazdrości i satysfakcji, że można na niego wskakiwać. *Najbogatszy Polak*

zainwestował, zbudował, zakupił, sprzedał, oszukał, ukradł, pozbył się, odzyskał, zrealizował... Proszę bardzo, ale przecież nie *najbogatszy* zrobił coś, co każdy Kowalski może z powodzeniem wykonać bez posiadania milionów na koncie.

Gustaw opowiada, że raz u szczytu swojej popularności poszedł do toalety w prowincjonalnym Domu Kultury w Kielcach. Kiedy wychodził, babcia klozetowa powiedziała mu: – Bardzo dziękuję, że wreszcie mogłam poznać pana bliżej.

Dało mu to wiele do myślenia.

Przy stoliku zastanawiamy się, czy dziennikarz Sienkiewicz może być wnukiem Henryka Sienkiewicza. Gustaw cytuje pewne nazwisko nadawane złośliwie przez austryjackich urzędników: „Donabożeństwaksiążeczkower".

Czy główna postać w powieści lub sztuce może być utożsamiana z autorem? André Gide: „Szekspir nie potrzebował być Otellem, aby napisać Hamleta".

Ośmiu żołnierzy opuściło Irak, ponieważ cierpią na syndrom pola walki: „Cały czas strzelanina, krzyki. Nie można spać spokojnie. Nie wiem, gdzie uciekać. Dostałem jakiegoś urazu. Teraz już jestem zdrowy, z przyjemnością wracam do kraju".

A polscy żołnierze w kampanii Napoleona? Szwoleżerowie pod Saragossą? Z okrzykiem „Vive L'Empereur!" szli do ataku. Jak powinni krzyczeć dzisiaj? Vive Bush Junior? Vive Kwaśniewski? Vive Kaczyński i brat?

W Warszawie dalszy ciąg festiwalu nowojorczyków, którym się udało zamieścić rysunki w „New York Timesie". Murzyn z ulicy Foksal śpiewa o Warszawie po polsku. Wykonał szaloną pracę, aby nauczyć się tego trudnego języka. W piosence chwali świt nad Wisłą.

Podchodzi do mnie jakaś starsza pani:

– Czy pan wie, że jako dziecko grałam u pana w filmie?

– Nie.

– To ja.

– O, kurwa! To ja taki stary jestem?!

Półfinały w mistrzostwach Europy w piłce nożnej. Party w klubie hotelu Sheraton. Grecy grają z Czechami. Stoję za Grekami. Wydają mi się bardziej autentyczni. Czesi to wiele z Niemców i trochę ze Słowian. Nieczysta mieszanka.

Wszyscy kibole pomalowani. Jakby Indianie wyruszali na wojnę z białymi, może sędzia też powinien być przebrany, np. za szamana w masce z rogami i spódniczce z liści palmowych. Nawet najtrudniejsze flagi – holenderską czy angielską – widać na twarzach kobiet, mężczyzn i dzieci.

Zamiast bić się naprawdę, grają w piłkę. Mamy epokę symboli zastępujących prawdziwe zjawiska, tylko namiętności zostały te same. Tyle że krzyki, entuzjazm czy łzy występują w sprawie pozorowanej, bo wszystko dziś ma swoje zastępniki: miłość, seks, zdrowie, natura, rodziny, mąż, żona, śmierć z bólu (w razie czego jest eutanazja).

Córka przyjaciela z Nowego Jorku uważa, że wszyscy Polacy to antysemici. Nie mogę sobie przypomnieć, jak ma na imię, dotykam jej gołego ramienia i obejmuję – mówię, że teraz ją z pewnością zapamiętam. Zapamiętuję kobiety przez dotyk, jestem znany *touch man*. Śmieje się.

Słonimski mówił kiedyś, że chodzi do masażysty antysemity.

– Tak jak on mnie wymasuje, wyszczypie, wytarmosi... Żaden Żyd ani filosemita nie zrobi tego z takim zapałem.

Festiwale! Dobrego Humoru, Gwiazd w Międzyzdrojach. Dokładnie nie wiem, czego dotyczą, ale skoro jestem zaproszony, to jadę.

W Międzyzdrojach wieczorem idę na molo, które wbija się w morze tylko na kilka metrów, resztę mają zbudować w przyszłym roku. Strach. Na płotach wypisane przez organizatorów festiwalu złote myśli Gombrowicza (sic!). Obok łysi rozlewają wódkę i coca-colę. Co chwila słychać uderzenie w bokserską skórzaną gruszkę, która zastępuje łeb innego łysego kolegi. Walą w nią z całej siły. Trzask! O mało co nie rozpadnie się cała maszyneria. A jak by mnie tak? – myślę, ale idę dalej, z duszą na ramieniu. Może Gombrowicz lubiłby tak zanurzyć się w „niższości”?

Wracam samolotem z Kubą Morgensternem. Krysia na lotnisku gubi bilet na przestrzeni 10 metrów, w drodze od policji do odprawy bagażowej. Uważa, że wpadł jej do tej maszynerii, co wozi bagaże. Dla popularnej pary rozbierają cały taśmociąg. Przerwa w ruchu bagaży na lotnisku.

Po pół godzinie Kuba znajduje bilet w „Wysokich Obcasach”, które trzymał cały czas w ręku.

„Osbourny” w MTV. Chciałbym tak pisać dialogi idiotów XXI wieku, wychowanych na telewizji, haszu, muzyce rockowej i bełkocie rodzinnym.
Niestety.

Ktoś był. Nie ma. Coś było, tego już nie ma. Usunąć z pamięci. Jakie to trudne! Proust ciągle mistrzem opisywania czasu, lekarza straconej miłości.

Na basenie „Warszawianki” obserwuję kawałek nieba w oknie dachu. Trochę tak jak więźniowie, którzy za kratami mocniej chłoną ten skrawek błękitu, niż robili to na wolności. Leżę w gorącym jacuzzi i patrzę w górę, na szklane sklepienie nad basenem. Człowiek coraz rzadziej spogląda w niebo. Chyba że gdzieś na wsi jeszcze patrzą, jeśli w telewizji nie idzie brazylijska telenowela. Człowiek miejski nie ma czasu. Miłość, zwłaszcza gwałtowna, czy emocje związane z karierą w jakimś stopniu uniemożliwiają kontemplację tych szczątków natury w mieście. Dopiero mężczyzna opuszczony, mężczyzna bezrobotny, mężczyzna w chorobie szuka kawałka nieba, drzewa, trawy, psa merdającego ogonem.
Zapominamy, że woda jest naturalnym środowiskiem człowieka. Gdy płynę, zanurzam się w wodzie, czuję odprężenie, ciepła być może kojarzy się podświadomie z brzuchem matki. Odgradza od świata.
Samo pływanie też może mieć jakiś wolny rytm, umożliwiający relaks i kontemplację. Co myśli żaba, wolno unosząc się na powierzchni jeziora, albo krokodyl leżący godzinami w wodzie z przymkniętymi oczyma? Nie myśli tylko o żarciu. Wierzę, że rozpatruje jakieś problemy dla nas niezrozumiałe, a dręczące go od milionów lat. Odkąd ten gatunek żyje. Woda sprzyja zastanawianiu się nad sensem życia... na ziemi.

Zbliżyłem się do pewnej atrakcyjnej lekarz ginekolog. Dobrze ustawiona zawodowo i materialnie, dobrze mieszka, ma już dziecko, jeździ dobrym samochodem i jest miłym pulpecikiem. Na propozycję wspólnego spędzenia czasu mówi, że musi najpierw: dokończyć specjalizację z „małowodzia”, zmienić mieszkanie, kupić działkę, sprzedać samochód i pozbawić sądownie męża opieki nad córką, którą ten podobno molestuje. Dopiero wtedy.

Przede wszystko zmierziło mnie to „małowodzie”. Chodziło o wody płodowe. Brzmiało jak nazwa jakiejś miejscowości z przedwojennego filmu ze Smosarską i Żabczyńskim.

Coraz więcej pedofilów. To jakaś epidemia. Dziennikarz pedofil, znany psychiatra pedofil, prezes fundacji pomocy dzieciom pedofil, ksiądz proboszcz pedofil... Codziennie gazety dają to na pierwsze strony, wabiąc nowymi szczegółami. Wachlarz zawodów zboczeńców imponujący. Gdy dziecko przechodzi ulicą, odwracam oczy.

Za PRL-u nie do pomyślenia.

W „Rzepie” piszą, że teraz bogaci ludzie chcą się w ten sposób „zabawić”. Nudzą ich stosunki z dorosłymi. Dla nich kontakt seksualny z dzieckiem to coś nowego, co pozwala przeżyć większe emocje. Szkoda, że nie wiedziałem o tym, kiedy brałem udział w dyskusji „Za co kochamy PRL”.

Za komuny wszyscy marzyliśmy o Kalinie Jędrusik. Nawet jak miała już skończoną trzydziestkę. Jak zdrowe psychicznie było wtedy polskie społeczeństwo!

Ktoś radzi, aby – jeśli ma się jakieś podejrzenia – pójść z dzieckiem do specjalisty psychologa. Tyle że – w związku ze sprawą Andrzeja S. – najlepiej bez dziecka.

Sąsiad pedofila w wywiadzie dla telewizji zeznaje, że to był bardzo porządny człowiek i nigdy nikt by go nie podejrzewał o jakieś takie k o r u p c y j n e sprawy.

Trzy czwarte społeczeństwa polskiego nie rozumie, co się do niego mówi.

Komisja śledcza w sprawie Rywina i następne popierdoliły wszystkim we łbach.

Gdańsk.

– Gdzie tu jest Dwór Artusa? – pytam jakąś młodą kobietę.

– Przepraszam, ale nie rozumiem po niemiecku.

Święto ojca. Dzwoni syn z życzeniami. Tylko mimochodem wspomina o tym, że ma koszty i jest krótko z kasą.

Wywiad-ankieta do „GW”.

– Jaka jest przyjemność bycia ojcem?

– Taka, że w miarę dorastania syna można stwierdzić, że jest on coraz mniej podobny do ojca – mówię.

Znalazłem poszarzałą i wyblakłą fotografię. Mostek, jakieś drzewa, brudny śnieg, wszystko nad potokiem. Na mostku stoi moja matka ze mną w ciąży, ojciec i siostra ojca, zamordowana podczas wojny przez gestapo na zamku w Lublinie.

Jakie to smutne. Syn cieszy się jak dziecko, gdy ma mu się urodzić dziecko. Też go czeka zszarzała po latach, taka sama fotografia... gdyby nie było 8 milionów pikseli w jego aparacie. Co wtedy wyblaknie?

Pamięć.

Działacz związkowy miał zostać skazany za molestowanie świnki. Pędził ją na znak protestu przez korytarze sądu, który go sądził za wysypywanie zboża na tory. Jaki ubogi jest nasz kk. Nie mogli znaleźć na niego odpowiedniego paragrafu!

Odwracać znane powiedzenia, przysłowia, hasła. Bywa to śmiesznie, ale jest łatwe. Wymyślić powiedzenie, przysłowie, hasło rzadko się zdarza. „Niech ryczy z bólu ranny łoś...". Piękne. Ale inaczej to samo... prawie niemożliwe.

Waldemar Świerży, wybitny plastyk, rysuje portret Marilyn Monroe z wybitym zębem.

Chcę wiedzieć: dlaczego?

Tłumaczy.

Wybaczam.

Telefoniczna informacja połączeń zagranicznych.

Dobrze postawiony głos.

– Marek... jakiś tam...W czym mogę pomóc?

Europa, czyli *May I help you*.

– Chciałem zadzwonić do Jerozolimy – mówię.

– Czy mam pana połączyć?

– Tak.

– Proszę podać numer... Jerozolima? W jakim to kraju?

Zbaraniałem.

– No, to powinno się wiedzieć.

– Aha, już wiem. Chyba Izrael...

A gdzie są codzienne *Wiadomości* w telewizji, nauka religii, książki, lekcje historii, kazania w kościołach, Droga Krzyżowa, Ściana Płaczu, Al-Aksa, Żydzi, Arabowie, templariusze, wyprawy krzyżowe, Golgota, stacje Męki Pańskiej i codzienna prasa?

Jak można nie wiedzieć, że Jerozolima znajduje się w Izraelu?!

Można.

Skromność. Jest wiele rzeczy na świecie, których doświadczają ludzie. I nie robią z tego filmu, nie piszą powieści, sztuki teatralnej ani piosenki na festiwal w Opolu.

Dbałość o maniery dotyczy brzydkiej, niezgrabnej, grubej. Ładnej uchodzi wszystko. Do czasu!

Ojciec afrykańskiej pisarki jadł tylko raz dziennie po południu, po pół godzinie pił jakiś napar z ziół i wymiotował to, co zjadł. Mówił, że organizm przez te pół godziny pobrał z tego posiłku wszystko, czego potrzebował do życia. Prawie nigdy nie korzystał z toalety. Jaka to piekielna oszczędność czasu i czytania niepotrzebnych starych gazetowych wiadomości. Żył dziewięćdziesiąt cztery lata.

Podoba mi się ten sposób na życie.

Objeżdżam samochodem rezydencje oligarchów w Konstancinie. Bramy, ochrona, psy, kamery wideo i jakiś żal, że to nie mnie tak strzegą. Tyle razy jeździłem tędy do Obór, do Domu Pracy Twórczej, i nie przyszło mi do głowy, aby kupić działkę. Były wtedy za bezcen... Wybudować rezydencję i siedzieć zamknięty na cztery spusty. Trzeba by jednak samemu sobie wystarczać – albo być tak bogatym wewnętrznie, albo tak pustym. Podobno Kutz też już ma własną rezydencję, w której przyjmuje polityków i artystów, odkąd przestał kręcić filmy, pisze powieści.

Dziś przy stole w „Czytelniku” terminy obiegowe. W piłce: oszukał go, źle obliczył na Wimbledonie, na bramkę, w bramkę, ograł go... Nawet minister o Brukseli: „Można było więcej ugrać(!) z Sarkozym i Berlusconim”.

Co za język!

Potem żarty z PRL-u. Bonza partyjny Szydlak skarży się, że go głowa boli.

– Głowa to może boleć profesora Kotarbińskiego, a ciebie łeb napierdala – odpowiada mu kolega towarzysz.

Dużo o przedwojniu. Na Polu Mokotowskim stoi do dzisiaj domek – jest to dawny port lotniczy. Podczas parady spada samolot z pilotem sierżantem Dłutą. Wali o ziemię z dużej wysokości. Sierżant wstaje i idzie do baru na wódkę, by otrząsnąć się z szoku. Tak było przed wojną! Wtedy było pięknie. Chociaż nie wszystkim.

Gustaw powtarza żart o mendach.

Dodaje dwa inne, które też nie nadają się do powtórzenia.

O pamięci do telefonów.

Gustaw opowiada, że Andrzej Szczepkowski wbił mu do głowy swój numer telefonu w następujący sposób: Stare Miasto, wiesz... Trzydzieści jeden. Później cyfra mniejsza o jeden od sześćdziesiąt dziewięć, czyli sześćdziesiąt osiem, i druga wojna światowa, trzydzieści dziewięć. Andrzej już dawno nie żyje, a Gustaw pamięta ten numer. Ja też go zapamiętałem.

Dalej o telefonach:

– Ożeniłem się dlatego, że moja przyszła żona nie odłożyła słuchawki i zablokowała linię.

May I help you? W czym możemy pomóc? – słyszę dzisiaj na każdym kroku.

Dużo się zmieniło. Za komuny jedna Amerykanka zwariowała, bo chciała się dodzwonić do informacji telefonicznej. Kręciła 913 całą noc, aż spuchł jej palec. Zawsze było zajęte. My z socjalizmu wiedzieliśmy, że odłożyli słuchawkę i mają w dupie klienta. Ona nie wierzyła.

Teraz problemem jest tylko spamiętanie instrukcji w telefonie: po polsku wybierz jeden, po angielsku wybierz dwa, po niemiecku wybierz... Jak już wybrałeś, to słyszysz: serwis, wybierz jeden, biuro rozrachunkowe, wybierz...

Starszy człowiek nie może nadążyć z zapamiętywaniem numerów, które ma wybrać. W dodatku cały czas słyszy muzykę. Jeśli zapomni, to wszystko od początku: język polski, wybierz jeden... A zanim wybierze, już słyszy żądanie kolejnego wyboru.

Wybór jest przekleństwem naszych czasów. Wybór koloru, kroju, fasonu, typu, modelu... aż do wyboru między Prezydentem a Prezydentem.

Nie chcę takiego wyboru, chcę na inną planetę; bezwyborową.

Podobno znany zabawiacz i satyryk po wycieczce statkiem po Morzu Śródziemnym poszedł na spacer do lasu pod Warszawą i nagle poczuł, że otacza go jakiś wspaniały zapach. Żona nic nie czuła. On leży teraz na neurologii. Podobno taki objaw zapachowy znamionuje poważną sprawę ze zdrowiem. Ale ciągle żartuje i bawi kalamburami pielęgniarki, lekarzy i pacjentów.

Wyobrażam sobie taką operację komika, który komikuje na stole operacyjnym:

– Poproszę o lancet.

– Ale chyba dobrze naostrzony, doktorku. Aaaa!...

– Nożyczki.

– A znacie, jak facet przyszedł do doktora i mówi... Oooo!

– Sączki.

– Moja żona... Uuu!

– Puls.

– 60 minut na godzinę.

– Zamykamy tętnicę.

– Ale o ósmej otwieramy... ha... haaaaa!

– Docencie, chyba trzeba mu odciąć dopływ tlenu, te jego żarty już mi bokiem wychodzą.

– Okej, panie profesorze, mnie też wkurza.

– Siostro, zabierajcie tę butlę z tlenem. Za dużo go jest i tu, i w telenoweli, a jeszcze śpiewa i prowadzi własny show. *Zu viel!*

Eutanazja z powodów artystycznych.

Na to zgoda.

Grzeczność.

Na krótko przed śmiercią król Anglii uniósł się na łokciu i na widok wchodzącego powiedział do lokaja: – Proszę podać panu krzesło – i umarł.

Taka masa ludzi jedzie nad jeziora na długi weekend... Czego tam szukają? Sam mam jak najgorsze wspomnienia. Krzyki, picie wódki, rzyganie za burtę, czasami wypadanie do wody, śpiewy przy ognisku... dalekie, niosące się po wodzie okrzyki: Kurwa! Kurwa! Bitwy z miejscowymi. Wojtek Frykowski przy kręceniu filmu *Nóż w wodzie* sam pokonał dziesięciu łobuzów w knajpie, po czym w wilii w Bel Air w Kalifornii dał się zarżnąć dwóm słabym dziewczynom od Mansona.

Na Mazury jadą młodzi. Niech jadą. Do Ostródy przed pierwszą wojną światową przyjeżdżał Bismarck. Był to jego ulubiony kurort.

Targi książki. Jest ich strasznie dużo!

We Frankfurcie Konwicki wszedł do hali, zobaczył miliony książek i chciał rzucić pisanie.

W holu Pałacu Kultury Logan sprzedaje własną książkę po zaporowej cenie 70 zł. Mnie, emerytowi, chce ją oddać za 50 zł. Tytuł *Przerwa dla Casanowy*. Proponuję mu trzy mojego wydawnictwa – *Seks na dwa języki* – po 20 zł w barterze. Nie zgadza się.

Spotykam tłumy podpisujących swoje książki, jest ich prawie tylu, ilu zwiedzających targi. Główczescy z Nowego Jorku, Witold K., Barbara Wachowicz w fioletach, przez głośnik słychać Zanussiego w rozmowie z panią redaktor z Dwójki, senator napisał o amerykańskich prezydentach. Nagle słyszę okrzyk: – Hallo! – pisarz, poeta Śliwonik. Siwy – to kryterium poznania! Lenta Główczeska zmusza mnie do kupienia jej esejów o NY – z ubiegłej dekady. Kiedyś się w niej kochałem, kupiłem.

Wynajmuję dziewczynę do promowania mojego wydawnictwa. Ma chodzić z książkami na tacy. Ubieram ją w kącie targów na zapleczu jakiejś kawiarni. Ma długie nogi i zgrabną figurę plus słodkie oczy i uśmiech.

Obserwuję z daleka, jak chodzi z tacą. Po godzinie sprzedała jedną książkę, natomiast dała kilku podrywaczom własny numer telefonu. Zabieram jej tacę, zostawiam pieniądze i wypędzam do domu.

Przychodzi następna, tańczy u Rosiewicza amatorsko, ale pracuje w urzędzie marszałkowskim i nie może chodzić z tacą wśród ludzi. Boi się paparazzich, że niby kala urząd marszałkowski.

Sam też podpisuję własną książkę. Mój stolik cały czas zasłaniają ludzie kupujący inne pozycje. Siedzę jak chuj. Jakiś facet robi mi zdjęcia.

Rewiński też wydał książkę. Dla dzieci. Proponuje mi współpracę. Mamy ruszyć w Polskę śladami Tomasza Lisa *Co z tą Polską?*, z naszym programem *Co z tą Jolką?*.

Niby o Prezydentowej. Boję się o siebie i rodzinę.

Na korytarzu spotykam Geremka, wymieniamy uścisk dłoni. Życzę mu powodzenia w wyborach do parlamentu. Kolega komentuje tekst na jego plakatach: „Architekt Unii Europejskiej”. Architekt dla polskiego ludu to

ten, co buduje mosty, domy, kościoły... Nie zrozumie więc takiej przekładni, to typowo inteligenckie zagranie, nie będzie miało wpływu na człowieka, co ma pójść na głosowanie.

Zobaczymy.

Okazało się później, że zadziałało. Mimo anegdoty o tym, że jak Geremek idzie w Sejmie po schodach, to nie wiadomo, czy po nich wchodzi, czy schodzi.

Matematyczny słownik polsko-angielski. Cyfry po angielsku?

Nie mogę przetrwać tego wszystkiego, wychodzę na świeże powietrze.

Przed wejściem na targi przed Pałacem walczą na rapiery rycerze w zbrojach z tektury.

Płacę za parking 25 zł – to tyle, ile można wziąć za książkę, co się wymyśliło, napisało, wydrukowało, oprawiło i... nie sprzedało.

Gustaw mówi, że był na pierwszej rocznicy śmierci Kazimierza Dejmka w Łodzi. Dejmek to cała epoka, która przeminęła bez śladu. Zostało tylko paru ludzi, którzy pamiętają. Co? To, co było ważne, a teraz zniknęło jak ta utleniająca się stara fotografia. Zosia Czerwińska zawsze wtedy mówi: I chuj!

Pamiętam, kiedy już chory Dejmek upadł na trawniku przed budynkiem w Radziejowicach. Czołgał się do ławki. Nie pozwolił sobie pomóc. Wciągał się na ławkę pół godziny. Sam.

Targi trwają kolejny dzień. Siedzę obok wydawnictwa miesięcznika „Lampa". Młoda literatura. Młody człowiek ofiarowuje mi jeden z egzemplarzy. Czytam. Daje mi drugi. Czytam. Proszę o jeszcze jeden. Czytam pół nocy ciekaw, co oni piszą. Lepsza poezja niż proza. Ale jedna młoda kobitka nieźle sunie. Zna życie z własnego życia i miesza nieźle. Zazdroszczę. Stasiuk mnie drażni, epatując tym swoim rzekomym prowincjonalizmem. No, ale ze wszystkiego można zrobić literaturę, to tylko kwestia talentu. Na chybił trafił otwieram Prousta; czytam o Franciszce i jej córce z zapadłej francuskiej wsi, też jest to opis prowincji – wiejskie baby, ich gadanina, sposób patrzenia na świat – nie ma tu wcale salonów stolicy, ale ten tekst jest jakiś przejrzysty i do zapamiętania. Można do niego wracać. A czy można wielokrotnie wracać do Stasiuka? Czytać go,

kiedy jest się młodym, dojrzałym, a potem starym? Tylko pytam. Może tak. Ja już tego nie sprawdzę.

W sensie odbioru literatury chyba gdzieś umknął nam kawał XX wieku. Hitler i Stalin zajęli nam trochę czasu. Kurwa, ilu ludzi zabili, ile nam namieszali w głowach! Mieliśmy o czym myśleć.

Lech Wałęsa: „Wczoraj" to dobre dla historyków.

Porażająca notatka w prasie. W Rosji pisze obecnie 35 tysięcy autorów. W Polsce wydaje się 25 tysięcy tytułów rocznie.

Przestanę czytać!

Czytanie to korzystanie z cudzych myśli. Zajmę się własnymi.

Przeczytałem swoje opowiadanie. O pewnej kobiecie, która mnie rzuciła jak psa. Okropne. Postanawiam, że nie będę więcej literatem.

Z Gombrowicza: „W swej koncepcji gór jest płaski".

Ilu ma taką koncepcję? Większość.

A może napiszę nowe *J'accuse*? Pod tytułem „Nienawidzę". Wszystkich.

Pilch wziął od Bertelsmanna 200 tys. zł zaliczki, więc jego najbardziej. Mnie potrącili 2965 zł z zaliczki 3000, bo sprzedali tylko 16 egzemplarzy, z czego ja sam kupiłem pięć.

– Nienawidzę wszystkich!!!

– Spokojnie – mówi psychoterapeutka – wszystkich jeszcze nie znasz.

Metro. Przystanek Politechnika. Zmieniają się urządzenia do wchodzenia – jakieś barierki, nowy system kontroli biletów. Słusznie. Spieszę się. Przy ruchomych schodach młody człowiek gra na skrzypcach. Bardzo pięknie i nie z repertuaru „przeboje radia ZET". Coś klasycznego. Ludzie przechodzą obojętnie. Dzisiaj nie ma już wstydu. Twarde prawa rynku i bezrobocia. Dawniej grałby w opalanej sali w jakimś domu kultury. Siąpi deszcz. Rzucam do futerału trochę drobnych. Zawsze to robię, gdy ktoś jest zażenowany żebraniem. Młody skrzypek, wykształcony za nasze podatki, gra ze spuszczoną głową. Wstydzi się, że może jakiś profesor albo koleżanka z roku będą akurat wchodzić do metra i go rozpoznają.

Za ten odruch solidarności z artystą natychmiast zostaję ukarany. Kolejka do kasy. Okazuje się, że zostawiłem portfel w domu i brakuje mi czterdziestu groszy na bilet, bo drobnymi wspomogłem młodego skrzypka. Sprzedający żąda całej sumy, takich cwaniaków widział nieraz. Przewracam kieszenie do góry nogami, znajduję jeszcze dziesięć groszy. Pozostaje mi albo wrócić do młodego artysty i zabrać mu pieniądze, albo żebrać wśród śpieszących się pasażerów metra. Wyglądam porządnie, ale biorą mnie za starego ćpuna, któremu brakuje na działkę i udaje, że potrzeba mu na bilet albo na bułkę, bo nie jadł nic od rana. Sam niejednokrotnie pędziłem od siebie takich facetów. Przytyty, nie wyglądam na głodnego albo narkomana.

Po kolejnej odmowie wspomożenia mnie przez wracających na daleki Ursynów porządnych ludzi atakuję wściekle bramkę, chcąc ją sforsować siłą. W tym momencie podchodzi do mnie strażnik w mundurze i mówi łagodnym, spokojnym głosem:

– Proszę się nie denerwować, oto bilet wielokrotnego użycia, aż do kompletnego zniszczenia. Pomogę panu włożyć go do automatu.

I rzeczywiście. Bierze moją dłoń i naprowadza na otwór w automacie.

Zapala się zielone światełko i przechodzę do środka stacji.

Myślałem, że śnię. Skąd taka uprzejmość i pomoc? I nagle orientuję się, że byłem obserwowany, gdy żebrałem, a mam na oczach wytworne okulary „Police, Police" typu Bruce Willis kupione w „Paris Optic" na MDM-ie. Wziął mnie za niewidomego! Miałem być macho, co „kobiety mu wybaczą", a zostałem potraktowany jak niepełnosprawny.

Kątem oka widzę, że strażnik na górze obserwuje, jak sobie daję radę na schodach. Zaczyna mi być wstyd: jeżeli on zauważy, że widzę, poczuje się oszukany, a ja wyjdę na oszusta. Zaczynam grać, naprawdę udawać niewidomego. Potykam się, zawadzam na schodach o jakąś dziewczynę. Ona bierze mnie pod rękę i prowadzi na peron. Z góry patrzy współczujący strażnik. Nie chcę go zawieść.

Gustaw, gdy opowiadam tę historię przy stoliku, porównuje ją z sytuacją aktora na scenie. Aktor nie chce zawieść autora i widza.

Jeżeli gra Ryszarda III albo Pana Jowialskiego, nie może ani przez moment zawieść widzów siedzących w krzesłach, którzy przyszli, aby go zobaczyć właśnie jako Tego Kogoś. I mówi, że to jest także kwestia delikatności i poczucia wzajemnego zobowiązania. Widza i aktora. Mnie udającego ślepego i tego, co mnie wziął za takiego. Trzeba całą siłą

podtrzymywać tę wiarę – gestem, barwą głosu, ruchem, krokiem, wyrazem oczu – bo to jest istota aktorstwa.

Czekam na pociąg. Słyszę, że nadjeżdża, chociaż widzę też kątem oka jego zbliżające się światła w tunelu. Wstaję z ławki i udaję, że nie mogę trafić do drzwi. Wpadam na bok wagonu, ktoś mi podaje rękę. Strażnik obserwuje mnie z góry. Nie chcę go zawieść, że pomógł oszustowi. Siadam w wagonie, który rusza. Wyjmuję gazetę do czytania... Cholera! Niewidomy czyta „Gazetę Wyborczą”?! Chowam. Komunikaty słowne, że następna stacja taka i taka... Mogę wysiąść na właściwym przystanku i to nie będzie podejrzane. Dalej udaję, że nic nie widzę, wstaję i przy wyjściu natrafiam jeszcze rękami na wybujałą pierś młodej studentki, która wchodzi do wagonu. Wysiadam.

Podoba mi się takie *obmacywanie* rzeczywistości.

Jeżeli cierpisz, nie masz jeszcze prawa do bycia pesymistą. Wyczytałem u Nietzschego. Jaki ogromny strach panuje w układach męsko-damskich przed banałem zdrady. Na korzyść młodszego, bardziej wirylnego, przystojniejszego i sprawniejszego. Strach zawsze się sprawdza i realizuje wcześniej, im bardziej się boisz. Choroby, zdrady, straty w banku, utrata przyjaźni.

Gustaw jedzie do Anina. Wierzę, że powinni mu pomóc. Dałem mu swoją książkę, nie chcę go pytać, czy czytał... Człowiek już mało czyta w takim stanie. A może wtedy właśnie?

Rita o umieraniu Gombrowicza: – Mówił, że człowiek w takim stanie musi być jak żołnierz w okopie podczas wojny. Czujny, przebiegły, wytrwały, odporny – na ból, zmęczenie, bezsenność. I musi mieć wolę walki na śmierć i życie, aby przeżyć. Już o tym kiedyś mówiłem? Zaczyna się!

Próbuję namówić Martę, żeby przeczytała *Czerwone i czarne* Stendhala. Pytam, czy widziała film z Gérardem Philipe'em. Też nie. Zapominam, że to stary film, sprzed stu laty. Ale obiecuje, że jak coś tam skończy czytać, to się natychmiast za Stendhala zabierze. Ja nie mogę się oderwać od historii Juliana Sorela. Dlaczego dzisiaj nie ma takich powieści? O młodym ambitnym synu stolarza z prowincji, co pnie się do góry najpierw w seminarium – np. w takim Pelplinie – a później w stolicy...

Coś z tej powieści: „Oto są wszelako jedyni nauczyciele moralności, jakich ma lud, a co by się stało bez nich? Czyż gazeta zdoła kiedyś zastąpić proboszcza?".

Nie chodzi o „Wyborczą". Żadna nie jest w stanie. Nawet „Nasz Dziennik".

Król Artur. Superprodukcja przypominająca... radziecki film ojczyźniany. *Aleksander Newski* dziejący się w Anglii. Rycerze Okrągłego Stołu tak poplątani, że nie wiadomo, o co chodzi i kto z kim walczy. Ale świetne sceny batalistyczne na lodzie – zdjęcia Sławomira Idziaka, który kręcił też *Płonący wieżowiec*. Żałowałem, że poszedłem. W telewizji pokazywali mój ulubiony serial *Czterdziestolatek*.

„Nike" dostał Rymkiewicz. Napisał list. Że literatura nie potrzebuje poparcia w formie nagród ani świateł jupiterów. Potrzebuje tylko czytelnika. Rymkiewicz pisze o rzeczach, których inni nie zauważają albo nie mają na nie czasu. Tak samo pisali Iwaszkiewicz na starość i Białoszewski. Wyczarowują wspaniały czuły świat z prostych rzeczy, czasami z przyrody, ale często z brudu podwarszawskich okolic. Jazda kolejką podmiejską i u Mirona, i u Rymkiewicza jest fascynującym obrazem świata.

Mimo że wczoraj widziałem prognozę pogody, rano zrywam się i biegnę do okna: słońce czy deszcz? Łykam dwa razy tyle proszków, ile powinienem, bo boję się, że nie łyknąłem pierwszego.

Nie odpowiadam na telefony, a jak już podniosę słuchawkę, to mówię, że mnie nie ma.

– Obsesja posiadania dziecka u jednych, u drugich koty, psy... Czasami tą obsesją jest samochód. Jak go zostawia w warsztacie na noc, to zastanawia się, czy on tam bez niej nie płacze.

Boi się spojrzeć na inny mijający ją pojazd – ładniejszy i nowszy – żeby temu nie było przykro.

Instynkt macierzyński w XXI wieku. Auta zamiast dzieci! Mycie, smarowanie, przeglądy, polerowanie, szampon, wizyty u mechaników, rasowanie... Czynności zastępujące pielęgnację dziecka.

Podstarzała aktorka M. pokazuje piersi. Desperada! Ostatni rzut na taśmę doznań cielesnych. Bo komu jeszcze może je pokazać? Jakiemuś południowcowi na Majorce albo na Grand Kanarach? Plażowemu? Kelnerowi? Żigolakowi? Samotnemu turyście? W Polsce będzie trudno. Ostania szansa obnażenia się dla niej. Potem już tylko pielęgniarz w prosektorium szpitalnym będzie podziwiał jędrne pośladki i wzgórek łonowy.

Była taka doświadczona, że wiek i płeć partnera poznawała po zmarszczkach na członku. Jak leśnik drzewa po słojach w Puszczy Białowieskiej.

Kawałek dialogu z telenoweli: – Błagam cię, trzymaj swoje hormony na uwięzi!

Kilka milionów widzów co sobota.

Verba *Sacra*. Fantastyczny Seweryn czytający, a raczej grający jednoosobowo *Pana Tadeusza* w Radziejowicach. Świetny pomysł dyrektora pałacu z zaaranżowaniem publiczności do tego *one man show*. Słowo. Piękne, modulowane, prawie święte. Tłum siedzi na dziedzińcu i słucha, zahipnotyzowany wielkim aktorem.

Słucham księgi pierwszej i już dalej nie mogę, bo wjeżdża mi do głowy anegdota Maklakiewicza. Sprośna, raczej fizjologiczna, ale zawsze tak jest, że w momentach najbardziej wzniosłych jakiś diabeł przekory podszeptuje najgorsze obrazy.

Młody aktor zwierza się bardziej doświadczonemu:

– Mam straszny problem.

– Co?

– *Ejaculatio precox*.

– Nie rozumiem.

– Przedwczesny wytrysk.

– Rozumiem. Też to miałem w młodości.

– Co robić? Żona wściekła, ja upokorzony, nie śmiem jej rano spojrzeć w oczy.

– Stary. Jest na to rada. *Pana Tadeusza* znasz?

– Oczywiście.

– Recytuj w trakcie od początku „Litwo! Ojczyzno... ty jesteś" i tak dalej.

– I co?

– Zobaczysz. Kwestia pamięci.

Następnego dnia na próbie.

– I co, jak było?

– Wspaniale.

– Dotrwałem do „Wjechał młody panek...", zapomniałem, co dalej, i pojechałem...

– Musisz ćwiczyć, znam jednego co pięć ksiąg potrafi na pamięć... Żona, kochanka, koleżanki zadowolone. Pchają się drzwiami i oknami.

– Będę się uczył.

Seweryn czyta: „Wjechał młody panek"... Siadam na ławce w perspektywie parku przed pałacem, aktor czyta...

Dosiadają się dwie młode dziewczyny.

Ta jedna mówi, że chyba nie dotrwa do końca.

Ta druga: Ona tam jest, widziałam ją, siedzi w pierwszym rzędzie.

– Proszę pana, czy tam siedzi Mostowiakowa?

– Kto?

– Ta z *M jak miłość*.

– Nie mam pojęcia.

– Myśmy tylko dla niej tu przyszły. Po autografy.

– A ten, który czyta *Pana Tadeusza*, jak się nazywa?

– Jakoś tak... ale on w tym serialu nie gra – mówi starsza.

– Ale mnie te plecy napierdalają – to młodsza.

– A co się stało?

– Słońce mnie poparzyło. Zbieramy truskawki u takiego skurwysyna. Czasami to jest 50 stopni na polu, a w cieniu trzydzieści.

– I co?

– Nawet wody nam nie dostarczy. Od rana do zachodu na kolanach.

– I jeszcze trzeba szypułkować.

– Ile zarabiacie?

– Złotówkę od kobiałki.

– Takie małe truskawki każę zbierać jak ten mój najmniejszy paznokieć.

– A kto takie kupi?

– Na przetwory idą.

– Szypułkowanie najgorsze. Ale mnie te plecy napieprzają. O której to się skończy?

– Zaraz będzie przerwa.

– Pan zna tę Mostowiakową z telewizji?

– Znam.

– Pomoże nam pan zdobyć jej autograf?

– Pomogę. Powiedzcie, a co czyta ten aktor na estradzie?

– Nie wiemy.

– Przecież mówiłem, że *Pana Tadeusza*.

– A tak... tak.

– To chodźcie do Mostkowiakowej. Jest przerwa.

M jak miłość. Dzisiejsze *Verba Sacra*.

A kiedy Seweryn recytuje siódmą księgę, jak szlachta naradza się przed najazdem na Sopliców, to na myśl mi przychodzi IPN w pigułce. „Wymieść śmiecie...” – główny refren tej instytucji.

Kultura wysoka i niska. Co mam zrobić, że na starość wolę Galę Bokserską od *Fantazji c-moll* Beethovena w wykonaniu José Cury w Pałacu Kultury. Powiesić się! Tubylcze! Wysoka kultura w Pałacu Kultury zgrzyta. Siedzę i patrzę na zwieńczenie sufitu. Złocone, zwisające pasy słuckie, wymyślone przez rosyjskich architektów – myślę, że prawie nikt nie wie, co one oznaczają. Słuchacze patrzą znudzeni po suficie, lekko ziewając, i nie mają pojęcia, co mają te plafony sugerować. Holoubek mówił przy stoliku, że kto nie umie wiązać pasa słuckiego, nie może grać Cześnika w *Zemście*. Ani w ogóle Fredry! Jak ci ruscy architekci musieli w Moskwie kombinować, jak bardzo chcieli się podlizać Polakom.

Niewielu to doceniło.

Chóry uniwersytetów Krakowa, Warszawy i Wrocławia, bogate w efektowne biusty dziewcząt i łysiny panów, pięknie śpiewają *Odę do radości* z IX Symfonii. Wśród nich ktoś bardzo podobny do warszawskiego milionera. Z białym gorsem, czarną muszką. Czyżby plotki o bankructwie były prawdziwe? Dorabia w chórze?!

Niemożliwe.

W przerwie spotykam aktorkę z musicalu *Chicago* granego w Komedii w reżyserii Krzysztofa Jasińskiego z Krakowa. Ona też przyjechała z Krakowa. Śpiewa na zmianę z Kasią Skrzynecką. Dla krakusów powinno się wprowadzić wizy i pozwolenie na pracę. Taką Zieloną Kartę, jakiej wymagają w Stanach. Zwiedzać Warszawę, proszę bardzo, ale zajmować nam miejsce na scenie, za pulpitem reżyserskim, na estradzie, w prasie? Wara! Czy ktoś słyszał, żeby jakiś aktor czy reżyser z Warszawy dostał pracę w Krakowie?

Z „Cury" jedziemy na bankiet wyborów Miss Polonia do „Babilonu". Sale dawnego „Tanga", a jeszcze wcześniej lokalu z kuchnią bułgarską. Pamiętam taką anegdotę z owych czasów. Mój przyjaciel, człowiek poważny i odpowiedzialny, zjadł tam kolację. Żąda rachunku, sięga po portfel i nagle orientuje się, że zapomniał wziąć pieniądze. Prosi kelnera o zawołanie kierownika. Przeprasza go i mówi, że zostawi mu dowód osobisty w zastaw, a następnego dnia przyjdzie i zapłaci rachunek.

Kierownik bierze go pod rękę: „Tak? Niech pan pozwoli, coś panu pokażę". Prowadzi go długimi korytarzami przez kuchnię, zaplecze, magazyn, zmywalnię do swego pokoju. Tam bez słowa otwiera zamkniętą na klucz szafę, z której wysypuje się dwieście kilkadziesiąt dowodów osobistych: „Mieli przyjść następnego dnia i uregulować rachunek".

Dzisiaj są tam sale w stylu starożytnej kultury ziem leżących między Eufratem a Tygrysem. Pełno facetów znanych z różnych promocji, prezentacji, bankietów, konkursów, castingów. Uwijają się wśród dziewcząt, które odpadły, zwyciężyły, wygrały nie wiadomo co, straciły szansę nie wiadomo na co, zdobyły tytuł.

Witam się głośno z jakąś wysoką blondynką.

– Założę się, że nie wiesz, jak mam na imię.

– Nie wiem – odpowiadam.

– I nie poznajesz mnie?

– Nie.

– Skleroza?
– Nie.
– A co?
– Przytyłaś.

Na estradzie jakieś losowanie. Na rzecz chorych dzieci. Nie ma imprezy bez nieuleczalnie chorych dzieci. Z taką samą lubością publiczna telewizja pokazuje dziecko z wodogłowiem czy rozdzielanie zrośniętych noworodków. Nie mają litości. Ani taktu. Dawniej różne anomalie były zamknięte w laboratorium na uniwersytecie w formalinie i klucz był u rektora, dziś są do publicznej prezentacji w godzinach największej oglądalności.

Co mają chore dzieci do tej bandy szukającej łatwego podrywu, powiedzmy, Miss Grudziądza w sercu stolicy?

Przed lokalem czekają luksusowe wozy. Jaguar w kolorze strażackim wabi oko, błyszczy srebrny porsche. Wychodzimy na ulice z poczuciem jeszcze jednego wieczoru bez wartości. Beethovena można mieć na CD. Są też liczne agencje do dyspozycji.

Aby wybrać się na rewię w Warszawie przed świętami, trzeba biegle posługiwać się dwoma językami: amerykańskim i francuskim. U Małgosi Potockiej *Broadway na Foksal* – tu konieczny jest amerykański, na ulicy Kredytowej w „Feniksie" idzie program *Panache*, czyli lemoniada z piwem, ulubiony napój Francuzów. Mieszanka. Na szczęście można wybrać z dwóch scen, dwóch języków, w których się śpiewa i mówi, oraz dwóch grup ładnie rozebranych dziewcząt.

Wszędzie widać imponującą pracę, aby olśnić widza – choreografią, ogromem pieniędzy na kostiumy, dbałością o muzyczną oprawę i efekty świetlne. Tu i tam stoliki, a jak potrzeba, to widzowie mogą siedzieć w krzesłach, stać przy barze albo – jak się znudzą – wyjść na korytarz.

Godna pochwały jest ta ambicja zapewnienia Warszawie rozrywki w formie rewii. Pozostaje tylko pytanie: czy to nie jest forma, która już się przeżyła i... skończyła?

Ale brawo!

W dwóch tych rewiach najlepsi są mężczyźni. Na Foksal w białym płaszczu i kapeluszu wspaniale tańczy i śpiewa czarny gwiazdor z

Broadwayu (choć złośliwi mówią, że po występach w Szczecinie). Drugi jest biały, ale przebrany na czarno za diabła – w *Panache* na Kredytowej.

Panie na premierze długo myślały, że czarny tancerz na Foksal nie ma nic pod płaszczem, ale gdy go zdjął i obnażył wspaniałą muskulaturę ciała, po sali rozszedł się jęk zawodu, że tylko do pasa. Diabeł z Kredytowej wywoływał tę samą chęć zobaczenia, co ma pod kostiumem, głównie dlatego, by sprawdzić, kim jest ten człowiek guma o tak niesłychanej giętkości ciała, kości, kończyn. Wszystkiego. Otóż ten młody człowiek w drugim numerze wychodzi z rakietą tenisową i po szeregu tanecznych pas w sposób zdumiewający przeciska się przez otwór rakiety pozbawionej naciągu, budząc zdumienie i zachwyt publiczności.

U Potockiej śpiewa pewna blondynka o imponującym głosie, łudząco podobna do Maryli Rodowicz sprzed trzydziestu laty, kiedy przyjechała do Warszawy po wygranym konkursie piosenki studenckiej w Krakowie. A w *Panache* też ładnie śpiewają. Szczególnie jedna, podobna do młodziutkiej i pięknej Haliny Kunickiej, gdy przed czterdziestoma laty występowała w kabarecie architektów „Pinezka" w kawiarni „Nowy Świat".

Historia zatacza koło. Czekają nas jeszcze duplikaty Połomskiego, Rosiewicza i Rinn. Chociaż faktycznie Połomski nigdy nie był młody, za to Rinnówna była wiotką, smukłą panienką. Żyją jeszcze tacy, co to pamiętają.

Dwóch, trzech... nie więcej.

Po badaniach w Aninie. Bar, jem późne śniadanie, bo wszystko odbyło się na czczo.

Nagle ktoś znajomy przechodzi hallem. Marta! Była ze mną przez tyle lat. Teraz ożeniona, szczęśliwa, dzieciata... Co ty tu robisz? Holter. Migotanie przedsionków. Życie znów zatoczyło koło. Przyjeżdżała tu ze mną i w nocy, i w święta, w wakacje i dni powszednie... Badania, oiomy, zabiegi... Zna tu każdy zakamarek, pokój, korytarze, gabinety... Teraz ona, dawniej piękna, młoda, sexi, jest skurczona trochę ze wstydu, że oblepiają ją czujnikami badającymi serce.

Nie ma satysfakcji. Tylko pusty śmiech. Chociaż dobre i to, że ma tu przetarte ścieżki.

Chcę zostać profesorem! Coś wykładać, nie wiem jeszcze co... Jakaś pani doktoryzowała się z „Kabaretu Starszych Panów" – *Adio pomidory* i

Prysły zmysły. Aby wykładać, trzeba się doktoryzować. Ale gdzie znaleźć temat?

W prasie.

Warszawa zaczęła „wychodzić”. Oczekiwanie na pizzę pięćdziesiąt minut.

Gotuję w domu makaron.

Pogrzeb Jacksona. Był w Warszawie, chciał założyć park rozrywki na Bemowie. Potraktowali go jak chuja.

Wybitny pianista mówi, że jak ma koncert i siedzi przy fortepianie przez dwie godziny, to zaraz po występie znów chce mu się usiąść.

Ogień ogniem gasić.

Telefon do kobiety, co siedzi obok mnie w Coffee Heaven. Zachorowała jej matka. Musi natychmiast jechać.

Dzwonię po dwóch godzinach.

– Co się stało? Jak się czuje mama?

– Nie, nic takiego... Takie s t a r c z e dolegliwości.

Jej matka jest młodsza ode mnie o piętnaście lat.

Później przeprasza.

Wybaczam.

Z wiekiem noc staje się powoli coraz bardziej męczącą częścią dnia.

Koncert wiolonczelowy Haydna z orkiestrą. Na estradzie wielce utalentowany artysta gra z coraz bardziej rosnącym przejęciem, sapie, dyszy, wykręca w grymasach twarz. Kończy wściekle, wstaje, kłania się – wyobrażam sobie, że nagle smyczkiem batoży dyrygenta. Oklaski. Dyrygent próbuje zachować twarz, uśmiecha się, pokazuje na orkiestrę, aż dostaje od solisty ostateczny cios wiolonczelą w łeb.

Pada.

Za brak talentu.

Jak współcześni odbierali muzykę Mozarta? My strasznie ją celebrujemy, a przecież była komponowana w celach rozrywkowych. Po raz pierwszy widziałem, jak artysta gra koncert skrzypcowy D-dur, bawiąc siebie i publiczność wykrętasami kompozytora.

Zrozumiałem nienawiść Salieriego i beztroski śmiech Mozarta.

Dawna kochanka po latach, podczas stosunku:
– Tak, poznaję go! To on! Tak, on... Poznaję!... Poznaję!!!

Całe życie nie płaciłem za przejazdy środkami miejskiej komunikacji. Za okupacji w patriotycznym odruchu oddawałem bilet konduktorowi, aby jego pieniądze nie wpływały Niemcom do kieszeni, potem było krótkie patriotyczne płacenie, a w komunie znów niepłacenie, bo pieniądz nie miał żadnego znaczenia dla społecznego transportu. I tak wszystko było nasze. W kapitalizmie znów niepłacenie, aby przeżyć uczucie strachu, że złapią. I wypatrywanie kanara, aby mnie nie ośmieszył wobec pasażerów za oszustwo. A zresztą, za co mam płacić? Sam proces przeniesienia z jednego miejsca w drugie w tłoku nie powinien być opodatkowany. Staruszka w powieści Jelinek *Pianistka* słusznie nie przyjmuje do wiadomości, że droga, jaką odbywa tramwajem, ma być opłacana. Przecież to jest także jej droga do śmierci. W swojej sklerozie jest racjonalna.

W końcu odebrali mi i to! Od wczoraj, jak się dowiedziałem, wolno mi jeździć bez biletu ze względu na wiek. Czyli już żadnych emocji, żadnych podniet. Żadnych satysfakcji.

Po rewelacjach IPN-u już nie będzie można wymyślać Kwaśniewskiemu od komuchów, a tym bardziej szczuć. Będzie to już „podżeganie do nienawiści na tle rasowym”. SB puszczało dymy o żydowskim pochodzeniu prezydenta.

Znów zapomniałem, co miałem zanotować. Trzeba natychmiast pisać.
Aha! Nie, to nie to...

Rozmowa z nią to jak rzucanie pereł przed ślepą kurę.

„Wnuczki wermachtowców chcą zniszczyć polski naród”; „Giełda w dół, stopy w górę!”. Boże, jak tęsknię do tytułów na pierwszych stronach peerelowskich gazet: „Brak sznurka do snopowiązałek”. Tym bardziej że umoczyłem na funduszach inwestycyjnych.

Zapowiadacze na polskich festiwalach piosenki. Nie mówią, ale strasznie krzyczą, nie informują, ale wydzierają się, wyją, piszczą. Skąd się

to bierze? Nie potrzeba już słów zrozumiałych dla widza?

Stopniowo dojdziemy do tego, że wystarczy nam wycie.

Jak zwierzętom.

Jaka szkoda tych kostiumów, dekoracji, świateł, kamer, efektów specjalnych! Na Dodę. Wciśnięta w ramy prowincjonalnej wyobraźni o seksie, uwodzeniu, powabie kobiecym, wdzięku mającym uwieść mężczyznę marnuje swój talent. „Nie boję się już życia!" – wykrzykuje w otoczeniu jakichś dupencji, sama w kostiumie huzara z operetki węgierskiej.

Kto za tym stoi?! Oprócz publiczności, oczywiście.

Na highwayu w Izraelu koń skacze przez auto. W Polsce widziałem konia, który przeskoczył volkswagena. Nikt wtedy nie miał telefonu komórkowego z możliwością filmowania koni skaczących przez auta.

Zawsze byliśmy w tyle.

Anegdoty wędrują przez lata i dotykają kolejnych osób. Bohaterami zostają coraz młodsi artyści, zwykle aktorzy, dzisiaj powiedzielibyśmy „celebryci". Ostatnio czytam, że scena z pogrzebu znanej aktorki, gdzie kolega, również aktor, szeptem informuje pogrzebników o tym, że „nieboszczka bardzo chuja lubiła", zdarzyła się na pogrzebie Kaliny Jędrusik.

Może też.

Ale pierwowzorem była przedwojenna artystka kabaretowa, a informatorem jej kolega Lawiński. Wielokrotnie anegdotę tę opowiadał w „Czytelniku" Gustaw Holoubek. Jestem ciekawy, ile znanych aktorek zostanie jej bohaterką przy złożeniu do grobu w następnych latach.

Widocznie „lubość" ta jest immanentną częścią zawodu wybitnych artystek.

Na telewizyjnym ekranie grają i śpiewają w Sopocie i zaraz potem reklama „Stoperanu" – tacy sami młodzi ludzie siedzą i trzymają się za brzuchy, bo chce im się do sracza. „Stoperan" ich zbawi.

Klikasz pilotem i masz siekanie warzyw pod beszamelem.

Na kanale Trwam Podniesienie i Najświętsza Ofiara – klikasz pilotem, a obok naga dupa onanizuje się bezczelnie, namawiając, by do niej zadzwonić.

Klikasz pilotem.

I masz orangutana z nagim chujem na Animal Planet.

Wracasz do warzyw, ale po takiej konsumpcji na bank będzie ci potrzebny „Stoperan”.

Uroczystości 65. rocznicy Powstania Warszawskiego. Ani jednego ciepłego słowa. Nawet opuścili nazwiska, aby nie było „buczenia”. Publiczność oddzielona barierkami. Przy składaniu wieńców spiker podaje tylko funkcje.

Prezydent, Premier, Marszałek jak najszybciej, w strachu, podchodzą, kiwają głowami i chowają się za plecami innych. Nawet nie ma rutynowego poprawiania wstęgi przy wieńcach... Nie chcą dać okazji i czasu „nieznanym sprawcom” do wystąpienia z „buczeniem”.

Żałość.

Nagle w TVN-ie słyszę jakieś nieostre fragmenty nagrane na komórkę i głos: „Ani jeden oficer Komendy Głównej AK nie zginął w Powstaniu... Pod sąd za masakrę ludności Warszawy...”. Ktoś z tłumu: „Do Izraela...”. I cisza.

Szukam następnego dnia w gazetach.

Końce w wodę.

Nic.

„Kochaj, przeproś, spierdalaj!” – mówi elegancka pani do psa, który się do niej przymilnie łasi.

Warszawa, Warszawa... Podobnie jak u Czechowa do Moskwy, do Moskwy... Tak tu do Warszawy, do Warszawy...

– A mnie się wydaje, że tej całej Warszawy w ogóle nie ma. Jest tylko w dzienniku telewizyjnym o dziewiętnastej trzydzieści...

To niejedyna świetna scena u Witkowskiego *homo sapiens*.

Sala Kongresowa w Pałacu Kultury.

Sto wózków inwalidzkich na estradzie.

Tańczą i śpiewają niepełnosprawne dzieci.

Szczera radość i entuzjazm.

Na końcu absolutna bomba! Śmiałem się na występie małego chłopca, który udawał cyrkowego klowna. Dawno nie widziałem artysty o takiej autentycznej *vis comica* i zdolności do wyłapywania zabawnych rysów

clowna cyrkowego. Wystąpił ze zwierzętami, którymi były małe dzieci, a on je tresował.

– Proś! Gryź! Proś! Brawo! – wykrzykiwał na różne sposoby w zależności, czy dziecko udawało lwa, fokę czy kota. – Brawo! Brawo! – krzyczał jak treser albo dyrektor prowincjonalnego cyrku. – Proś! Gryź! Proś!... Brawo!

Coś tu było z Massiny i *La Strady* Felliniego.

Jakim jechać samochodem? Szybszym czy bardziej pakownym?

Za dużo rzeczy, a wszystkie niepotrzebne.

Nad morze, ale nie na picerski Hel, lecz na północ: Kołobrzeg, Koszalin. Trasa przez Płock i Toruń. Tam spanie i spacer po Starym Mieście. Ale to już było i nie wróci więcej... Wraca koszmar zeszłego roku, jak przypieprzył się do nas pijany bandzior. Szukał jakiegoś młodego człowieka, bo chciał go zabić.

Bramkarze kilku klubów starali się go uspokoić i ratować tamtego:

– Killer! Kurwa, przystopuj... Killer, basta...

Trzymali go w kilku, a miejscowy Killer próbował się wyrwać, potem nas zauważył i utkwił wściekłe spojrzenie we mnie i mojej towarzyszce. Uratowało mnie tylko to, że Killerowi nagle zachciało się lać. Odstąpił od egzekucji i długo sikał na środku placu, a jego *bodygardzi* obstawili go w koło, zasłaniając przed publicznością oddawanie moczu.

Uciekliśmy w porę.

Niepotrzebna jest nam powtórka z rozrywki. Prujemy dalej do Bydgoszczy.

A może spać gdzieś w uroczym miejscu po drodze?

Jest!

Duża reklama na brzegu lasu.

Hotel „Leśny Zakątek".

Zajeżdżamy. Ani las, ani zakątek. Pokazują nam pokój. Typowy dla szefa i jego sekretarki – wymięta pościel, na ścianie obrazek jak nagi osobnik posuwa kobietę od tyłu.

Miejsce na ostatni sztos podczas powrotu z delegacji szefa, kierownika, dyrektora – z sekretarką albo z PR-ówką.

Jedziemy dalej w kierunku Bydgoszczy. „Leśna Przystań" – wesele.

W drogę! Nagle „Świeże ryby".

Smażalnia „Rekin”. Polecają nam jakąś morską rybę, bardzo egzotyczną. Jak może być świeża? Złowiona w zeszłym roku. Ale bardzo smaczna.

Podają nam potrójne porcje.

– Przecież zamówiliśmy pojedyncze.

– Tak, ale pojedyncze są strasznie małe i nie można się najeść.

– Bierzecie kartą? Bo nie mamy forsy na tyle porcji.

– Nie.

– No to jak?

– Będzie nam pan winny.

– Bardzo dziękuję.

– Wracamy za tydzień.

Zapomniałem powiedzieć, że inną trasą.

Bydgoszcz.

Urokliwa rzeka płynąca środkiem.

Nad nią na niewidocznej stalowej linie rzeźba gołego mężczyzny.

Genitalia zręcznie przykryte.

Wieczorem zwiedzanie. Przedwojenna architektura i nowo odbudowane stare portowe magazyny. Mieszczą się tam teraz banki.

Co rusz spotykamy trójkę ludzi w kostiumach jak na mistrzostwach w gimnastyce. Na biało, w obcisłych lajkrach, napakowani na maksa: ojciec, matka, synek. Wynurzają się z każdego zaułka miasta.

Wybuchamy śmiechem.

Ona – cycki, tyłek, wzgórek łonowy, on – uda, wydatne przyrodzenie, dziecko – brzuch z przekarmienia.

Znikają za zakrętem, aby pokazać nam się po dziesięciu minutach z innej strony.

Kolacja w „Sami Swoi” na Starym Rynku.

W restauracji naprzeciwko biją czarnego. Ten ogania się jak od much. Jakiś Polak wyskakuje w górę, próbując czegoś, co podpatrzył na filmach kung-fu, ale pada dupą na chodnik.

Żałujemy, że nie wiemy, z jakiego powodu awantura, bo słychać tylko: „Kurwa, kurwa...”.

Zza rogu kolejny raz wyłania się para z synkiem.

Płyniemy galerą po rzece Brda przez środek miasta. Gondolier w kapeluszu wenecjanina, lokalny patriota, mówi bez przerwy. Ma pomysł, aby rozwinąć turystykę i pływać galerami z Bydgoszczy do Berlina.

Bydgoszcz kojarzy mi się z Polakami rozstrzelanymi w 1939 r., wioślarzami przed i po wojnie oraz płaczem pobitego przez ZOMO Rulewskiego.

Nad rzeką piękny dom wioślarzy z treningowym basenem, bardzo elegancki, zbudowany przed wojną – został przez obecne władze sprzedany Chińczykom.

Gondolier pokazuje nam drewniany barak obecnego klubu wioślarskiego, wyglądającego jak magazyn starych gratów.

Nucimy: „Mamma...”.

Dzwonię do syna.

– Niestety, wieczorem jestem w szkole rodzenia.

– A gdzie są szkoły umierania?

Płaczliwy głos bezrobotnego. Dlaczego żaden dziennikarz nie powie: Trudno. Ale to jest kapitalizm.

Boją się tego słowa jak ognia.

Wybuch gazu w kopalni. Kilkunastu górników nie żyje.

Proszony obiad.

Przyjeżdża po mnie gospodarz, który go wydaje. Uprzejmy. Ruszamy i nagle przy wyjeździe z bramy – wypadek.

Słyszę tylko „O kurwa!” i jak w amerykańskim filmie widzę na masce salto mortale jakiegoś człowieka.

Rowerzysta uderza w nasz samochód i ląduje na asfalcie.

Zaniemówiłem.

Trup.

Okazuje się, że tylko pijany. Żyje, podnosi się, widać trochę krwi, zapala papierosa. Prowadzący samochód wyskakuje z wozu, coś tłumaczy...

Siedzę bez ruchu.

Sygnały policji. Podjeżdża też karetka pogotowia. Zabierają rowerzystę do szpitala.

Drogówka bierze się do mierzenia, badania, wypytywania i papierkowej roboty, która trwa dwie godziny. Nie wiadomo, czy chcą jakichś pieniędzy, czy to tak ma być... Koszmar.

Siedzę w samochodzie sprawczym i widzę, że podjeżdża rodzina poszkodowanego. Brat z rakiem krtani żąda wyjaśnień, charcząc niezrozumiale.

Dyskusja jest surrealistyczna. Nikt nikogo nie może zrozumieć. Całkowita nieprawda filmowa, ale właśnie takie jest życie. Scenarzysta by tego nie wymyślił. Po trzech godzinach wszyscy bohaterowie rozjechali się w swoje strony. Ze szpitala przyszedł komunikat, że rowerzyście nic poważnego się nie stało. A wyglądało tragicznie.

Po tym „proszonym obiedzie" wróciłem głodny do feralnej bramy koło domu i obejrzałem w TVN *Taniec z gwiazdami*, w publicznej – comeback Laskowika i starego Fedorowicza, a na Polsacie dwa morderstwa.

Zapraszający na obiad zeznawał w komendzie policji do końca *Tańca z gwiazdami*.

Młoda pani doktor, gdy proszę o konsultację w sprawie moich dolegliwości, pokazuje mi ulotkę, jak się leczyć:

– O proszę, na tej fotografii jest mój tatuś, ma pan to samo co on. Tu ćwiczy na rowerze domowym. To konieczne przy tej chorobie. Już nie żyje.

Dobra i życzliwa osoba poleca mi innego lekarza.

– To świetna lekarka. Bardzo doświadczona. Umarł u niej aktor Roman Wilhelmi.

Znów wszystko dzieje się równocześnie.

Umiera kolejny górnik po katastrofie w Wujku, Kazimierz Kutz krzyczy „mordercy!", prezydent tańczy na dożynkach, były faszysta nie wpuszcza do TVP swego następcy, ledwo widzącą matkę o nazwisku Tysiąc musi przeprosić ksiądz z Katowic, ojciec zabija syna i żonę pod Warszawą, Obama rozmawia z Netanjahu, a Gajos kończy siedemdziesiąt lat i dyszy podczas wywiadu, jakby miał osiemdziesiąt.

Są takie dni.

Kiedy powstawał Talmud, nie znano pojęcia a t e i s t y.

Był tylko człowiek, co nie przestrzegał przykazań.

Posłanka Senyszyn?

Discjockey w eleganckim radiu:

– A teraz dowalimy! *Tomorow will be a New Day!*

Odkrywcze.

Prezydent Kaczyński otwiera nowojorską giełdę.
Wszystkie akcje w górę!
Łącznie z jego.

Powoli następuje epoka „A na ch... mi to?”.
Do Czesława Niemena przyszła kiedyś Maryla Rodowicz z prośbą o napisanie muzyki do jakiegoś tekstu.
– A na ch... to?
– Mam zamiar śpiewać w tym roku na festiwalu...
– A na ch... ci to?
– Uważam, że może to być wielki szlagier...
– A na ch... szlagier?
– No, bo czuję, że będziemy mieli sukces...
– A na ch... potrzebny nam sukces?
I tak dalej.
Teraz jest to mój refren.
– Nie jesteś na festiwalu filmowym w Gdyni?
– A na ch... mi potrzebny?
Czesław Niemen zza grobu.

Na dwóch kanałach telewizji publicznej jakieś gówna amerykańskie. Na pierwszym od razu rozpoznałem, że to kręcone w Polsce po polsku, mimo że grał gruby i abominacyjny Amerykanin, a reżyserował jakiś Japończyk czy Chińczyk. Opanował mnie wstręt do imitowania życia przy pomocy maszyny filmowej. Na końcu bezwstydnie ciągnie się lista jakichś nazwisk, które to sprokurowały.

Książka.
O odchudzaniu.
W formie powieści.
Przychodzi facet do tego autora, co napisał bestseller o odchudzaniu. Siada, trzeszczy pod nim krzesło, bo jest gruby i ciężki. Namawia go, aby napisał o tym, jak pozbyć się nadmiaru kilogramów.
Ten wymyśla pierwsze uderzenie. Przez tydzień samo białko. Bo się trudno wchłania, organizm się męczy i spala kalorie.
Zaczynam więc od uderzenia białkowego.
Samo mięso.

Męcz się, organizmie!

Druga książka.
Wabi handlowym tytułem:
„Co jadł Jezus? Biblijna recepta na długowieczność”!
Chore.

Ogłoszenie na murze.
Masaż leczniczy: „Czarodziejka”.
„Laska”?

W *Teleexpressie*: „Pięciuset zwolnionych z Cegielskiego”.

Natychmiast pojawia się wspomnienie sprzed lat, z poznańskich Targów. W kawiarni dyrekcji pijemy kawę. Nie wiadomo dlaczego obok siedzi Tyrmand. Rozmawiamy, nagle z daleka przebija się szum i jakieś okrzyki.

Wychodzimy na taras. W perspektywie ulicy, jakby w nieostrości, idzie szary tłum, w kolorze jest tylko biało-czerwona flaga.

– Pracy! Chleba...

Nie jestem pewny, czy pracy, raczej godziwej płacy.

Koło historii.

I 53 lata temu, i dziś oszukani ludzie.

Obiecują im, że zamiast turbin do statków będą robić jakieś urządzenia do oczyszczalni ścieków albo maszynki do strzyżenia dla fryzjerów.

Dobre i to, że nie straszą ich obcinaniem rąk jak premier C. w czasach PRL-u.

Dziś wszystko zwalają na anarchistów, którzy się leli z policją, i na zły zarząd.

Kto go tam postawił?

Na tle sprawy Polańskiego gruchnęła wieść, że PiS złożył w Sejmie wniosek o farmakologiczną kastrację Kutza, Palikota i Niesiołowskiego.

Na szczęście okazało się to plotką.

Albo zręcznym „pijarem” sprytnych liberałów.

Wyrastają dwa olbrzymy. Stadion Legii i Narodowy.

Kto będzie na nich grał? Krzynówek?

Może powrócą bazary?

Daj Boże!

Znów afera na czterdzieści fajerek. Black Jack. Hazard.

Afery są wszędzie, ale tu i twarze straszne, i słowa, które padają. Kumplowska zażyłość i cynizm.

Nie chce się o tym mówić, a tym bardziej pisać.

Na tym tle wyrastają gwiazdy polityki.

Z Komisji Śledczej powstałeś, w Komisję Śledczą się obrócisz.

Dwa grubasy. Mąż i żona. Stoją wypiętymi brzuchami do siebie. Podchodzi młody człowiek.

– Bardzo przepraszam, że pytam, ale tak się zastanawiam, jak przy takiej tuszy można spółkować?

– Patrz, kochanie, jeszcze jeden z krótkim ch... – mówi mąż do żony.

Przy stoliku informuję, zwracając się do księdza Lutra:

– Czy wiecie, księże, że ojciec Tadeusz jest już na tysiąc dwusetnym metrze w ziemi, szukając wód termalnych, co nas ogrzeją przez zimę?

Wszyscy spuszczają oczy, bo nie wiedzą.

– Żyjecie jak zwierzęta! Nic was nie interesuje. Babrzecie się w „Nike", kto w tym roku zdobył pierwszą nagrodę. To wasze problemy. A to, że chcą tam zrobić befsztyk z naszego „Orła Białego", was nie obchodzi.

Ksiądz Luter z niewinną miną zamawia u kelnerki befsztyk, jakby go to nie dotyczyło.

Koloratkę przykrywa serwetą, aby jej nie poplamić, bo na zupę je flaki.

Sumienia nie przykryjesz, kapłanie!

– A ksiądz Tadeusz już drugą rurę wwierca w głąb polskiej ziemi i ogłasza, że 80 procent kraju leży na gorących źródłach termalnych. Ale was przy stoliku to nic nie obchodzi. Elity! I nie zastąpicie naturalnego stosunku mężczyzny z kobietą probówką in vitro. *By the way*.

Kotłuje się w PO. Wszyscy czekają, co jutro powie premier.

Dziś byłem na ostatnim Almodóvarze, *Przerwanych objęciach*, *Los abrazos rotos*. Co za kicz! Zaczynam doceniać filmy z festiwalu w Gdyni. A po kiego grzyba dystrybutorzy podają oryginalny hiszpański tytuł? Ilu ludzi zna w Polsce hiszpański?

Ja trochę liznąłem. Ola!

Na sali cztery osoby.

Słusznie.

Kaloryfery nie grzeją. Idzie zima.

Przychodzą ze wspólnoty dwaj hydraulicy; jeden nie ma zielonego pojęcia, skąd bierze się ciepło, drugi blond homo.

Bardzo ładnie ściera szmatką wodę, co wyciekła na podłogę.

Biorą w łapę, a blondyn w zamian daje mi numer telefonu komórkowego, gdyby coś...

Opowiadam to znajomemu.

– Panie, to jeszcze miał pan szczęście, że tak się skończyło, ja zwróciłem takiemu uwagę, to trzasnął narzędziami do torby i chciał wyjść. Tu leje się woda, a on do drzwi. Na kolanach go przebłagałem.

Chyba wraca PRL, znów bawimy się przygodami z hydraulikiem.

Ktoś wybiera się na studia. Zastanawia się, czy humanistyka, czy ścisłe... Radzę, aby wziął coś konkretnego w rodzaju: hydraulik, elektryk, mycie okien, masaż kręgosłupa...

Za kilka lat tego właśnie będą szukali „łowcy głów".

Bitch me!

Laudator *temporis acti* – chwalca czasu przeszłego. Jestem w Łodzi. Idę do teatru Jaracza i ogarniają mnie wspomnienia. Kiedy byłem uczniem gimnazjum, szkoła „przepisywała" mi wizyty na przedstawieniach Schillera – *Krakowiaków i górali*, *Celestynę* z Chojnacką, był też jakiś Słowacki, Sartre, coś pięknie grał Bronek Pawlik. Wystrój wnętrza ze złoceniami, balkony i parter zapchane do ostatniego rzędu. Scena w głębi obrzeżona ornamentem, wyścielane krzesła w formie małych foteli ków. Wszystko to działo się zaraz po wojnie, kiedy Łódź była kulturalną stolicą Polski.

Dzisiaj są dwie sale. Też pełno ludzi, ale jedna z nich, ta duża, została zmniejszona do połowy dekoracją z żelaza – gigantycznymi, prawdziwymi kratami jakiegoś więzienia. Balkony okalające parter zakryto czarnymi prześcieradłami. Hall w marmurach, chyba za pieniądze z Unii. Na scenie około dziesięciu aktorów w szarych ponurych ubraniach, kobieta też. Trwają w bezruchu. Potem każda z nich po kolei opowiada coś ponurego i strasznego. Jakiś starzec skarży się na swoje dolegliwości; woła z pretensją do Boga: „Boże, Boże!", bo nie może oddać moczu. Morderca płacze, gdy czyta list od mamusi, a później na pytanie pani mecenas (a może

prokurator?) odpowiada, że idzie się onanizować, bo ona jest piękna. Wreszcie jakiś młody człowiek podchodzi bliżej do widzów wciśniętych w niewygodne krzesła i oznajmia, że jest wnuczkiem bliżej nieokreślonego dziadka, o którym wiadomo tylko, że sikał bezwolnie w nogawki przez 24 godziny na dobę.

Trzasnąłem drzwiami i wyszedłem.

Przeczytałem kilka afiszy przed teatrem. Większość przedstawień to reżyseria dyrektora teatru, a jak ktoś inny reżyseruje, to jego opieka artystyczna.

Można.

Dyrektorować, reżyserować, ale na litość Pana Boga, nie nudzić!

A jeśli widz chce się dowiedzieć czegoś o moczeniu się starych ludzi, niech idzie na urologię w pierwszym lepszym szpitalu.

Byłem tam kiedyś i widziałem.

Nie chcę o tym dowiadywać się od wnuczka w teatrze.

...laudator temporis acti.

Tak, chwalę tamte czasy.

Łódzka Manufaktura.

Jej właścicielem był Izrael Poznański, gigant bawełnianego biznesu. Już drugi raz zwiedzam muzeum jego XIX-wiecznego imperium. Co za potęga wyobraźni. I jaka dbałość o szczegóły w każdym najmniejszym nawet fragmencie tego potężnego projektu.

Stoję zachwycony przed mapą, szukam miejsc, z których importował białe kulki kwiatu bawełny; były to tereny gdzieś hen na krańcach Azji.

Skąd to wiedział? Jak dowoził surowiec do Łodzi? Kto to sprawdzał? Jak przerabiano kulki białego puchu na cienkie nitki? A później na płótno? Na setki, tysiące, miliony metrów materiału: białego, kolorowego w kwiaty, w trójkąty, w kropki.

Na tablicy drzewa genealogicznego Poznańskich szukam – wśród córek i wnuczek – tej, z którą figlował w salonce Daniel Olbrychski. Nie mogę znaleźć. W filmie *Ziemia obiecana* przedstawionym do Oscara reżyser Wajda wyciął tę pikantną scenę. Bał się posądzenia o antysemityzm.

Na końcu wystawy kronika filmowa z lat pięćdziesiątych, dopada mnie głos Andrzeja Łapickiego... Na ekranie prządki wyrabiają 300 procent normy.

Wielki plakat reklamowy na sklepie z napisem: „Świat firan”, a pod nim zachęta: „Carpe diem!”. Właściciel zna łacinę.

Może to jakiś Palikot, co skończył filozofię.

W podłódzkich miejscowościach na ścianach warsztatów dziewiarskich: „Półprodukt: rajstopy”.

Jak to wygląda? Pół rajstopy?

Pamiętam też napis: „Hurtownia rajstop – Raj Adama”.

Dla fetyszystów. Mogę sobie wyobrazić anioły w rajstopach z tej hurtowni.

Chyba zostanę anorektykiem. Już zaczynam sobie wyobrażać, co dzieje się w moim brzuchu: mięso z krowy, ryby, dwie berlinki, musztarda, marchewka, pomidory, majonez... Będę rzygał już na samą myśl.

Idę spać głodny.

Przypomina mi się reklama z amerykańskiej telewizji: facet wziął miskę i pokazywał, co twój biedny żołądek musi znieść. Kolejno wrzucał do miski: rano kawę, potem sok pomarańczowy, płatki owsiane z mlekiem, tost z serem i wędliną. W południe znów kawa, sandwicz, sok. Lunch – następne gówna. W misce rosła góra wstrętnej mazi powstającej z tego, co człowiek wrzuca do żołądka, każąc mu później trawić. Fuj!...

Przetrawić, a później wyrzucić z organizmu.

Pewien Hindus stał 32 lata na jednej nodze i wypróżniał się na stojąco.

My na siedząco, kulturalnie, a nie w kucki, co jest najzdrowsze dla organizmu, jak się nie ma twardych mięśni brzucha.

Walczę o „kaloryfery” w tym miejscu, gdzie zwisa mi brzuch.

Modlę się o chociaż jeden mały „kaloryfer”. Gówno!

Na razie ćwiczeniami muszę zbudować gorset mięśniowy podtrzymujący kręgosłup.

Też trudne, ale możliwe.

Pewien Murzyn w Hyde Parku w Londynie tak krzyczał do nas, białych:

You biological mistakes!...

Miał rację.

Od dawna czuję się jak biologiczna pomyłka.

Psi smalec na raka.

„Zjadł kotlety z bernardyna razem ze swoją konkubiną” – informuje reporter z dziennika telewizyjnego. W Krakowskiem masowo przetapia się psy na smalec i spożywa ze smakiem ich mięso.

Śpiewa Frank Sinatra.

Night and Day... Ileż wspomnień! Dawniej było tylko kilku śpiewaków do zapamiętania, dzisiaj są setki. Kupiłem CD z odświeżonym piosenkarzem w stereo.

Łazuka na estradzie tak kazał siebie zapowiadać: „Polski Frank Sinatra". Wystarczy. Często wspominał: „Franek to, Franek tamto...".

– O, rany! Rozmawiałeś z nim? Spotkałeś go? – pytam.

– Nie, ale wiem, dokładnie wiem, co by powiedział, jak by zareagował, gdyby mnie widział na estradzie.

Jaka to była siła osobowości, skoro przenikał do świata PRL-u – tak odległej od jego amerykańskiego raju części świata.

A w drugą stronę?

Ni ch...ja!

Chociaż, gdyby zobaczył i usłyszał Bogdana... Może.

Coraz częściej patrzę przez okno jak te stare baby w prowincjonalnym miasteczku. Naprzeciwko ulica w Śródmieściu. Obserwuję faceta kopniętego w mózg. Ale już się do niego przyzwyczaiłem. W zimie tylko w samych spodniach, bez koszuli – latem całkowicie ubrany. Zaczepia wszystkich, prosząc o papierosa. Coraz więcej ludzi nie pali, mnie już zaczepiał kilkakrotnie. Chyba odkryłem, o co mu chodzi. To samotność. Mieszka na parterze w moim domu, z oknem na podwórko studnię przedwojennej warszawskiej kamienicy.

Samotność. Zagaduje ludzi, udając, że chce zapalić papierosa, aby chwilę z kimś porozmawiać. Ale dlaczego rozbiera się w zimie, a opatula latem? Chce zwrócić na siebie uwagę takim ekscentrycznym i dziwnym zachowaniem?

Może w ogóle nie pali. Nie zauważyłem go nigdy palącego...

Siąpi deszcz. Przez okno obserwuję sunącego chodnikiem po drugiej stronie ulicy starszego pana. Szura nogami i przesuwa się niepostrzeżenie, jak aktorzy japońscy w teatrze kabuki: człowiek nie widzi samego ruchu, a aktor przechodzi przez scenę z jednej strony na drugą.

Tak samo ten, ale gdy mija oś mojej obserwacji, widzę, że w ręce dotychczas zasłoniętej ciałem trzyma trzy czerwone róże w celofanie.

Gdzie idzie? Jakiej kobiecie niesie te róże? Żonie? Dawnej ukochanej? Komu? Kiedy do niej dotrze w tym tempie i przy tej pogodzie? Po dłuższej

chwili zniknął mi w kadrze okna. Deszcz coraz bardziej zacinał.

– O co tu chodzi? – jak pytała pilota jedna moja znajoma, odwiedzając kabinę samolotu w powietrzu. – O co chodzi? Temu staremu z kwiatami, chociaż nie może chodzić, o co chodzi tej głupiej, co zawracała dupę pilotowi, o co chodzi mnie... stojącemu w oknie.

Polski film *Zero* – dobry.

Nareszcie!

Co za pechowcy! Zawsze w najważniejszych momentach historii coś nam się spierdoli. Powstanie Warszawskie zaczęto nie w porę, bo spóźnił się Szef Wywiadu; na oczach całej Europy czołowy bramkarz polski, bożyszcze kibiców Dudek, puszcza bramkę między nogami jak dzieciak ze szkoły na podwórku; w meczu ostatniej szansy polski zawodnik strzela do własnej bramki i trafia! W Berlinie po narzekaniach, że nie docenia się Polaków w przewróceniu komunizmu, Wałęsa dostał wreszcie główną rolę: obalenia pierwszej części muru berlińskiego z biało-czerwoną flagą. Wszyscy w niego wpatrzeni, zaczyna przemawiać (czapka oprychówka, kto go tak ubrał?!), wreszcie popycha pierwszy fragment domina, który ma przewrócić tysiąc kolejnych. W świetle fleszy i kamer rusza powtórne obalenie muru berlińskiego, ale sam Wałęsa, popchnięty przez kamerzystę, o mało co się nie przewraca na pierwszy blok i cudem nie wpada do kanału. Ktoś go łapie za rękaw i na szczęście unikamy kompromitacji. Nie wiadomo, czy paparazzi nie chwycili tej przygody. Zawsze coś, jakby nie mogło być zwyczajnie, normalnie, bez tych idiotycznych wpadek. Niezawinionych a głupich.

Żal.

Wałęsa skarży kamerzystę o pieniądze za ten wypadek. Znów przypomina mi się jego powiedzenie: „Nie lubię, jak ktoś robi mi nieprzyjemność bez pieniędzy”.

Spotykam towarzysza niedoli szpitalnej.

– Jak zdrowie?

– Okropnie się czuję.

Na wszelki wypadek opowiadam mu o wszystkich chorobach, które mnie gnębią – prawdziwych i urojonych.

Za to on wygląda strasznie, podkrążone oczy, zmarchy, ziemista cera...

– Mam dla ciebie propozycję – mówi. – Poznałem pewnego szamana w Ameryce Południowej. Leczyłem się u niego. Cudotwórca! Dam ci jego adres w zamian za coś tam...

– ?

– Nie. Widzę, że się śmiejesz.

Odchodzi bez pożegnania.

Film *Rewers*. Rzeczywiście wszystko odwrotnie, niż piszą.

Chyba Hen wyprzedził mnie ze swoim *Dziennikiem*. Ale on tylko pisze. Czasami chodzi, bo go nogi bolą, „Nie mogę chodzić, dlatego muszę chodzić" – mówi mi, kiedy spotykam go na ulicy.

„Co ja robię tu?... Co ja tutaj robię?" – dobra piosenka.

Jadę tramwajem do synowej, która jest w ciąży. Pod pachą trzymam ładnie wydaną przez „Gazetę Wyborczą" broszurę z olbrzymim napisem: „Będę miał dziecko".

Jakiś młody człowiek ustępuje mi miejsca.

– Proszę, niech pan siada.

Philip Roth, znany mojemu pokoleniu z bardzo śmiesznej książki *Kompleks Portnoya*, napisał nową. Treścią jest to, że wszyscy Żydzi wracają z Izraela do Polski, a lud wita ich chlebem i solą. Nareszcie! Sam Philip Roth co prawda w to nie wierzy, ale niech wracają! Wymienić tych, co nie potrafią zrobić dobrej autostrady, zorganizować służby zdrowia, przeprowadzić sensownej reformy podatków, szkolnictwa, wymienić niezdolnych na zdolnych... Niech filmy robią bracia Coen, a nie ich podróbki, niech wyreżyserują mi *Janosika*, niech wymienią redaktorów pism, telewizji, posłów w Sejmie, niech wymienią Prezydenta i Premiera, niech zastąpią Chlebowskiego, Schetynę, Jarka Kaczyńskiego, Palikota i Grzegorza Łatę. Niech zostawią tylko Sobiesiaka i jego córkę.

Niech tylko zechcą wrócić!

Przy stoliku opowiadają o natrętach. Przedstawiam swoją listę.

– Podawał pan na scenie Pugaczowej mojego syna do pocałowania. Jestem wróżką. W środę są andrzejki, będę wróżyć w kasynie w hotelu

Marriott. Niech pan przyjdzie, przepowiem panu przyszłość. Jestem słysząca i widząca.

– Do usłyszenia i do widzenia.

– Poznajesz?

– Nie.

– Pingwiny?

– Co?

– ...

– Byłam wtedy chuda i zgrabna.

– Anin?

– Co Anin?

– Przywoziłam wam mięso podczas stanu wojennego.

– Aha.

– Tobie i twojej żonie.

– Tak?

– Taka blondynka z długimi włosami. No, teraz mnie poznajesz?

– Nie.

– Mieszkam w Berlinie. No?

– Co tam robisz?

– Kupuję, sprzedaję.

– Nie poznaję.

– Kurwa, co wy wszyscy... Skleroza w tej Warszawie. Nikt mnie nie poznaje!

– Bo jesteś stara, gruba i ufarbowana na papugę.

– Cham!

– Można?

– Proszę.

– Hare Kryszna.

– Co Hare Kryszna?

– Chodziłem wtedy w takim żółtym habicie, pan mnie nie poznaje?

– Nie poznaję.

– Nieważne. Dorobiłem się sześciorga dzieci.

– Z kim?

– Z żoną. Marzena jest zielonoświątkowcem. Ale będę się rozwodził. Spotkałem pewną germanistkę.

– Ale ja pana znam?

– Tak, tylko byłem w żółtym habicie i miałem ogoloną głowę. Bardzo smakował panu nasz gulasz dietetyczny...

– Aha.

– Jem tylko u Kryszny, w hotelach na otwarciach i na wernisażach. Nie potrzebuję pieniędzy.

– A ubranie?

– Czerwony Krzyż. Mają ubrań na tony.

– Germanistka też kryszna?

– Nie. Spotkałem ją na jodze.

– Jogistka.

– Bardzo zgrabna.

– Seks?

– Rewelacja.

– Byłem pilotem.

– Tak?

– Nie pamięta mnie pan?

– Nie.

– Trudno. Można sobie z panem zrobić zdjęcie?

– Proszę.

– Syn najstarszy nam zrobi. Stasiu, jak ty trzymasz ten aparat. Palcem zakrywasz obiektyw. Przepraszam. Jeszcze raz. Co? Przewiń do przodu. Kurwa, chyba cię pogięło!

– Jest pan moim wielkim wielbicielem... całuję pana gorąco za te niewybaczalne rzeczy, które pan zrobił w swoim życiu.

– Ale pan się zmienił. Dawniej był pan pies na kobiety, a dzisiaj patrzy na mnie i nic... Ledwo chodzi. Ja też się zmieniłam.

I jeszcze podchadziaszcza blondynka.

– Jestem autorką bajek dla dzieci. Napisałam trzy bajki, niestety, nie wydałam jeszcze żadnej. Spotkałam pana trzy razy w życiu.

Pierwszy raz przed laty, zapytał mnie pan: „Gdzie tu jest toaleta?”. Prowadziłam wtedy małą gastronomię przed Grand Hotelem w Sopocie. Po dziesięciu latach: „Z którego peronu odchodzi pociąg do Warszawy?”. I teraz: „Gdyby co, to jestem w barze na górze”.

Czy to nie jest piękne?

Jedna aktorka od lat występuje dla dzieci i taki ma repertuar, ale jest też zapraszana na różne imprezy okolicznościowe dla dorosłych. Nie zmienia nic z repertuaru. Na Wigilię w restauracji sushi nie chcą już więcej tego słuchać, więc proponuje koleżance zastępstwo. Ta ma w repertuarze tylko *Ślusarza* Tuwima, więc recytuje po opłatku:

„...I poszedł po holajzę
albowiem z powodu
Kaili na uberlaufie
Trychter rzeczywiście robiony był na szoner...”.

Potem śpiewali *Lulajże Jezuniu*... z wielkim przejęciem.

Wieczór.

Kręta droga w Tatrach. Mgła. Tu przed laty zabił się rajdowiec Muszyński. Jedziemy na kolację do Włocha. Podobno jakiś Włoch ożenił się z góralką i mają najlepszą cielęcinę w sosie cytrynowym.

– Proszę pana, ja gdzie tylko jestem za granicą, jem cielęcinę w sosie cytrynowym. I radzę wam zamówić to samo tu, w Tatrach.

– Aha, dobrze.

– Abym tylko skręcił na właściwe podwórko.

Ciemno jak w dupie u Murzyna. Wioska góralska.

Facet kontynuuje.

– Przyjaźnię się z tym dziwnym małżeństwem od lat.

– Produkty mają skąd? Olej kujawski pierwsze tłoczenie?

– Niech pan nie kpi. Z Włoch przywozi Włoch.

– Tu w głębokie Tatry?

–Tak.

– Super.

– O cholera, zamknięte!

Gdzieś na płocie majaczy napis „Ristorante”.

Wracamy.

Mgła.

Mylimy drogę i zamiast do Zakopanego skręcamy na Chyżne.

Zatrzymuje nas straż graniczna.

Jemy knedliczki z cielęciną po stronie słowackiej.

Los.

Prowadzi człowieka w nieznane.

Przed świętami.

Wassermann, posłanka Kempa... Posłanka Kempa, Wassermann. Od rana do wieczora w telewizorze.

Wyjeżdżam do Izraela na Nowy Rok, mimo że oni mają inny Nowy Rok.

Wracam po sylwestrze. Każdy taki plan, nawet krótkie wakacje, to wiara w... nieśmiertelność.

Koledzy ostatnio padają jak muchy.

– A propos, czy Żydzi obchodzą sylwestra w sylwestra?

– W Polsce tak. Ale tam? Dobre pytanie.

Nawet przy stoliku tego nie wiedzą.

Wracam po tygodniu. Na ekranie telewizora to samo: Wassermann, Kempa, Kempa, Wassermann.

Chcę do rosyjskich Żydów w Eilacie nad Morzem Czerwonym.

Zwykle po powrocie z zagranicy przy stoliku nikt nie chce słuchać moich wspomnień. Robią to celowo, aby pozbawić mnie możliwości brylowania. Przypomina mi się anegdota sprzed wojny, jak w kawiarni „Ziemiańskiej" pojawił się ktoś, kto właśnie wrócił z podróży do Ameryki Południowej. Naładowany wrażeniami chciał to wszystko wywalić kolegom, którzy nie ruszali się na krok poza Marszałkowską. Ilekroć zaczynał swoje wspomnienia, z miejsca mu przerywano, celowo opowiadając jakieś nieważne kawałki o tym, co działo się wczoraj w „Adrii".

Po powrocie z Izraela przy stoliku złośliwie nie chcieli mnie dopuścić do głosu. Ale ja swoje.

Przeczytałem w „The Jerusalem Post", że ostatnio w Izraelu więcej ludzi brało udział w głosowaniu w *Big Brother Show* niż zarejestrowało się do wyborów powszechnych.

Z historii sefardyjskich Żydów: Kto jeszcze pamięta, że kiedyś ludność Hamburga składała się głównie z ludności żydowskiej.

Nie wiedziałem.

Homo mogą wysadzić Izrael. Studenci z Yeshiva University w Jerozolimie kłócą się z dziekanem. Starają się inaczej interpretować to,

czego zakazuje Biblia.

W Moskwie też się boją parady wolności.

Co natomiast chcą uzyskać od rządu ortodoksi? Zakaz internetu w szabas. Chociaż jeden dzień bez listów i esemesów! Mają rację. W książce zatytułowanej *Tyrania e-mailu* autor dowodzi, że 60 procent jego respondentów odbiera wiadomości w toalecie, 62 procent na wakacjach, a 67 odczytuje je, leżąc w łóżku w piżamie!

Kabbalist's Message.

Ciekawe opowiadanie izraelskiego pisarza o kimś, kto czekał na spotkanie ze starym i słynnym kabalistą, aby mu dał radę, jak żyć. Nie doczekał się. Kolejka ludzi do kabalisty się skończyła, a kabalista poczuł się zmęczony i poszedł spać prowadzony przez szamesa.

Na spotkanie bezskutecznie czekała wnuczka właściciela mieszkania, który zaprosił słynnego kabalistę do domu.

Nie miała szans.

Policzki płonęły jej ze wstydu i poczuła w sobie pustkę i żałość. Tak bardzo liczyła na spotkanie z tym świętym i mądrym człowiekiem. I wtedy usłyszała głos, brzmiący ciepło i prawdziwie: „Czy nie wiesz, że wspaniałe i szczęśliwe życie musi być zasłużone przez ciebie samą, nie przepowiedziane przez innego, że jesteśmy zawsze samotni, sami ze sobą w naszym trudzie codzienności i nikt inny nie jest naprawdę za to odpowiedzialny, tylko ty.

Nawet gdy jesteś małą dziewczynką".

W Izraelu natłok rosyjskości, która zalewa język, obyczaje, sposób zachowania, filmy, telewizję. Można spostrzec, że wszystkie problemy Rosjan polegają na niespełnieniu się w seksie. Swobodnym, jasnym, ludzkim. Wszystko jest jakoś – i we współczesności, i w klasyce – powykręcane, niespełnione i pojebane. Szczególnie Czechow, jak go się ogląda z daleka od Rosji, w wolnym kraju, w klimacie dającym szansę na luz, zbliżenie obu płci.

Teatr.

Świetna dekoracja, trochę jak 3D. Rewia, estrada, varieté na najwyższym poziomie, a wśród tego ciasta starszy gruby facet z akcentem z Nowolipek albo Odessy.

Co chwila wychodzi do publiczności ze strasznymi numerami rodem nie wiadomo skąd. Albo on reżyser, albo dyrektor, albo właściciel tego wszystkiego. W pewnym momencie staje na estradzie w majtkach i podkoszulku z łukiem w ręku i zalotnie pyta:

– *Do you know what I am?*

Cisza.

– *No?... Guess.*

Cisza.

– *I am C u p i d o.*

I nagle słychać dalszy ciąg po rosyjsku: – Ja mogę wsio zdziełać... *Make love story. Po wsiech...*

Idziemy boczną uliczką. Od frontu elegancki hotel. Król Salomon, Herod, Sheraton. Wjazd dla ciężarówek dostawczych z tonami żarcia – warzyw, mięsa, pieczywa. Kto to wszystko pochłonie? My, ludzie trawiący potem na słońcu, na plaży, *w salle de mange*, barach, kasynach, restauracjach hotelowych.

Podczas pływania, spania, chrapania.

Smakowanie jedzenia powinno być połączone ze wstydem. Befsztyk, bo został dla nas zabity byk, cielęcina, jeszcze większy wstyd, gdy przypomnimy sobie wielkie cielęce oczy cielaczka, kura, pasztet z gęsi, fois gras...

Jesteśmy sadyści i mordercy!

„Change Your Heart
Look Around...”

– śpiewają aktorzy w teatrze izraelskim.

Coraz mniej ciekawych ludzi. Zdjęcie z planu nowego filmu Skolimowskiego. Jurek stoi tam obok żony Polańskiego. Ilu jest takich Jurków w Polsce? Można policzyć na palcu jednej ręki.

Ale czytam, co chce zrobić, o czym to będzie film. Na początku zachwyciłem się tym pomysłem. Zbieg z amerykańskiego transportu więźniów, jakiś Arab, ucieka i trafia na polską zimę na Mazurach. Nie ma szans, ale się przedziera przez polską rzeczywistość, uchodząc przed goniącymi. Nawet cwaniak Polak miałby trudności, a co dopiero ten człowiek w pomarańczowym kombinezonie.

Świetny pomysł! Niestety, Jurek mówi coś, że na zakończenie jakieś buty, niby symbol ludzkości, wjeżdżają ruchomymi schodami na górę innych butów – ludzi, którzy odeszli z tego świata.

Może dobre? Ale wolałbym, żeby Jurek bez tych symboli opowiedział tę historię, po bożemu.

Pamiętam huragany śmiechu, gdy Lepper mówił o Arabach w Chlewkach. Ten się śmieje, kto ostatni. A śledztwo w sprawach lądowań samolotów CIA? Na razie końce w wodę.

Tusk rzuca hasło: „Żyć taniej i żyć lepiej!".

Trudne.

Ambitny aktor wybierał imię dla swego syna: Oskar, Wiktor, Feliks. Żona aktora, znana gwiazda telenoweli, żałowała, że nie urodziła im się córka, mogłaby mieć na imię Telekamera.

Złote Tarasy. Na ruchomych schodach źle stąpnąłem i coś mi łupnęło w kostce w lewej nodze. Jest tu od groma małych restauracyjek, barów, bufetów jedzenia w ekspresowym tempie. Chcę coś zjeść na szybko.

Wszędzie podobne gówno, niezależnie od kraju, z którego rzekomo pochodzi.

Podchodzę do stolików wystawionych na środek pasażu. Przyglądam się, jak wygląda jedzenie na talerzu. Jakieś białe wietnamskie pierożki.

Jeden z panów w trakcie zręcznego posługiwania się pałeczkami na mój widok wykrzykuje:

– Proszę odejść. Nie mamy drobnych. Odejść!

Zrozumiałem dopiero po chwili.

Odszedłem jak odpędzony narkoman żebrzący na Dworcu Centralnym, kulejąc z powodu zwichniętej kostki.

Oni też tak spokojnie stoją i patrzą na ludzi pustym wzrokiem. Postanowiłem zadbać o swój wygląd.

I przestać kuleć.

W telefonie wiadomość od producenta filmowego szóstej kategorii, niestety ten z pierwszej jest za kaucją na wolności w Konstancinie i nie chce nic produkować:

„Po pierwsze: Żelazik wrócił z Las Vegas. Po drugie: Agata już po operacji plastycznej. Ma największe cycki w Warszawie, długie nogi i cipę w motylka. Po trzecie: Mamy finansistę, co chce na nią dać pół bańki dolarów”.

Niech da.

W publicznej TV podobno nie mają ani grosza. Wszystko skonsumowały porady prawne i odprawy dla wyrzuconych.

Nowy prezes żąda od producentów telenowel takich jak *Klan*, *M jak miłość* i innych, aby mniej zarabiali!

To zupełnie odwrotnie niż proponowanie Polakom, aby nie płacili abonamentu.

Komunikaty o stanie zdrowia Gustawa. Tak samo było z papieżem: Czuł się dzisiaj lepiej niż przedwczoraj, a przedwczoraj prawie jak tydzień temu, wtedy co to przerwał czytanie homilii. Jest lepiej niż wczoraj, ale gorzej niż przedwczoraj. Szczęście, że ma takie grono komentatorów. Ile osób znika bez tak szczegółowych analiz i komentarzy. Ale anonimowość ma też swoje dobre strony.

Pewna pani historię swego życia mogłaby napisać „z sufitu”. Oglądanego w większości mieszkań Warszawy, Polski, Europy i obu półkul.

Ta...titatitata. Te dźwięki zaważyły na losie młodego człowieka. Kretyn, a może geniusz? Sala wykładowa. Przy fortepianie staruszek profesor. Obok stoi student szkoły aktorskiej.

– Czy ja panu już mówiłem, że pan wygląda jak kretyn?

– Tak, mówił pan profesor już dwa razy.

– Śpiewaj pan! Ta...tatatatitata...

Wybija nuty na fortepianie.

– Ta...tita...ti... – powtarza niepewnie student.

– Czy ja już panu mówiłem, że wygląda pan jak...

– Tak, pan profesor był uprzejmy poinformować mnie o tym już dwa razy.

Student, zamiast śpiewającym aktorem, został wybitnym pisarzem.

Kto to jest?

Tajemnica poliszynela. Ale dobrze się stało.

Duch Święty tchnie, gdzie chce.

Pierwsza Sejmowa Komisja Śledcza spowodowała, że *prime time* w telewizji zaczynał się o godzinie dziewiątej rano.

Zobaczymy, co będzie z następnymi.

Nienawidzę wspomnień rówieśników! Dlaczego nie wydaje się wspomnień młodych dziewcząt? Film *Galerianki* na razie pierwszą jaskółką.

Młodzież naśladuje wzorce z *mass mediów*, a *mass media* myślą, że taka jest młodzież. Pętla.

Zauważyłem, że coraz trudniej mi wysiadać z taksówki. Albo jestem coraz mniej sprawny, albo taksówki są coraz mniejsze.

Seria nieszczęść i niefartów. Wszystko się wali. Jak domino, tylko że powoli, nie tak błyskawicznie jak w japońskich układankach z tysięcy klocków. Czasami, gdy w końcówce rozgrywki szachowej powierzam grę komputerowi, ruchy są najpierw powolne, a potem, gdy jedna strona zdobędzie przewagę, następuje gwałtowne przyspieszenie, jakby skoki tygrysa na ofiarę. I mat. Jak w życiu.

Podobnie w polityce i w prasie. Wilki obchodzą ofiarę powoli, co pewien czas puszczając jakąś wiadomość czy przeciek, a potem gwałtownie skaczą jej do gardła.

– U ciebie stale jest zajęty telefon!
– Bo załatwiam różne sprawy.
– Ale ja dzwoniłam wczoraj o piątej rano.
– Możliwe, ja często mówię przez sen.

Znajoma przyleciała z Ameryki. Spotkała tam niewidomego milionera. Miała z nim zostać. Okazał się ślepy, ale tylko na jedno oko. Wróciła do Polski.

W pociągu konduktor sprawdza mi precyzyjnie legitymację seniora, dodatkowo żądając dowodu... Ogląda mnie ze wszystkich stron.

Z wściekłości pytam go o poziom uryny w zatkanej misce klozetowej w sraczu.

– A co to jest uryna? – pyta zaskoczony.
– Szczochy się przelewają w InterCity! – ryczę.
Pięćdziesiąt procent rodaków nie rozumie, co do nich mówią w teatrze, w filmie, w telewizji. Chyba że przy zlewozmywaku w telenoweli.

Długowieczni. To dobry tytuł dla tych zapisków. Zuzia Łapicka opowiada, że przeczytała wiersz Miłosza, który napisał, mając dziewięćdziesiąt lat. O „łasce życia", bardzo mądry, i chciała go zacytować rodzicom. Ale ojciec mówił tylko o Gustawie, że nie chce umrzeć wcześniej od niego, a matka o tym, że jakiś kwit niezapłacony.

Żona kupiła buty Aktorowi.
– Jak do trumny to trochę za różowe.
Okrutni, na tej ostatniej prostej.

Bankiet po zakończeniu turnieju tenisowego w Sopocie. Podniecony młodymi dupami „bardzo bogaty" krąży po sali. Żona obserwuje go zimno zza okularów. Życie przeleciało mu na biznesach.

Ile osób, które chciałem opisać, zanim wydam te wspomnienia, już nie będzie żyło. Trzeba się śpieszyć nie tylko kochać ludzi, jak mówi ks. Twardowski – też jest u Pana Boga – ale z wydawaniem wspomnień. Tak łatwo się dezaktualizują. Kto dziś pamięta... przepraszam... jeszcze żyje.

Napis na knajpie: „Kulinarny strzał w podniebienie!".
Wszedłem, zjadłem, wyrzygałem.

Przed Bożym Narodzeniem.
Spiker w radiu:
– Polacy zabijają karpie, bo jeszcze nie nauczyli się jeść ryb, jak to robią Japończycy, na surowo(!).

Pasterka u św. Anny na Starym Mieście. Pełno młodzieży. Pieśni to głównie doktryna Kościoła katolickiego rozpisana na głosy. A gdzie słowo Boże, porywające, dające jakieś impulsy, jak godnie i szlachetnie żyć, kochać, pracować? Komunię rozdają wyglądający na inteligentów młodzi księża. Dlaczego marnują to spotkanie z kolegami?
Tego wieczoru ks. Dyrektor w Radiu Maryja nie odpuszcza.

Pensjonat. Pies idola. Pies zakochał się w panu miłością ostateczną, trwało to latami. Jak na psa za długo. Pan przeprowadza się i zostawia psa. Nie ma go dzień, tydzień, miesiąc, pies chowa się w krzaki i zdycha. Nie widzi sensu życia dalej. Umiera z tęsknoty i pewnie ze starości, ale umiera dyskretnie, bez ostentacji. Starzy poeci zapowiadają swoją śmierć wierszami, jak Iwaszkiewicz, Miłosz i tylu innych.

Pensjonat Borszewice. Przyjeżdża tu stale pewna para. On osiemdziesiąt pięć, ona – różnica dwudziestu pięciu lat – ma sześćdziesiątkę. Czyli „seks międzypokoleniowy", jak to się mówi w dobie pojawienia się pedofilii w Polsce. To znaczy w ostatnim roku. Przedtem pedofilów nie było!

Ona go zdradza z drugim osiemdziesięciolatkiem. Obserwuje ich służba.

– Panie, czegoś takiego nie widzieliśmy nawet na Polsacie po godzinie dwudziestej trzeciej.

Trójka uśmiechniętych pyzatych dzieci. Dwie dziewczyny i chłopak.

– Proszę pana, kupi nam pan „browca"? Dostanie pan jedną puszkę gratis.

Odmawiam.

Aktor polski w zagranicznym filmie.

Opowiada żona:

– To bardzo ciekawa rola. W pierwszej scenie mąż leży pijany w Paryżu. W drugiej to samo na Ibizie, a w trzeciej podnosi go z podłogi Zofia Marceau.

Mąż jest bardzo odpowiedzialnym aktorem. Bardzo intensywnie przygotowuje się do roli. Wczoraj miał delirkę.

Mam wrażenie, że wszystko wpada w jakąś dziurę. Znika bezpowrotnie. Wysiłek, starania, uczucia, energia niepotrzebnie wydatkowana na rzeczy znikające gdzieś w koszu uniwersum. A może w niepamięci otaczających nas ludzi zajętych tylko sobą?

Bulwar nadmorski lekko po sezonie.

Wieczór. Jestem w obszarpanych dżinsach i swetrze z dziurami.

Rozglądam się bez celu i bezmyślnie.

Zaczepił mnie jakiś lump.

– Gdzie zbierasz?

Na początku nie zrozumiałem, o co mu chodzi.

A potem wdałem się w grę.

– Tu, na deptaku – mówię.

– Aluminium czy blachę?

– Aluminium.

– Masz rację, blacha się nie opłaci.

– Po ile sprzedajesz?

– A ty?

– Dwadzieścia za pięć kilo.

– To ile ci wchodzi na kilo?

– Pięćdziesiąt.

– Taka torba?

– Ale już muszą być zgniecione.

– Jasne.

– Trzeba się nachodzić. W sezonie jest łatwiej. Ale już robi się zimno.

– Tak, nie jest łatwo. Nic nie ma bez chodzenia.

– Jak w życiu. Wszystko trzeba wychodzić. W każdej dziedzinie – zgodziłem się.

Stałem z reklamówką Gianni Versace w ręku. Wziął mnie za lumpa zbierającego puszki po piwie.

Nie wiedział, że w torbie miałem najnowszy model kurtki tego Włocha, kilka lat temu zabitego przez kochanka na Florydzie.

Następnego lata, zaproszony przez przyjaciół z Miami, jadłem kolację w dawnym domu Versacego przy Ocean Drive. Jego siostra urządziła tam snobistyczną restaurację. Do sracza poszedłem z aparatem fotograficznym. Fotografowałem złote kible i pisuary. Ale właściciel nie przeskoczył ilością złotej armatury znajomego biznesmana z Piaseczna uwiecznionego w moim serialu *Tygrysy Europy*. Tam wszystko było ze złota.

Podczas kolacji. Po przystawkach.

– Czy macie państwo wykałaczki? Bo czarna trufla weszła mi do *cariesu* w górnej piątce.

– *Sorry*. U nas gości stać na dentystę.

Przy drugim daniu pytam zaczepnie:

– *Excuse me*, czy może właśnie tym nożem do befsztyka potraktował zazdrosny młody kochanek właściciela lokalu?

– *No, I don't think so... I hope not*.

– Szkoda.

To jest religijność!
Mnóstwo ludzi ma czarne krzyżyki na czołach.
Środa Popielcowa w dyskotece w Miami Beach przy Ocean Drive.

Znajoma postanowiła rozgryźć św. Tomasza z Akwinu. Usnęła po piętnastu minutach. Obudziła się. Zaczęła czytać „Jak zdobyć męża po czterdziestce". Czytała całą noc.

Ja:
– Jak przychodzi taka ostra, mroźna zima, to zawsze mi się kojarzy z obrazami Breughla... On malował takich ludzików na łyżwach jeżdżących na sadzawce o zmierzchu...
Ona:
– Breughel to ten, co wynalazł alfabet dla niewidomych?
Ja:
– Tak, on.

Wolę dezinformować. To łatwiejsze, niż tłumaczyć wszystko od początku, że alfabet Braille'a nie ma nic wspólnego z łyżwami na sadzawce w Holandii, Flandrii czy cholera wie gdzie...

Na ten sam temat anegdota Stefana Friedmana.
Olsztyn. Artysta po występie wpada do restauracji hotelowej tuż przed zamknięciem, aby coś zjeść. Jest głodny jak wilk.
Kelner czeka, tamten studiuje kartę. Wreszcie mówi pospiesznie, w obawie, że zaraz kucharz pójdzie do domu.
– Czy schab po myśliwsku może być?
– Proszę bardzo.
I tu wpadka artysty.
Zapytał nieopatrznie kelnera.
– ...A jak to jest po myśliwsku?
Kelner strzepnął ze stołu jakiś paproch.
– Schabu po myśliwsku już nie ma.
Po co ma tłumaczyć.

Reżyser znany ze swoich ciętych powiedzonek himilsbachowsko-maklakowiczowskich u prezydenta III RP z wizytą. Atmosfera

przyjacielska. Państwo prezydentostwo Kwaśniewscy oczekują, że gość błyśnie czymś zabawnym, w swoim oczywiście gatunku.

– Wódka, piwo, sok, woda? – pyta elegancko gospodyni przy kolacji.

– W wodzie ryby się pierdolą – mówi spokojnie Piwek.

Poczuł, że spełnił oczekiwania gospodarzy.

Końcówka. Nawet najwybitniejsi nasi pisarze kończą karierę powieścią ze szpitala.

Niedoczekanie.

Strzyżenie u p. Darka w Żyrardowie. Pełno „żołnierzy".

Martwię się o samochód, żeby nie podprowadzili. Darek mówi, że to raczej tu sprowadzają skradzione samochody. Długość włosów działa psychologicznie. Jest się bardziej męskim po ogoleniu np. na łyso. Nawet premier Berlusconi uległ tej modzie. Od razu stał się twardszy i energiczniejszy.

Jak poznałem Darka? Dzięki balejażowi.

Chciałem się ostrzyc przed triumvirum świątecznym: Pierwszy Maja, dzień powszedni, który każdy olewa, i Trzeci Maja.

Przed Pierwszym Maja wyjeżdżam z Warszawy, ale jeszcze wpadam na MDM na górkę do salonu urody, gdzie strzyże znajomy szatniarz.

– Nie mogę pana przyjąć, bo mam jeszcze dwa balejaże, a dopiero robię niebieskie pasemka przyjacielowi – mówi wysokim, płaczliwym głosem.

– Mam cię w dupie!

Ostrzygę się po drodze w Jankach. Olbrzymie, nowo otwarte centrum handlowe. Szukam fryzjera. Jest. Na fotelu siedzi jakaś klępa. Fryzjerka nad nią z pędzlami w ręku.

– Niestety, mam balejaż, ale za pół godziny przyjedzie koleżanka, to pana ostrzyże.

Idę na spacer po sklepach. Kupuję jakąś kurtkę niepotrzebną Yves Saint-Laurenta szytą w Legionowie. Ma za długie rękawy, więc wyglądam jak idiota. Muszę później znaleźć krawca.

Wracam do fryzjera. A tam już dwie osoby siedzą na krzesłach. Nowa fryzjerka robi trzeciej balejaż.

– A niech was...

Wsiadam w samochód i ruszam na autostradę.

W Radziejowicach przy wjeździe na parking pytam portiera:

– Panie Stasiu, macie tu we wsi jakiegoś fryzjera, chodzi mi o takiego, co szybko ścina na krótko włosy, bez specjalnych umiejętności. Maszynka, nożyczki... i raz dwa trzy.

– Oczywiście. Jak pan skręci na Żyrardów, to on mieszka zaraz za transformatorem.

– Okej! Pies was drapał w balejaże, pedryle...

Jadę. Szukam transformatora.

Jest.

Podwórko ogrodzone. Wyskakuje jakiś pies potwór i próbuje przeskoczyć przez ogrodzenie, aby mnie zagryźć.

Zjawia się kobieta z dzieckiem na ręku.

– Dzień dobry, czy tu jest fryzjer? Chciałem się ostrzyc.

– Jest, ale męża nie ma w domu. Pojechał na ślub kuzynki zrobić jej balejaż. Wróci po kolacji, pod wieczór.

– Przyjadę później.

Po kolacji wsiadam w samochód. Jadę.

Pies mnie poznał. Łasi się.

Wychodzi kobieta z dzieckiem.

– Niestety, mąż jeszcze nie wrócił. Nie wiem, co się stało.

– Czy mąż ma jakieś narzędzia do strzyżenia, przybory?

– Tak, tak, ale zabrał ze sobą. Może jutro będzie, wie pan, jak to na weselu.

– Wiem. Do widzenia.

Jutro Pierwszy Maja.

Na prowincji to nie ma znaczenia.

Jadę do Żyrardowa. Chodzę po ulicach, szukam przed południem otwartego fryzjera.

Nagle widzę młodego chłopaka ostrzyżonego jak rekrut, wygląda, jakby dopiero co wyszedł od fryzjera. Energicznie maszeruje w jakimś kierunku. Za nim!

– Proszę pana, gdzie tu jest otwarty fryzjer... widzę, że pan...

– Idę właśnie do fryzjera.

– Ale pan jest ostrzyżony...

– Odrosły mi do trzech milimetrów, a powinny być dwa. Niech pan idzie za mną.

Tak trafiłem do Darka.

Muskularny, tatuowany, bez uśmiechu strzyże błyskawicznie młodych karkoszerokich byków. Trwa to dwie minuty. Pewna ręka, zdecydowane ruchy.

Siadam, strzepuje pelerynkę.

– Trójka czy dwójka?

– Nie rozumiem.

– Na dwa czy na trzy milimetry?

– Może na dwa.

– Zrobię na trzy, bo wyjdą panu prześwity.

– Mam prześwity?

– No, włochaty pan nie jest.

– Rzeczywiście.

– Głowa na dół.

Syk maszynki.

Po chwili wyglądałem jak podstarzały żołnierz od śp. „Pershinga".

Na tym nie koniec. Kiedy przyjeżdżałem już regularnie do Darka, wdałem się z nim kiedyś w rozmowę o fryzjerze z Radziejowic.

– A wie pan, był tam taki, ale umarł trzy lata temu. Dobry fachowiec.

– Ale żona mówiła...

– Panie, żony mówią, co im do łba przyjdzie.

– Umarł? Trzy lata temu? Ale ja...

W Radziejowicach. Zatrzymuję się pod transformatorem. Próbuję otworzyć furtkę. Zamknięta na kłódkę. Nawet psa nie ma.

Co się stało?

Czy wtedy żył jeszcze wiejski fryzjer?

Czy już go dawno nie było, a żona nie mogła się z tym pogodzić i żyła tak, jakby on ciągle był.

Do dzisiaj nie wiem i nie chcę drążyć tej sprawy, ale zawsze gdy słyszę „balejaż", to pamiętam smutną twarz kobiety z dzieckiem na ręku.

Przyjeżdżam ostatnio do Darka.

– Panie, jaki wstyd, jaki wstyd! W telewizji na „Telekamerach" sterczał panu kogut na głowie. Cały Żyrardów się ze mnie śmieje!

Podają fałszywą informację o tym, że premier Włoch Berlusconi się ostrzygł. To przeszczep! Będzie miał nowe włosy.

Co to jest „życzliwość”? Jak to ująć naukowo, wymiernie? Nie wiem.
Zapytam moją psychoterapeutkę.

Jakiś mały, niepozorny człowieczek podchodzi do mnie w Sopocie i skarży się, że od dwudziestu lat biorą go za mnie(!). Patrzę na niego i otwieram oczy ze zdumienia. Nic nie jest podobny. Ani wzrost, ani wygląd, włosy, czoło, oczy, nic.
– Proszę pana, biorą mnie za pana albo za Wodeckiego.
Idioctwo.
Po dwudziestu minutach znów on.
– Gdyby ktoś na Monciaku klepnął pana w plecy i powiedział: „Cześć, Kaziu!” – to chodzi o mnie. Niech się pan nie przejmuje.
Ostatnim testem na sławę i popularność jest to, że jakiś wariat podaje się za ciebie albo że wydaje mu się, że jest tobą.

„A ty znajesz paczemu ja niczewo nie skazał. Potemu szto ja niczego nie znaju. A narod, czto niczewo nie znajut, nikagda nie pobiedi”.
Ruska telewizja.

Zazdrość młodej kobiety o starszego mężczyznę jest bardziej dotkliwa i przerażająca niż banalna zazdrość starej żony o młodą kochankę! Jest w tym coś z Biblii, nałożnic, całej geografii erotycznych stosunków bohaterów w tej świętej księdze, gdyby ją pod tym względem analizować. Ale kto się odważy?! Nie było takiej zapiekłej zazdrości żony... Abrahama, Jozuego i tylu innych. Może dlatego, że chodziło o spłodzenie jak najwięcej synów Izraela?
Nie ma jazdy bez gwiazdy. Nawet najnowszym Mercedesem.

Przyrośnięta maska playboya jest śmieszna i tragiczna. Tu żadna chirurgia plastyczna nie pomoże. Mimo że wewnątrz tkwi zupełnie inny człowiek. Jakże proste są liftingi kosmetyczne u kobiet i mężczyzn. Maski zakładanej na siebie od lat nie można zmienić za pieniądze. To wymaga żmudnej i cierpliwej pracy Syzyfa.

Jakież to trudne zadanie być ministrem. Bankietować z artystami w „La Boheme” do rana, a następnego dnia już o dziesiątej rano przemawiać na pogrzebie na przykład literata, sportowca czy działacza. I to z sensem. Gibkość charakteru i możliwości. Taki jest popularny Valdi. To cecha sukcesów dwudziestego pierwszego wieku.

Starość usztywnia.

W radiu odcinek „Jak zostałem pisarzem?”. Fragment zeznań literata Stasiuka czytał aktor Baka. Dlaczego nikt nie chce opowiadać, jak przestał być pisarzem?

Znajomi mówią o obecnej sytuacji, że to są ruchome piaski. Każdy szuka jakiegoś kawałka twardego w miarę gruntu, aby nogę postawić.

Porobiło się.

Kupiłem sobie GPS. Chcę wiedzieć, gdzie jestem i dokąd idę. Na północ, na południe i czy w ogóle się poruszam. Pokazuje dokładnie, z jaką szybkością przemierzam ulice, drogi, pola i łąki. Podbiegam. Pokazuje, że pięć i pół kilometra na godzinę. Szukam w niedzielę wielkanocną kościoła w Zakopanem. Jest na ekranie jak byk. Wchodzę, trafiam na ostatnie błogosławieństwo. Pięknie. Z gustem zakopiańskich plastyków łączących nowoczesność z tradycją. Zauważam tabernakulum, umieszczone po lewej stronie ołtarza. Nie tradycyjnie pośrodku.

Symetria jest estetyką głupców, gdzieś przeczytałem. Wyobrażam sobie, ile było dyskusji z księdzem proboszczem.

Przy wyjściu uderza mnie uroda i sylwetka jednej wiernej w wieku bardzo młodym. Uśmiech, oczy, długie nogi, idzie z jakimś panem pod rękę. Zazdroszczę. Okazuje się z podsłuchu, że ojciec. Uspokoiłem się.

Włączyłem GPS i łatwo wróciłem do domu.

Autorka popularnej telenoweli zachęca przy stole wielkanocnym, żeby oglądać nowy odcinek w telewizji publicznej, będzie tam śmiała scena badania *per rectum*. Serial dzieje się w szpitalu. Mąż pewnej pani, który oczekuje na wyniki takiego badania z Instytutu Onkologii, nie był zachwycony.

Pasja Mela Gibsona – tyle szumu na całym świecie. A babcia Marty założyła punkt przedsprzedaży biletów do kina dotowanych przez

proboszcza. Mimo że chora, leżąc w łóżku i między zabiegami, parafiankom wydaje bilety, które w kinie nie były od sześćdziesięciu lat, ostatni raz na *Zakazanych piosenkach*.

Oto co znaczy religijność, branie sprawy w swoje ręce i logo krzyża! Swoją drogą, jak te opinie za i przeciw temu filmowi mówią, kto jest kim. I nieważne są wszystkie zakrętasy ideowo-hasłowe. Podział jest jasny. My za, oni przeciw albo odwrotnie. W prasie, radiu, telewizji, sklepie, szkole, biurze, Sejmie, także w Kościele.

Babcia spotyka wikarego.

– Czy oglądał ksiądz transmisje z Rzymu drogi krzyżowej z naszym Papieżem Polakiem?

– Muszę powiedzieć, że stała się rzecz straszna. Ksiądz proboszcz wyjechał do Memphis, a ja mam tyle obowiązków, tyle spraw...

– Do Memphis? Są tam jakieś obchody...?

– Tak, w muzeum Presleya. Ksiądz proboszcz w młodości był fanem rock and rolla.

– Ach, tak!

– Byłem taki zmęczony, że w trakcie tej transmisji po piątej stacji odleciałem. Zasnąłem.

– Niech się ksiądz nie martwi, nagrałam całość na wideo.

Zmarkotniał.

Skąd ci starożytni tak umieli pisać? Edyp jest jak amerykański thriller.

Po spektaklu. Kilku kolegów wybiera się na wódkę, łącznie z głównym aktorem Piotrkiem Fronczewskim. Gustaw prosi: – Weźcie mnie ze sobą, chłopcy. Nie chcę zostać sam. Chciałbym jeszcze na was popatrzeć. Jutro idę do szpitala.

Idziemy do SPATiF-u. Przy stole same opowieści szpitalne. Rozumiem. Ja opowiadam o lekarzu z Anina.

Ktoś o przedwojennym aktorze Grabowskim, który pytał: – Siostro, gdzie tu się pierdolą ubodzy?

Gustaw na to, że wspominamy kolegów ze szkoły: – Ja miałem takich, co mieli syfa i leczono ich rtęcią. Jeden się chwalił: – Ja od tego mam termometr na piersi i zawsze wiem, jaka jest temperatura. Drugi: – Ja mam dwóch synów, jeden ma na imię Celsjusz, a drugi Fahrenheit.

Jestem Europejczykiem! Zostałem nim pięć lat temu w nocy z 30 kwietnia na 1 maja. Na placu Teatralnym przed operą tłum czekał wtedy na przyjazd prezydenta. Czekał też dyrygent Kaspszyk w czarnym fraku, z ręką gotową do dyrygowania dziewiątą Beethovena. Zajechały limuzyny z żarówami. Wysiadł Kwach i dwór. Usiedli na ławkach przygotowanych przed estradą. Kaspszyk zaczął sadzić „dziewiątą".

Dzisiaj, w piątą rocznicę, z trudnością dopuszczają do głosu tych, co wprowadzali nas do Unii. Przemawiają premierzy. Każdy ciągnie w swoją stronę.

Przypominam sobie, jak za komuny w telewizji redaktor *Dziennika* zadał ministrowi spraw zagranicznych podchwytliwe pytanie:

– Panie ministrze, czy uważa pan, że przyjaźń i współpraca z wielkim Związkiem Radzieckim jest korzystna dla Polski?

Długa pauza. Na czole ministra widać pracę umysłową w postaci fałd i zgrubień, oznaczających wysiłek analizowania i – pozorne – bicie się z myślami.

Po dłuższej chwili:

– Tak, zdecydowanie tak!

Niechby powiedział nie.

Albo tak, jak jeden ważny towarzysz zażartował i już potem nie miał okazji ani żartować, ani się pokazywać: „Przyjaźń ze Związkiem Radzieckim powinna być jak dobra herbata: ani za gorąca, ani za zimna".

Olewam wiarę w dozgonne przyjaźnie ani za gorącym, ani za zimnym europejskim moczem.

Zginął prof. Geremek. Wypadek samochodowy. Jazda na nim w mediach przez cały dzień. Jednocześnie chowają głowę w piasek, gdy kundle z internetu podskakują. Nie wiadomo, co lepsze, czy puszczać bez cenzury, czy iść na całość. Nikt nie powiedział, że to był rebe, mądry, zdystansowany, dowcipny, który w każdej sytuacji znajdował paradoksalną pointę jak z dobrego szmoncesu.

Dlaczego się wstydzić?

Kundle i tak będą ujadać.

Wiktor Hugo: „*Dieu seul sais mon vrais nome*". Jedynie Bóg zna moje prawdziwe imię.

Dzwonek do drzwi. Na chore dzieci. Jak dawniej na „suchy chleb dla konia”. Wciskają mi płytę Krawczyka, który śpiewa dla papieża. Mam wpłacić trzydzieści złotych. Mówią, że na wózki inwalidzkie na kółkach. Daję, biorę płytę i wściekły do imentu, że znów dałem się nabrać, słucham płyty cały dzień, aby przynajmniej „odsłuchać” te moje trzydzieści złotych.

Rano budzi mnie telefon z ankietą. Jakiś słodki głosik pyta, jak moje dzieci się bawią, jakimi zabawkami i czy nie oglądają za dużo telewizji.

– Czy ma pan dzieci w wieku od czterech do osiemnastu lat?

Wkurwiony mówię do słuchawki:

– Tak, żona skończyła osiemnastkę i ma swoją zabawkę stale przy sobie. Ale coraz rzadziej się nią bawimy.

Pewnie wzięła mnie za pedofila.

Seksual Bäckerei w Niemczech. Pieką seksualne pieczywo, które cieszy się niesłychanym powodzeniem. Precle jak chuje, bułki jak piersi, drożdżówki jak brzuszki z pępkami, sutki z malin, a wszystko w różnych rozmiarach. Są młodziutkie bułeczki, bułki, buły, wreszcie bochny...

Oglądam swoje kolana w lustrze. Przypominają mi pewien stary film dokumentalny, który nami wstrząsnął. Ciekawostki ze świata. Na tle szarzyzny filmów dokumentalnych, które można było zobaczyć za komuny, to był szok. Utkwiła mi wtedy w głowie jedna scena. Realizator pokazuje starego holenderskiego kolonizatora, zaczynając od panoramy z odjazdem kamery – najpierw buty, potem łydki w skautowskich skarpetach, kolana i szorty – wreszcie odkrywa się obraz człowieka otoczonego kilkunastoma młodymi czarnymi jak heban żonami i setką dzieci.

Dlaczego przyszło mi to teraz do głowy?

Długowieczni najgorzej mają w branży medialnej. Przede wszystkim źle wyglądają na wizji. Mówią to samo, co mówili stale. A poza tym nic nie ma znaczenia. Żeby być, trzeba mieć serial. Albo wywołać skandal – Rywin, „Orlen” – albo odnosić sukcesy, jak Małysz w skokach, złota Otylia w pływaniu, Kazimierz Kutz w wywiadach na każdy temat. Jednorazówki znikają jak kamfora. Seryjny morderca, proszę bardzo. Ale pojedyncze morderstwo, sztuka, film, artykuł w prasie codziennej – zero efektu.

Serial! To jest to!

A gdzie długowieczny medialny może jeszcze dyszeć? Pisać? Kto mu to wyda? A jak wyda, to kto przeczyta? A jak przeczyta, to kto zauważy? Skończyły się czasy, że od słowa drukowanego trzęsło się KC, kawiarnia, środowisko, kluby inteligencji.

Żarty w telewizji rosyjskiej:
– Pracuję dla idei. A mam tylko jedną... Kupić sobie Kamczatkę.
Abramowicz kupił sobie ostatnio... wtorek.

Aktor:
– Grałem w tym filmie Boga. Bardzo trudno grać Boga. Może dlatego, że go nigdy nie widziałem. Myślę, że Bogu byłoby o wiele łatwiej zagrać mnie.

Trzy żarty polskie:
Pierwszy.
Żona zabiera na wakacje w Egipcie torbę pełną prezerwatyw.
Zdziwiony mąż:
– A jak ja tam dojadę, kochanie?

Drugi.
Mąż do żony.
– Idę na brydża.
– Idź.
– Ale wrócę bardzo późno w nocy.
– Idź. Czy ja cię trzymam za rogi.

Trzeci.
Ulicą idzie dwoje lumpów. On trzyma na ręku dziecko, ona dwie półlitrówki.
On zatrzymuje się i mówi:
– Weź lepiej dziecko, bo tobie wszystko z rąk leci.

Czytam o wstrząsającej wystawie w Londynie. Retrospektywa Francisa Bacona. Dziwny, wspaniały. Wielu artystów powołuje się na niego jako nieosiągalny ideał artysty malarza współczesnego. Nakręcono film o nim. Pamiętam jak przez mgłę jego tragiczne romanse z młodymi mężczyznami.

Wiele lat spędził w Tangerze. To stąd na jego obrazach oślepiające słońce i rozświetlona kolorystyka. W prasie tylko trzy słowa o jego życiu: *a miserable love affair*. Tylko tyle? Za całe wieloletnie cierpienie.

To, co zrobił Michał Anioł dla wiary, Bacon zrobił podobno dla obrony rozpaczy. Pozwolił jej być majestatyczną i poważną.

Kogo to obchodzi?

Podoba mi się u Woody'ego Allena taki fragment: w ortodoksyjnej rodzinie żydowskiej ojciec i matka dziwią się, że ich syn jest Żydem.

– Jak to się mogło stać? – rozkłada ręce ojciec ze zdumieniem.

Syn mówi, że wielu ludzi bierze go za Roberta Redforda. Ale dodaje, że przeważnie są to niewidomi.

Przypomina mi się, jak w czasach marcowych polowań na ludzi żydowskiego pochodzenia w 1968 r. w klubie SPATiF-u Józek Prutkowski na cały głos pytał z prawdziwym zdumieniem: – Jak to jest? Babka Żydówka, dziadek Żyd! Matka Żydówka, ojciec Żyd! A ja... goj?!

Przypisuje mu się też powiedzenie:

– Jestem fanatycznym filosemitą. Wyssałem to z mlekiem matki, notabene... Żydówki.

Fizyczność pieniądza. We wszystkich filmach o napadach na bank wszystko się wywraca z powodu... fizyczności banknotów. Kiedy rabusie już się dostaną do sejfu, to stają wobec problemu, co zrobić ze stertą pieniędzy, która zajmuje pewną przestrzeń i ma swój ciężar. Wtedy zwykle ich aresztują i wsadzają do więzienia.

Ci, dla których pieniądz jest czymś abstrakcyjnym, zaklętym w cyfrach i symbolach bankowych, okradają sejfy w bezpieczniejszy sposób. Nie mają do czynienia z fizycznością bogactwa, ale z jego symboliką w postaci zapisów komputerowych.

Czasami w teatrze zapominam się i szukam pilota od telewizora, aby zrobić głośniej albo zmienić kanał.

Jedyna zemsta na wrogach? Tylko sukces. Jakikolwiek!!!

Na Majorce pełno ludzi w podeszłym wieku. Dużo młodsi ode mnie. Głupio jakoś tak. Śpiewają, tańczą... Znają kroki cza-czy i salsy. Są to

głównie Niemcy, a piosenki w stylu Tercetu Egzotycznego... Cieszą się życiem po życiu.

Ja nie umiem. Już raz im Rosjanie wjechali czołgami, ale to pokolenie się uratowało... Bawią się teraz w ciepłych krajach po ciężkiej harówie w *Vaterlandzie*. Ale w przyszłości, kto wie? Na razie sprzedają im gaz i ropę, ale później...

„Na wzruszające chwile w serialu... takim a takim zaprasza producent lodów...". Było w nim o pokazie sztucznych ogni w klubie dyskotekowym, opakowaniach do kremów i o tym, kto powinien prowadzić samochód podczas jazdy próbnej.

Płakałem ze wzruszenia.

Mam dosyć małżeńskich trójkątów, dramatów, strzelaniny, telefonów porno, esemesów w sprawie... dowcipów i jaka to melodia...

Reality show pozwala ludziom, którzy nie mają nic do roboty, patrzeć na ludzi, którzy robią cokolwiek. Dlaczego ta telewizja tak nudzi!

Dyskusja przy stoliku o klapsach. Czy można dziecku dać klapsa?

Czy to już przemoc? Tak. Przemoc jest potrzebna w stosunku do chama na ulicy, w tramwaju, w bloku, szkole, na wycieczce zagranicznej, na stadionie... Knutem, batem, pałką, paralizatorem chama – nie wieśniaka, ale nowego chama epoki komórki, komputera, samochodu, samolotu i dyskoteki.

Najbardziej popularne określenie człowieka w IV Rzeczypospolitej: „podejrzany o popełnienie przestępstwa".

Czytam równocześnie dzienniki reżysera na temat realizacji spektaklu o Andym Warholu i dane reklamowe Mercedesa E Coupé. Nie wiem, co jest ciekawsze, wszystko dzisiaj znów dzieje się jednocześnie.

Kolacja z Polką mieszkającą w Meksyku. Jest inteligentna i bystra. Łapie każdy niuans dowcipu czy żartu. Po... pięciu minutach. Ale i to dobre.

– Czy pan mnie pamięta z Meksyku?

– Nie. Już nikogo nie pamiętam. I nie chcę.

– Słusznie. *Caballero no tiene memoria*.

Janusz Minkiewicz w takich momentach pytał:

– Ustalmy od razu, czy ja z panią spałem?

Opowiada, że nowa generacja dyplomatów w Meksyku bardzo dobrze się prezentuje. Pani ambasadorowa osobiście ściąga szynkę z kanapek, kiedy przyjęcie jest w piątek. Post.

Za komuny krążyła anegdota o polskim attaché w Austrii, który zbliżył się z butelką szampana do pewnej damy i zapytał dwornie:

– Czy można pani dolać? – po czym żartobliwie uściślił: – Oczywiście nie pięścią.

Jest postęp.

Przy płaceniu rachunku. Meksykanka zaproponowała światowo, że dzielimy wszystko na trzy. Wyciągnęła kalkulator i precyzyjnie co do grosza podała wysokość działki. Nie mieliśmy *cashu*, to płaciliśmy trzema kartami bankowymi. Jedna z pań sprytnie zapomniała PIN-u. Wziąłem to na siebie. Ale zdenerwowałem się.

Znów Lech Wałęsa wskazuje mi drogę: „Nie lubię, jak mi robią nieprzyjemności bez pieniędzy”.

Po tysiąckroć słuszne!

Tańczyć! Dlaczego one wszystkie chcą tańczyć! Nawet ta 47-letnia z dorosłym synem po studiach mówi, że kocha tańczyć. Nie rozmawiać, spacerować, kochać się, czytać, tylko tańczyć. Baby z babami najchętniej.

Ja coraz słabszy tancor. Kiedyś, kiedy byłem młody, zapytała mnie jakaś starsza pani: – Czy ty tańczysz?

Obecny przy tym Jerzy Stawiński wtrącił znacząco: – Jak potrzeba, to tańczy.

Jaka to musiała być potrzeba? Kiedyś wiedziałem. I potrzebowałem.

Majtki w postaci dwóch sznurków. Poziom, pion. Stringi z Koniakowa robią parafianki, śpiewając kantyczki. Proboszcz je spowiada i daje zdrowaśki za karę.

Stringi to jednak nie to samo, co matki kazały kiedyś zakładać córkom na zimę. Barchany miały swój urok, jak perwersyjny zakazany seks.

Dzisiaj prosty erotyzm „bez winy”.

Korzyść. W pewnym wieku, czego nie zjemy, to nasze.

January G.

Cztery żywioły: ogień, ziemię, wodę, powietrze zastąpiliśmy: radiem, telewizją, internetem i reklamami ognia, ziemi, wody i powietrza.

Od pewnego czasu podaję datę swego urodzenia w cyfrach rzymskich. Tak niewielu potrafi ją odczytać.

Rejs katamaranem po Zatoce Gdańskiej.
Dom, który zbudowałem na Kamiennej Górze, widzę po raz pierwszy od strony morza.
Smutne.
Tam jest mój pies pochowany.

Za PRL – to były pogody! Teraz zwykle pada deszcz. Za szybami hotelu na festiwalu w Międzyzdrojach biedni ludzie wypatrują tzw. gwiazd z telenowel. Jedna z nich mówi, że daje autografy „z wdzięczności za uwielbienie".

Widzę, że więcej jest kombinacji niż pionków do grania.
W szachach i życiu.
Dlaczego piszę coraz krótsze kawałki? Co mnie goni?

Coraz częściej pokazuje się młodych: papieża, polskie bramki w wykonaniu Kasperczaka, Deyny, Szarmacha, z aktorów młodego Holoubka i Łapickiego, nawet w niemieckiej telewizji można często obejrzeć młodego Beckera na korcie. Wspomina się dawne czasy. Nie chcą dziś starego papieża, tenisisty, piłkarza, aktora. Mają być młodzi, mimo że albo są już starzy, albo umarli.
W Radiu Maryja bez przerwy przemawia Jan Paweł II.
Lubię słuchać radia. Ale w specyficzny sposób, kiedy fale nakładają się jedne na drugie. Angielski na Moskwę, z boku ludowe tańce tyrolskie, bełkot niemieckiego spikera, przebijające się co pewien czas francuskie popiskiwanie.
Szum bez znaczenia, jakieś pojedyncze słowa, coś mi przypominają, ale nie układają się w logiczny ciąg. Mam dość logiki w życiu, wolę kolaż dźwięków. A jak tylko nadzieję się na polskie tradycyjne publiczne radio, to słyszę przymilne głosy o jakimś celebrycie, powtarzają się te same tematy już dawno zdarte... jakbyśmy wracali, zataczając koło...

Szum! Szum jest zbawczym lekarstwem na rzeczywistość. Takie dźwiękowe zatyczki do uszu. Nie słyszeć, nie widzieć, nie rozumieć, nie przeżywać, kiedy już prawie wszystko przeżyte.

Starsza kobieta ma *a lot... a lot of depth*.
I wreszcie rozumiem, że *lot of depth* może być ważniejsze od urody.
A miłość wybacza zdradę. Przyjaźń nie.
You got it!

Teorie wielkich filozofów realizują się powoli i są zrozumiałe dopiero pod koniec życia.
O moralności:
Dobre uczynki są postrzegane jako stary stetryczały wujek przestrzegający przed konsekwencjami grzechu, a sam grzech w postaci młodej cycatej służącej ciotki.
Takie wyobrażenia zostają na całe życie i nie można się od nich uwolnić. Podobno Volter tak to interpretował.
Mój przyjaciel w młodości zobaczył ojca ze służącą w łóżku. Do końca życia tylko ten typ – sługi powolnej, rozłożystej blondyny ze wsi – go podniecał, szukał go wszędzie. Dzięki agencjom towarzyskim ma teraz ułatwione zadanie. Ale smak wiecznego polowania zniknął. Dostać po mordzie od takiego ideału kobiety to było coś.
Dzisiaj też można dostać, ale za opłatą.

Papież, gdy zasłabł:
– Pomóżcie mi!... Po polsku.
Jakie to było wzruszające.
Pozdrawiał ich w tylu językach, a prosił w języku dzieciństwa.

Po latach spotkałem dawnego znajomego, malarza. Jest starym, pomarszczonym krukiem. Ptakiem z powyrywanymi piórami, który jeszcze próbuje latać, ale może już wzbić się w górę tylko kilka metrów. Biegnie, unosi się i znów opada. Ale nie rezygnuje, znów się podrywa. I kracze! Kracze! Kracze!

Ładnie znalazła się moja towarzyszka na promocji książki Bakuły.
Na wyraźnie złośliwe i ironiczne gratulacje pewnej pani w moją stronę:
– Wnuczka dzisiaj ładnie wygląda.

Odpowiedziała tej pani spokojnie:

– Dziękuję, babciu.

Na promocji przemawiał ambasador USA; mówił, że to, co jest w Nowym Jorku, teraz będzie wszędzie. W Warszawie też.

Brawo!

Powiadam ci: Otwórz się! – wołał pijany jegomość, rozpościerając ręce przed drzwiami otwierającymi się automatycznie. I stał się cud!

Homo sapiens. Pewien ważniak wybiegł szybko z przyjęcia w obawie, że jego ukochany pies nie wpuści go do domu, jeśli przyjdzie zbyt późno.

U hipopotamów samiec pokazuje uzębienie na znak, że jest wspaniałym kandydatem na amanta.

Żuk gnojowy turla i powiększa kulkę odchodów słonia, aby na nią wejść i wypatrywać ewentualnego rywala.

Łątki żyją tylko jeden dzień. Rodzą się rano, w dzień zapładniają samice, już wieczorem umierają.

Godzina, dzień, czterdzieści lat, sto – jest to bez znaczenia wobec, chciałoby się powiedzieć, wieczności.

Podobno na długowieczność wpływa niekonwencjonalne zachowanie człowieka i stały *challenge* w codziennych rutynowych czynnościach. Aby do tego dojść, to na przykład, brak drzwi w pokoju, kontakt elektryczny pod sufitem, okna przy podłodze, nie otwierane konwencjonalnie, lecz wypadające na faceta drzwi – wszystko odwrotnie i zaskakująco jest podstawowym warunkiem. Codzienny taki bieg z przeszkodami przedłuża życie.

A stosunki tylko z żoną to murowane przedwczesne zejście do Szeolu.

Ciekawe, co na to żony?

Odległość i światło mają podstawowe znaczenie w naszych wrażeniach: w miłości, w aktorstwie, w polityce...

Znajomi mają coraz więcej sztucznych organów. Gdyby człowiek chciał mieć wszystko sztuczne, musiałby wyłożyć gotówką 50 milionów dolarów. Na razie oceniam siebie na dwieście pięćdziesiąt po kursie 3 złote. Ale

planuję dwie soczewki japońskie, które umożliwiają i patrzenie w dal, i sprawdzanie godziny na zegarku. Na razie.

Problem podejrzliwości. Ciągle jestem w strachu, że podejrzewając kogoś, się mylę i w ten sposób go krzywdzę. Ci, co mnie podejrzewają, mają rację.

Moja była żona:

„Tańczysz smutny taniec źle starzejącego się pana, ze ślepymi oczyma, obijając się o cztery ściany życia z sercem zamkniętym dla pokory".

A co mam tańczyć?

Taniec młodego pana?!

Basta! Basta! Basta! – tak krzyczy Mastroianni w filmie *Rozwód po włosku*. Jakie to przejmujące. Boże, ile razy wyrywało się to z mojej piersi.

Nie tylko w stosunku do byłej żony, ale do całego świata.

„Nawet gdyby mąż żył 200 lat, nie zrozumie żony" – z filmu.

„Suknia tworzy mężatkę"(?) – z tego samego filmu.

„Jak nie masz klucza, nic nie zrozumiesz. Tak jak w jazzie, nie masz w sobie klucza, to słyszysz tylko... hałas" – z innego filmu.

„Czekanie jest podstawą gotowania i życia" – nie z filmu.

Byłem na *Iwanowie* w Narodowym. Świetne przedstawienie. Autor morderca! Czechow morduje najdrobniejszy skrawek nadziei każdej postaci.

Chce się wyć! Pomyśleć, że gdy to pisał, miał niecałe dwadzieścia siedem lat.

Ale we wszystkim, co napisał do końca swego życia, nie zostawiał nadziei.

Boże, ześlij mi jakiś z n a k! Na przykład prześlij na moje konto w PKO BP dwieście tysięcy euro. Chociaż sto pięćdziesiąt... A tu nic! Debet. Boga nie ma! Miał rację Nietzsche. Boga nie ma.

Po kilku tygodniach w Sopocie dalszy ciąg z facetem, co go biorą za mnie. Dosiada się do stolika.

– Można?

– Proszę.

– A wie pan, jak to się zaczęło?

– Nie.

– Pracowałem w Łodzi jako mechanik samochodowy. Jestem w kanale, robię jakiś samochód od dołu. Zjawia się właściciel. Wychylam się spod zderzaka, a on: Rany boskie! Co ty tu robisz? – i wymienia pańskie nazwisko. Okazało się, że to pański bliski przyjaciel. Nie poznał, że to nie pan, tylko pan. Byłem wtedy po kuracji w szpitalu psychiatrycznym. Leczyłem się na agorafobię.

– Co to za choroba?

– Nie choroba, ale fobia. Lęk przestrzeni. Nie ma pan pojęcia, ilu ludzi to ma.

– To znaczy czego się pan boi?

– Otwartej przestrzeni. A jestem z zawodu marynarzem. Ile ja się najeździłem po świecie. Dopóki mi się to nie zaczęło. Kiedyś zapaliłem fajkę kolegi w Afryce. A nie wiedziałem, że tam jest hasz.

– I?

– Już nie chciałem wyjść z kajuty. Teraz mieszkam tu, na Wybrzeżu, i nie wydalam się poza ten teren. Zresztą nie mam ochoty. Najeździłem się po świecie, to do niczego mnie już teraz nie ciągnie. Nie będę nigdzie jeździł, ludzie teraz do mnie przyjeżdżają. Niech pan spojrzy, jaki tłum, jakie dupy, jacy faceci, jakie typy. I wszyscy mnie poznają, mówią cześć. Biorą mnie raz za pana, raz za Wodeckiego, a czasami za Skalda. Tego starszego.

Moda na golf. *Very eksclusive* sport... trzeba mieć kije, buty, spodnie, sweter i czapkę. Służącego do noszenia torby z kijami. Snobizm na tym tle kwitnie najbardziej wśród nowobogackich i niektórych artystów. I tych, co wydrapali się po transformacji na posiadanie. Palą cygara i grają w golfa.

Kiedyś znany operator filmowy Mieczysław Veroczy, postać kolorowa z czasów komuny, był z wizytą w komunistycznej Czechosłowacji. W Pradze pokazywali mu studia w Barandowie, urządzenia, bary, pokoje dla obsługi, apartamenty dla aktorów z nadzwyczajną dumą, aby olśnić i pognębić Polaczka.

Po godzinie tych przechwałek Veroczy spokojnie zapytał: a gdzie macie tu pole golfowe? O dwunastej w południe zwykle gram w golfa.

Zapadła głucha cisza wśród czechosłowackich towarzyszy.

– Czy pan gra w golfa?

– Nie, jeszcze pierdolę.

Żart, którego nie lubi rektor Akademii Teatralnej, znany propagator golfa.

Po komisji hazardowej to już będzie masowy sport Polaków. Dotarł pod strzechy.

Bogumił Kobiela, Piszczyk z filmu Munka, w słynnym sopockim SPATiF-ie. Ze smutnymi oczyma, w czarnej sutannie, na wysokich obcasach stoi jako reklamowa wycinanka przy toaletach.

Młode pokolenie artystów nie wie, kto to był. Jak mocno go wyprzedzili najbliżsi koledzy estradowcy, jeśli chodzi o popularność, znaczenie, majątek i długość życia. Dzięki swoim gładkościom, buchalterskim obliczeniom, co warto, a czego nie warto mówić, komercji ukrytej pod maską inteligencji i zastąpieniu talentu pracowitością. Potrafili być zawsze na czas, obrotni, świetnie przygotowani... na wszystko. Egzystują wspaniale do dzisiaj.

On stoi przy sraczu jako obrazek. Komercja udająca głębię, inteligencja w ukrywaniu braku talentu czasami zwycięża. Ale nie na długo. Na bardzo długo.

Bardzo elegancki i wykształcony znajomy na wejście do jego garsoniery pięknej kobiety:

– Widzę, że pani zadała sobie trud osłodzenia mojej samotności...

– Jaki pan miły.

– Rozbieraj się, dziwko! Ale już!!!

Zdarł z niej futro, poszarpał suknię i porwał pończochy.

Po czym padł ze zmęczenia.

Nie miał już siły na gwałt.

Długi weekend za miastem. Kobiety na tarasie. Mąż jednej to ekstremalny wariat, lekko niepełnosprawny, ona musi za niego wszystko robić, ale przyjmuje jego pomysły z zadziwiającym spokojem. Kiedy PZU nie chciało mu zapłacić za spalony dach na jakiejś szopie, wszedł na dziesięciopiętrowy dźwig budowlany i nie chciał zejść – mimo błagań żony i policyjnych psychologów – dopóki nie wypłacą mu ubezpieczenia.

Druga bez męża. Mąż ją opuścił, ma dwoje dzieci.

Trzecia przyjechała z Francji z synem, dorosłym bykiem, którego uważa za małego dzidziusia. Mówi o nim: dziecko. Dziecko musi iść spać, dziecko

musi się uczyć, rano wstać, dziecko musi myć zęby, uprawiać jogging, nie podglądać koleżanki, która ma pokój obok... Dwumetrowemu drabowi chce się zapewne pierdolić, a ona dziecko i dziecko. Myślę, że w ten sposób się odmładza w swoich i naszych oczach. Zagaduję o jej stosunek do seksu. Ach nie...

– O tym już nie myślę...

– A jak będzie „laska bez" po francusku? – pytam.

Często znajduję takie określenie na reklamówkach agencji towarzyskich zostawianych za szybą samochodu.

Długo się zastanawia, bo myśli, że laska ma tylko dwa znaczenia... młoda kobieta albo laska do chodzenia...Tłumaczę, że w języku erotyki dzisiejszej to tzw. lody bez prezerwatywy. Wreszcie rozumie i mówi, że Francuzi nazywają to „smakołyk bez".

Jak te żabojady wszystko przerabiają na jedzenie: *smakołyk sans*.

– Mój mąż jest ekstremistą – mówi ta starsza.

Brzmi to tak, jakby był alpinistą albo florecistą.

– Na czym ten ekstremizm polega?

– Że jak się uprze, to nie można mu przetłumaczyć. Budzi się rano i ma coraz to nowe pomysły, a buty mu trzeba było sznurować, bo jest po wylewie.

Najmłodsza o mężu, który co trzy tygodnie wyprowadza się na tydzień, potem wraca i znów się wyprowadza. Jest z nim jak z bankomatem, który ma fiuta, ale ona nie zna jego PIN-u. Denerwuje się, bo minęły trzy tygodnie, a on nie wraca. Woli mieszkać z kolegą.

– Jak wraca, to drapie w drzwi i błaga, żeby go wpuścić...

– Dlaczego spierdala? – pytam grzecznie.

– Nie wiem.

– A ja wiem, bo jesteś wstrętna, babo. Próbowałaś być dla niego miła?

– Jak mam być miła, skoro on sika w łazience i potem nie opuszcza klapy.

– A wodę spuszcza?

– Tak.

– To wystarczy.

– Nie wiedział, co to jest kinkiet, a ma pretensje do mnie, że nie robię mu *networku*!

– A co to jest?

– Że nie lansuję go w towarzystwie, jak to robią kobiety mężom na Zachodzie.

– Myślałem, że to jakaś figura w łóżku.

– Nie.

Poza tym trzy kobiety są chore. Starsze zawsze chorują, młode jeszcze bardziej chore... Jedna ma oczy podkrążone, drugiej jakieś płytki we krwi się zlepiają, sinieje od dołu, zawsze ma zimne ręce, chociaż – jak mówi – serce gorące... Ale trzeba się przedzierać przez ich poprzednich mężów. Każda z nich opowiada o swoim i odnosi wszystkich innych do tego, co od niej dał dyla. Mężczyzna rzadko mówi o swojej poprzedniej partnerce. A one tylko w to grają: on był strasznym egoistą (albo altruistą), leniwy (albo pracowity), ekstremista, bo tylko lekko sparaliżowany, babiarz, zgrabny, sexi, kulawy. Wreszcie Francuzka wyjeżdża z opowiadaniem, jak w Maroku Roman, jej mąż, szedł do morza, aby się wykąpać, a wtedy natychmiast wstawało kilku pięknych chłopców i szło za nim.

A co mnie to obchodzi! Dajcie mi zdrowe kotlety, jak nazywa młode dziewczyny mój znajomy emeryt. Ale z nimi też kłopot. Są tak niekontaktowe, mimo że zdrowe, sexi i kontamibilne... kontaktomibi... komtami... kompatybilne. I nieobliczalne.

Dzwonię do takiej:

– Jestem w Kołobrzegu.

– Ale dopiero co byłaś w Krakowie?

– Jutro będę w Mrągowie. Jestem nieobliczalna.

Te kobiety na tarasie są obliczalne. U starszych pań ostatni partner jest tak głęboko wryty w psychikę, że aż strach, czy człowiek da radę ze swoją sprawnością lub niesprawnością przebić tamtego niesprawność... czy sprawność. Albo trzeba strzelić jakąś nową kategorią czy konkurencją, której on nie uprawiał – w dziedzinie seksu, konwersacji czy sportu.

Zbliża się olimpiada z nowymi konkurencjami. Muszę coś podpatrzyć.

Może biatlon? Erotyczny.

Przeczytałem, że jak mężczyzna ogląda się za młodymi kobietami, to przedłuża sobie życie o pięć lat. „Spoglądanie na duże cycki – oznaką zdrowia”. Jestem zdrowy jak byk!

A zawsze miałem wyrzuty sumienia, że to nie wypada, że coś jest w tym nagannego, a okazuje się, że to bardzo skuteczna i tania terapia. Wydziela

się wtedy jakaś energia, hormony, siła, wola mocy... Gdyby podsumować wszystkie moje oglądania się, to powinienem żyć jakieś trzysta lat.

To jest droga do nieśmiertelności!

A nie literatura. Albo talk-show w telewizji.

Nowa telenowela w *prime timie* w święta. Bezczelność. Najbrzydszy polski aktor w głównej roli. Gruby, obleśny, gra wszędzie: zapowiada, prowadzi „tokszoły", konkursy tańca, na noszach, w kaloszach, dramatyczny, komiczny, tylko nie śmieszny – jak mówił Dymsza.

Bzdura, znikanie, pojawianie się, znów rozmowy zlewozmywakowe, jak piec babkę, dialogi o niczym. Tak powinno być, takimi produkcjami można wykształcić kasjerkę w supersamie z pampersem między nogami. Nic jej więcej nie potrzeba, tylko to.

Producent i reżyser intelektualista.

Wykształcony.

Może produkować wszystko: buty, sprzęt medyczny, parasolki... aby dostać kasę. Ale kaleczy widza.

Zauważyłem ostatnio, że mam pewną przyjemność w udawaniu starego. Na przykład kaszlę głośno, jak starzec... Kaszlę sobie, udając... Pewnie niedługo będę kaszlał naprawdę. Albo wolno chodzę. To jest najtrudniejsze, bo zwykle pędzę. A jakaż to przyjemność wolno chodzić i jaką przy tym odczuwam pogardę dla śpieszących się... Oni gdzieś biegną, a ja sobie wolno kroczę. Nie odwracam się gwałtownie, tylko powoli, etapami, wreszcie całym ciałem... Kiedyś, jak odwracałem się gwałtownie, aby kogoś zobaczyć, była to zwykle atrakcyjna kobieta, a jeśli ona się potykała lub choćby traciła rytm, wydawało mi się, że... wysyłam jakieś sygnały erotyczno-magnetyczne.

A przecież człowiek chodzący na dwóch nogach to jakaś sztuczność, nienaturalność. Gdyby ta kobieta szła na czterech łapach, potykanie byłoby niemożliwe. Człowiek stanął na dwóch nogach właściwie niedawno, biorąc pod uwagę czas od Wielkiego Wybuchu. A już na wysokich obcasach to prawie wczoraj.

Te spojrzenia były zawsze spowodowane czymś, co kobieta prezentowała mężczyźnie – raz była to krótka spódniczka, wypięty tyłek (Wenus Kallipidos), sterczące cycki, zgrabna noga, prowokacyjne spojrzenie – i wtedy laserowa wiązka erotyzmu zakłócała jej krok.

Teraz, kiedy się oglądam, to narzucam sobie jakąś starczą dostojność. Wielu ludzi w podeszłym wieku lubi celebrować taką hieratyczność bycia. Podciągam się na poręczy, idąc po schodach, ale też często się zapominam i wbiegam, przeskakując po dwa stopnie. Jak długo jeszcze? Boję się, że granie starca szybko się zamieni w bycie starcem.

Wracam do ostatniego tomu *W poszukiwaniu straconego czasu Marcela Prousta*.

Tam o starości jest sporo.

Co najbardziej starzeje się w filmie fabularnym? Własna żona, jeżeli gra główną rolę. I napisy końcowe, już w czarnych obwódkach.

W Izraelu.

Pewna pani, patrząc na Górę Oliwną w Jerozolimie:

– Jak tak patrzę na te stare oliwki, to mi się przypomina Genesis.

– Dlaczego Genesis?

– O, tam ta góra, gdzie Jezusa zwinęli.

– To jest genesis?

– Albo genau czy jakoś tak... po niemiecku.

– A nie Getsemani?

– O, chyba to... może, może... ale to tam.

Może ma rację, nazwy nie mają znaczenia. Miejsca mają.

Że tam, że tu... Tam gdzie ta góra... O tu, nad tą rzeką... W tym mieście... Na tej ulicy...

Do „Bryzy” ma przyjechać Gustaw. Wszyscy podnieceni. Przyjechał. Martwi się o Kulczyka. Ma na sobie czapkę bejsbolówkę z napisem USA, wychudzony na twarzy, przez co jeszcze bardziej urosły mu uszy. To smutne, co się dzieje z idolami naszej młodości.

Czy los nie miał racji z Cybulskim, Kobielą, Hłaską, Komedą, Frykowskim? Może człowiek powinien umierać młodo.

Mój bardzo zamożny znajomy wybrał się z żoną na inauguracyjny rejs słynnego statku Elizabeth II. Niesłychany komfort i przepych. Schodzą na kolację, ona w kreacji za kilka tysięcy dolarów, on w smokingu, wita ich obsługa przy stoliku: – Nazywamy się Zosia i Mietek, będziemy państwa

obsługiwać. W barze: – Nie poznaję mnie pan, pracowałem u pana w „Bryzie”. Miłego wieczoru.

Cały czar podróży prysł.

Na nocnym show w sali widowiskowej konferansjer pyta: „Kto z państwa jest w związku małżeńskim pięćdziesiąt lat?” – wstaje pół sali. „Kto ponad sześćdziesiąt pięć lat?” – znów wstaje prawie połowa sali. Kto powyżej siedemdziesięciu? Wstaje reszta.

Kiedy moi znajomi zjawili się w salonie, gdzie grała orkiestra, po sali przebiegł szept: – Młodzież przyszła, będą tańczyć te modne tańce.

Młodzież z Polski też miała już swoje lata.

Pensjonat.

Seksualne różnice pokoleniowe. Ona starsza od niego o dziesięć lat, porusza się o kulach, on – idol, piosenkarz. Dramat, cierpienie, love.

Ona pisze wiersze, listy, wspomnienia.

On pije.

„Biada samotnemu!”

Eklezjasta.

Przesiadłem się do innego stołu w pensjonacie w Bartoszewiczach. Nie mogłem słuchać mlaskania pewnego doktora habilitowanego ze znajomości i analiz filmów w PRL-u. Wolę szczęk talerzy i garnków z kuchni. Nie będę też mu się odkłaniał. Tym bardziej że on mi się nie kłania. Podwójnie habilitowany długowieczny ciul.

Dalej w pensjonacie.

Starsi mężczyźni w zalotach, z chwytami z dawnych lat, powtarzają rytualne ruchy towarzyskie, które w przeszłości przynosiły im sukces.

– Nie jestem taki szybki. Lubię się najpierw zakochać itp.

Śmieszni.

Kobiety są bardziej taktowne.

Wieczór pełen wrażeń.

Otwarcie sali balowej w Hiltonie.

Hotel stoi w przedwojennej dzielnicy polsko-żydowskiej w Warszawie. Potem, czyli po wojnie, był tu tzw. Dziki Zachód. Najgorsze badziewie. Teraz jest dzielnica banków i wieżowców. Zaczęło się od Koreańczyków i biurowca przy Towarowej, najwyższego w stolicy. Podczas budowy w

podmuchach wiatru leciały z góry pozostawione przez Polaków młotki, gwoździe, obcęgi. Trup padał gęsto.

A więc hotel Hilton.

Podoba mi się. Gigantyczny hall. Sala balowa pełna ludzi. Ekspedientki, manikiurzystki, modelki i panie z biznesu, ale prawdziwego. Wszystko pod hasłem dbania o urodę: ładna cera, walka z cellulitem, z nadwagą. Wśród gości Irena Kwiatkowska – 96 lat z kawałkiem, siedzi jak mumia, wywołują ją, więc idzie podpierana przez dwie kobiety, nie wiedząc dokąd. Pytanie, czy wejdzie sama na estradę. Okrzyki. Tak... nie... Chociaż na jeden stopień. Walczy z przyciąganiem ziemskim... nie udaje się. Okrzyki zawodu, coś mówi, ale nie wie co... Brawa. Entuzjazm. Odprowadzają ją do stołu. Siada nieobecna.

Spotykam producenta filmowego z nową dupą. Bierze mój numer telefonu, ale nie podaje swojego:

– Don't call us, we call you!

Albo go szukają wierzyciele, albo policja.

Jedziemy na dalszy ciąg wieczoru już w bardziej kameralnych warunkach.

Stefan.

Wszystko ma: firmę, pieniądze, znajomość włoskiego, umie zrobić spaghetti, ma liczne kochanki, luksusowy apartament i... raka gardła.

Hebel.

Patrz Eklezjasta. Po hebrajsku.

Zespół Kraftwerk, Sala Kongresowa. Przechodzę przez bramkę, ale mnie zatrzymują, bo... nie mam biletu.

Chamy.

Wspomnienia z młodości. Pięciu facetów tylko stoi i przyciska klawisze. Świetna muzyka.

A później klub. Aktor Pujszo krzyczy cały czas. I tańczy kankana. Wizualizacja jest najważniejsza, mówi właściciel klubu.

Przy barze rozmawiam z młodą i zgrabną blondynką.

– Jestem ze Śląska. Umiem mówić po Śląsku. Powiedzieć ci coś?

– Nie.

– Nie lubisz Ślązaków?

– Lubię. Nawet siedzę przy stoliku z Kazimierzem Kutzem. Bardzo mi się podobasz.

– Mieszkam pod Katowicami. Uczę się marketingu i zarządzania. I prowadzę sklep spożywczy. Matka robi rurki greckie.

– ?

– To tak się nazywa po Śląsku. Ciotka napycha je kremem i sprzedajemy za 40 groszy w hurcie. Ciotka, jak się zaweźmie, to i z tysiąc dziennie tych rurek greckich zrobi.

– Co pijesz?

– Whisky na golasa.

– Bywasz czasami w Warszawie?

– Tak. Przywiozę ci kilka tych rurek, ale bez kremu. Wkurza mnie tam na Śląsku. Szczególnie szpitale.

– ?

– Ojciec miał wypadek i szukamy teraz dla niego kości.

– ?

– Do jego nogi po wypadku. Kosztuje dwa tysiące złotych. Nie byłoby problemu, ale taką kość można kupić jedynie przez szpital, a szpital jest zadłużony, więc jak damy dwa tysiące na kość, to im to zabierze komornik za długi.

– O, kurwa!

– Mam dużo różnych propozycji tu, w Warszawie, ale ciebie lubię, bo z tobą rozmawia się jak z człowiekiem. Ciągle myślę, jak zdobyć tę kość dla ojca, ale teraz pójdę zatańczyć.

Idzie.

Nie wraca.

Pub „Szlafrok”. Siedzi kilku starszych panów i opowiadają sobie o Alpach. Jeden skarży się, że nic mu nie przyjmują w Polsacie. Za to dobrze idzie *show room*. Nie wiem, co to jest, ale mu gratuluję.

Wychodzę.

W domu znajduję przy łóżku *Księgę starców*. Otwieram na chybił trafił. Trafiam: „Kiedyś przyszedł pewien brat do abba Pojmena i powiedział: – Co mam robić, abba, bo dręczą mnie pokusy nieczyste? Poszedłem z tym do abba Ibistiona, a on mi powiedział: Nie powinieneś im pozwolić trwać długo”.

Chwytam za telefon i... nie pozwalam, aby mnie dręczyły dłużej pokusy nieczyste.

Mówi, że może przyjedzie.

Wierszyk z zadziwiającą pamięcią wyrecytowany przez prawie dziewięćdziesięcioletniego mistrza Gustawa.

Wszystkie wyrazy są na „pe”:

– Pan Paweł pieprzył pannę Paulinę Pawłowną... ponieważ pojękiwała, postękiwała, przestał pieprzyć Paweł Pannę Paulinę Pawłowną... Nie umiem powtórzyć.

Przy stoliku kwiat intelektualnej Warszawy z pisarzem Głową Januszem na czele.

Ryczymy ze śmiechu. Gustaw dodaje jeszcze jeden – tym razem straszny – żart.

Siostra szpitalna do pacjenta po narkozie: – Podać kaczkę?

– Tak. I od pyty frytek.

W pustym niedzielnym tramwaju. Wsiada biały jak kreda, z podkrążonymi oczyma młody człowiek. Mówi do jedynego oprócz mnie pasażera:

– Jestem chory na białaczkę, nie mogę pracować, proszę o wsparcie, jakąkolwiek pomoc.

Pasażer obok zachrypniętym głosem starego alkoholika:

– A próbowałeś nie chlać?

Zacznę chyba pisać listy do syna na wzór Lorda Chesterfielda, który w ten sposób tworzył posąg idealnego gentlemana.

Zalecał mu na przykład noszenie się modnie, ale bez ostentacji w pokazywaniu się w nowych rzeczach. Nie pozwalał mu na głośny śmiech. Uważał, że to nawyk plebejski. Lorda Chesterfielda nikt nie widział śmiejącego się, Lord co najwyżej się uśmiechał. Zalecał synowi sztukę pochlebstwa. Uważał, że każdy człowiek jest na jakimś szczególnym punkcie próżny: „Obserwuj, badaj, wyszukuj ich słabości, a będziesz wiedział, jaką przynętę założyć na haczyk, aby ich złowić”. Na tym polega sekret sukcesu w świecie. Pisał tak do syna Philipa Stanhopa w osiemnastym wieku w Anglii.

Czy mojemu synowi mogę radzić co innego?

Ale Virginia Woolf mówi, że ten świat, do którego wspinamy się tak mozolnie, to „świat zwierciadlany, a jego nagrody to tylko zwierciadlane odbicia”.

Sala jadalna w ZAiKS-ie w Konstancinie. Same siwe głowy kobiet. Żony członków. I jedna siwa głowa mężczyzny literata, też prawie kobiety. Na obiad i na kolację cholesterol. Czy to czasem nie zmowa młodych twórców, aby wykończyć tych starych i dobrać się do podziału tantiem?

Cholesterolem ich!

Czytam, że będą drukować koszulki z napisem: „Jestem gejem", „Jestem Żydem", „Jestem lesbijką", „Mam okres", „Miałam skrobankę", „Jestem niewierzący" (albo „wierzący"). I trzeba to nosić. A jak się jest wszystkim po kolei? To można się ubierać na cebulę. Czekam, kiedy wydrukują koszulkę z napisem „Emeryt".

Może też być: „Oszukany przez kobiety", „Zdradzony", „Jestem biedny". „Mam HIV" – to już się spotyka. Może być jeszcze: „Mam hifa, jestem głodna!", „Nie mam hifa i nie jestem głodny!", „Mam wszystko!", „Ćpam"...

Może wybuchnie jakaś fala ekshibicjonizmu psychicznego na wielką skalę i uzdrowi to społeczeństwo. Odnowa moralna na koszulkach drukowanych w Łomiankach albo gdzie indziej pod Warszawą. Przypomniało jeszcze mi się coś istotnego jako deklaracja: „Nie pierdolę!" w różnych znaczeniach – dosłownym i romansowym, politycznym i towarzysko-biznesowym. „Jestem postkomunistą!", postmodernistą, fałszerzem dolarów, hakerem, brokerem. „Jestem kurwą".

Zresztą ludzie zawsze oznajmiali swoje zamiary, poglądy i stany emocjonalne. Za pomocą stroju, fryzury, biżuterii, kolorowych skarpetek, wąsów, bokobrodów, peruk, czarnej kropki na policzku kurtyzany, długich włosów, ogolonej głowy, makijażu; zakładali opaski, czerwone, biało-czerwone, drukowali sobie na koszulkach portret Wałęsy albo Guevary. Murzyni afrykańscy malowali się na biało, gdy szli na wojnę z innym plemieniem, my zakładamy koszulkę z napisem i to ma wystarczyć przeciwnikowi, by uwierzył, że chcemy go zgnoić. Jeśli nie jest gejem, Żydem, biednym i nie ma hifa.

Nigdzie nie pojechałem. Rano arytmia. Proszki, a potem pada deszcz, odwołuję hotel na Mazurach. Nie będę rozkoszował się tym, czym się rozkoszował Bismarck.

W święto Bożego Ciała normalnie jest upał i ludzie mdleją w procesjach. Dzisiaj pada, jest zimno jak cholera.

Przypomina mi się jeden facet, co pisał pamiętnik złożony tylko z komunikatów, jaka była pogoda.

Wtorek: *Padało*.

Środa: *Nie padało*.

Czwartek: *Znów padało*.

I tak przez wiele lat... aż do śmierci.

Była urzędniczką w handlu zagranicznym. Mieszczka do potęgi. Nie wiem, dlaczego mąż uważał, że *frygida*. Wielu było przeciwnego zdania. W tym czasie czytałem po raz drugi Prousta. Ciągle jej coś cytowałem. Potrafiła mieć orgazm tzw. wielokrotny w czasie jednego stosunku.

– Z tobą miałam tylko cztery razy – skarżyła się. – A z jednym Dyrektorem Zjednoczenia dwanaście.

Zaczęła czytać *W poszukiwaniu straconego czasu*. Książkę trzymała w pracy, w szufladzie. Zamiast analizować rynki, ceny szklanek, kieliszków i karafek kryształowych, wypisywała z Prousta zdania, które jej się podobały.

Po latach przysłała mi e-mailem cytaty – ułożone tematycznie, z urzędniczą precyzją.

O starości:

„Wspomnienie jakiegoś obrazu jest jedynie żalem za pewną chwilą".

„Okrutne i zachłanne siły miłości zawsze nużą starość i chorobę".

„Ustatkował się tylko z przyczyny podeszłego wieku. Starość jest dla człowieka stanem najnędzniejszym, stanem, który go spycha z wierzchołka i czyni człowieka czymś błagalnym".

„Starość – szczudła, które czynią ich krok mozolnym i niebezpiecznym, szczudła, z których nagle spadają".

„Nie byli starcami, lecz osiemnastolatkami przywiędłymi do ostatnich granic".

„Starość najpierw czyni nas istotami niezdolnymi do czynu, lecz nie do pragnień".

„Zmarszczki na czole byłyby niczym, gdyby nie istniało przy tym cierpienie serca".

„Nie widzimy własnej postaci, własnych lat, lecz każdy niczym lustro przeciwnie dostrzega postać innych".

„Postać, której starość przyczepiła ołowiane podeszwy".

„Po śmierci czas opuszcza ciało, a dręczące wspomnienia znikną, kiedy pożądanie ciała żyjącego przestanie być podsycane”.

„W krytycznym wieku, do którego się zbliżał – człowiek umie się zadowolić tym, że kocha dla przyjemności kochania, nie wymagając wzajemności”.

„Czas rozporządza ekspresowymi pociągami, które mkną ku starości”.

Niestety, już drugi raz wyszedłem z *Harry'ego Pottera*. Może wkurzają mnie i irytują polscy aktorzy w dubbingu. To jest takie angielskie, że przełożenie tego na polski plus głosy aktorów znad Wisły irytują mnie do potęgi.

Kiedyś wielka aktorka Irena Eichler grała rolę Elizy z *Pigmaliona* Shawa i chciała znaleźć odpowiednik języka cockneyów.

Kiedy mówiła do profesora Higginsa, że jest niewinna, brzmiało to tak:

– Nicem nie zrobiła, nicem... – jako cockney po polsku!

Pamiętała, jak przed wojną mówiły służące pochodzące ze wsi. Koszmar.

Wracam do domu, otwieram telewizor, a w *Panoramie* podają komunikat, ile to miliardów zarobiły *Harry Pottery*. Ja też dołożyłem im trochę, kupiłem dwa bilety: jeden ulgowy dla emeryta i drugi studencki dla osoby towarzyszącej.

Pod szkłem na biurku trzymam sentencję przepisaną z graffiti gdzieś w podziemnych przejściach w Warszawie:

„Serce nie chuj, dwa razy nie staje”.

Cytat z polskiej literatury.

„Duży blond anioł zdejmuje majtki i wydaje z siebie bramiński okrzyk wskakując na łóżko: Biada! Biada! Twój vigmam znów będzie w mojej joni!”.

Czy nie byłoby prościej powiedzieć: „Twój członek znów w mojej pochwie!” albo dosadniej: „Twój ch... w mojej pi...”.

Chociaż pamiętaj, że to nowe budownictwo. Nie deprawuj dzieci, które podsłuchują teraz za ścianą.

Przyjaciółka z Paryża stopniowo zapada na chorobę przebierania się. W pensjonacie szokuje barwnymi kolorami, raz pojawiła się w sukni jakby skomponowanej ze sztandarów PRL-u, czerwonych i biało-czerwonych. Jest przebrana od stóp do głowy. Na miejscowym targu zadziwia żółtymi paznokciami do czarnego stroju kowboja z Teksasu.

Smakuje nimi ogórki kiszone z beczki. Sprzedawca taktownie udaje, że tego nie zauważa. Co w Polsce jest rzadkością. Bo zwykle jest tak: – Ty, zobacz, jak ta k....a się przebrała!

Europeizujemy się! Gdy byłem po raz pierwszy w Londynie, największe zdziwienie prowincjusza z Warszawy budziło to, że nikt nikogo nie obserwuje i nie komentuje, udają, że nie widzą najbardziej wyzywającego przebierańca, dziwaka lub pijanego. *Live and let live*.

Ostatnio: *Live and let die*.

A swoją drogą uważam, że przyjaciółka stopniowo upodabnia się do dawno zmarłego sopockiego „Parasolnika". Dziwnego pana z parasolem. Też miał taką precyzję w kreowaniu zadziwiających zestawień kolorów, materii i dodatków w swych strojach (nie ubraniach, bo to jest już kostiumologia na najwyższym piętrze).

Złośliwy literat mówi, że w ten sposób przyjaciółka kreuje się sztucznie na kogoś innego.

– Nieeee! Na siebie! – protestuje znajoma. – A co? Mam śmierdzieć pod pachami i chodzić w szarej spódnicy, z poobgryzanymi paznokciami?

– Pani nie lubi siebie.

– Uwielbiam!

Ten sam literat pieprzy przy stoliku:

– Miłosz był słabym poetą, ale wielkim filozofem, Iwaszkiewicz wielkim poetą, ale głupim człowiekiem. Szekspir większym filozofem niż artystą. Dostałem brawa w Anglii za to stwierdzenie. A poza tym, wiecie państwo, że kiedyś, będąc we Francji, tańczyłem z Brigitte Bardot. Nic nadzwyczajnego.

Jedna Długowieczna:

„Młodych się wstydzę, starych się brzydzę".

Sekretarka odbiera mój telefon.

Przedstawiam się.

– Ach, jak to miło, że pan dzwoni! Poznaję! W jakiej sprawie chce się pan widzieć z dyrektorem? Zapiszę. Pana godność?

Postęp.

Za komuny dzwoni Dygat do księgowości:

– Dzień dobry, mówi Stanisław Dygat...

– No i co z tego, że Dygat?!

W telewizorze wróżka Sybilla czeka na telefon. Połączenie i rozmowa dwa złote trzydzieści za minutę.

– Pani Sybillo, dwie sprawy: pierwsza, jestem bardzo ciężko chora. Rak. Druga: mam dostać duży spadek po dziadkach. Co będzie pierwsze?

– Rak, zachłanna kurwo! – chciałoby się krzyknąć.

Było kiedyś *Z Kolbergiem po kraju*... Kto jeszcze pamięta taką audycję radiową? Propagowała polskość. Stara wieśniaczka śpiewała swoje prymitywne rymy, smętnie zawodząc. Estradowe szmirusy uwielbiały żarty z tej biednej kobiety.

Teraz „Skarby Polski" to młode dupy, pizdy, cycki, sutki, grube nogi, zgrabne nogi, usta, język, wygolona pacha, wygolona cipa... *Skarby Polski*! – tytuł nowego programu telewizyjnego z czerwonym znaczkiem tylko dla dorosłych...

Dobrze, że w nocy.

Kiedy śpisz.

„Nikt – ani rock star, ani żaden profesjonalny lekkoatleta, ani komputerowy miliarder, ani żaden geniusz – nie doszedł do czegoś sam".

Smutna historia. Christopher Landan, człowiek z IQ 195 (Einstein miał tylko 135), całe życie przepracował na farmie w środkowej Ameryce jako robotnik. W jego otoczeniu nie było nikogo, kto pomógłby mu skapitalizować wyjątkowe zdolności.

Wieczorem w pensjonacie nuda. Mimo że podobno duch ukazuje się na pobliskiej wieży. Wypatrują go pensjonariusze, wylegając tłumnie na dziedziniec. O laskach, na wózkach, oparci o kolegów...

Podejrzewam, że niektórzy z nich już dawno nie żyją, a to są tylko ich duchy, które powróciły tu po śmierci.

Idziemy tam, skąd dochodzi wesoła muzyka. Na wesele w remizie strażackiej.

Przy wejściu zatrzymuje nas brutalnie jakiś bramkarz.

– Dokąd? Jazda mi stąd!

Pokazuję na przyjaciółkę w czarnych spodniach kowbojskich, tatuażem na piersi, włosami w dwa kolory (fiolet i żółć) i z dziesięciocentymetrowymi paznokciami w kolorze zgniłej zieleni, mimo że ma sto lat.

– Córka przyjechała z Paryża i chce zobaczyć, jak się bawią Polacy na weselu w Bartoszewicach – informuję.

– A to prosimy.

Państwo młodzi fotografują się z moją rzekomą córką z Paryża. Pojawia się butelka wódki udekorowana białymi wstążkami i coca-colą. Pijemy symbolicznie za zdrowie młodej pary i przechodzimy do pokoju orkiestry, aby tam się posilić i napić porządnie.

Jem szynkę wędzoną na specjalnym drzewie, bardzo smakowitą, z prosiaka, który chodził tu przedwczoraj po podwórku. Córka wegetarianka odmawia spróbowania. Jest czosnek kiszony i kluski śląskie, mimo że to Mazowsze. Szef orkiestry podaje nam przepis, jak je zrobić i jak mięso trzymać w zalewie.

Na sali tańce. Dwóch mężczyzn w czarnych garniturach tańczy skocznie razem, trzymają w ręku po pół litra i popijają.

Trochę są z Breughla Młodszego albo... Starszego. Tylko tamci mieli na głowach donicowe wojłokowe wysokie szare czapy.

Po godzinie wychodzimy. Na podwórzu weselnym o mało co nie rozjeżdża nas pijany wariat w BMW coupé, który popisuje się przed dziewczynami.

W pensjonacie znów straszy mnich.

Mam coraz bardziej przeciwne zdanie na prawie wszystkie tematy. Oglądam koszmarny film – czytam w prasie, że wspaniały. Widzę, że ktoś ewidentnie kłamie – okazuje się, że mówi prawdę. Piszą, że zachwycająca, a to ponura zdzira, że dobry, szlachetny człowiek, a to łobuz i złodziej oraz oszust.

Pora umierać. Ktoś tu się diabelnie myli.

Ja?

Poznałem dzisiaj wszystkie departamenty szpitala na Wołoskiej. Łapię się na tym, że najlepiej czuję się wśród lekarzy badających moje często urojone choroby. Spędziłem tam bardzo miłe popołudnie, podejrzewając

atak ślepej kiszki. Dyskutując i rozpatrując wszystkie możliwości zachorowań. Najpierw radziłem różnym chorym w Izbie Ratunkowej. Zdjęcie gipsu z nogi teściowej, usunięcie szwów z oka pobitej przez męża alkoholika, oddałem mocz w toalecie dla niepełnosprawnych, pomagałem poszukać żyły do pobrania krwi siostrze dyżurnej, potem udałem się na USG jamy brzusznej i dyktowałem lekarce, co dokładnie tam się znajduje, bo miałem identyczne badanie przed tygodniem.

W oczekiwaniu na wyniki przespałem się smacznie na korytarzu przy toalecie. Następnie poznałem panią chirurg, która wypytywała mnie z całą szczerością, czy nie mam czasami stolca w postaci ołówka (!?). Zaprzeczyłem. Potem ze studentem medycyny, który dorabia sobie jako posługacz, udałem się na piąte piętro do urologa, gdy okazało się, że ślepa kiszka jest wykluczona. Tam lekarz specjalista zapisał mi lekarstwo, do którego ulotka poinformowała mnie, że po zażyciu jest niebezpieczeństwo natychmiastowego zgonu, ale tylko w pięciu procentach.

Przeżyłem.

Musiałem połknąć małą kamerę telewizyjną, aby lekarz mógł zobaczyć co mam w sercu. Nazywa się to przezprzełykowe USG. Dziwne przeżycie. Połknąłem z pewnym wysiłkiem. Na szczęście okazało się, że jest tam wszystko na swoim miejscu.

Kamerę po dwóch minutach zwróciłem... szpitalowi.

Zgodziłem się też na kardiowersję elektryczną, gdy kardiowersja farmaceutyczna nie dała rezultatów. Przyjąłem trzysta volt!

Rush hours o każdej porze. Po przejeździć przez miasto kładę się na krótki sen. Śnię niestety to, co mogłoby się zdarzyć, gdybym nie spał. Nie wiadomo, co jest prawdziwe. Więc śpiąc, jadę samochodem przez miasto, szukam parkingu, coś załatwiam, stoję w kolejce na poczcie, płacę mandat i tak dalej... nawet sen mi się nie opłaci.

Już mieliśmy wychodzić do znajomych, ale nagle usiadłem i zaczęliśmy oglądać stary film czarno-biały, klasyczną amerykańską komedię z Jackiem Bennettem i Bobem Hope'em.

Kiedyś przed laty w małym barze obok studia Universal w Los Angeles ktoś mi pokazał tych dwóch pijących kawę. Nie miałem pojęcia, że widzę dwóch gigantów amerykańskiego show-biznesu. Może właśnie mieli przerwę i kręcili ten skecz, o którym za chwilę opowiem.

Skecz.

Jak w tych starych dowcipach o artystach, co chcieli się zaangażować u dyrektora cyrku: lewitowali, pokazywali różne arcyrewelacyjne sztuczki, ale dyrektor był nieczuły... Tak i tu. Nie cyrk, ale agencja artystyczna. Jack Bennett i Bob Hope siedzą w poczekalni. Od szefa wychodzą coraz bardziej fantastyczni wykonawcy, ale bez angażu. Ci dwaj wchodzą, za biurkiem siedzi typowy Białystok. Kto pamięta główną postać z filmu *Producenci*, ten to wie.

– Nie mam nic do zaproponowania – mówi szef agencji.

– Jesteśmy słynnym duetem, on gra... ja tańczę z laską.

– Jak to idzie?

Zaczynają numer, powtarzają, bo za każdym razem laska wypada na ziemię.

– Nic nie mam dla duetu – mówi Białystok.

– Jesteśmy duetem od dziesięciu lat, nasza przyjaźń jest nierozerwalna, jesteśmy zgrani ze sobą, nie rozstajemy się nigdy.

– Mogę zaangażować najwyżej jednego.

– To ja to wezmę! – mówi natychmiast jeden z nich.

– Daję 50 dolarów za występ.

– Ja zgadzam się na 45.

– A ja na 30.

– Ja wystąpię za 20.

– Ja za 10.

– Ja nic nie wezmę! – krzyczy Bob Hope.

– Ja też nic – mówi Jack Bennett.

– Angażuję was.

Solidarność artystów. Taka sama na całym świecie.

Rozmawia dwóch w Nowym Jorku. Obaj – pochodzenie – Białystok.

– Co teraz robisz?

– Nic. Gram trochę w karty, gimnastykuję się, widuję kobiety...

– Przez okno?

Z tego samego filmu:

– Bardzo ładnie pani dziś wygląda. Z jakiego cyrku klown pomagał pani się umalować?

Poważniejsze i wzruszające.

– Największy nawet szmirus marzy, aby po występie obejmowali go nie tylko krewni i znajomi.

Ogłasza się facet w „New York Timesie”.

„Kochał zawsze tylko jedną kobietę. Prawnik. Miły, słodki, bardzo przystojny i elegancki, zdobywca z czarującym uśmiechem i prawdziwie czułym sercem. 47. 182 wzrostu, kilkujęzyczny, wykształcony na ekskluzywnych uniwersytetach, posiadłości nad morzem i na wsi w Unii Europejskiej. Z wyobraźnią – uwielbia bale i taniec, ale i spokój domowy, fantastycznie wygląda w tuxedo i jako clown w zabawie z dziećmi!”.

A ja co?!!!

Kurwa! Ani słodki, ani elegancki, nienawidzę dzieci, nie mam tuxedo ani posiadłości gdziekolwiek, sprzedałem dom i zamieniłem go na fundusze inwestycyjne, które ukradli mi natychmiast bankierzy z Wall Street swymi machlojkami.

Ogłoszenie obok.

„Kilka powodów, by się ożenić! Wybierz kobietę z *substance*... Delikatną, szczęśliwą multimilionerkę 60, 172, absolutnie prawdziwą kobietę z wnętrzem, lubiącą opiekować się mężczyzną z humorem i inteligencją, która cię zainspiruje na resztę twego życia. Urzęduje w swojej wspaniałej rezydencji, wielojęzyczna, radująca się kulturą i jej przejawami w najwytworniejszych towarzystwach. Podróże i sport to jej pasje. Całkowicie zdolna być u twego boku gdziekolwiek będziesz!”.

Na Ursynowie też?

Co to znaczy kobieta *z substance*?

Chyba Janda.

Kilka teatrów. Nie wiem, ale zamieszany jest w to Młody Stary Nowak. Bardzo interesujący festiwal w Warszawie. Zacząłem znów chodzić do polskich teatrów. *Balkon*, fabryka Lupy, Warlikowski w Operze, Jarzyna w Narodowym, Kleczewska i coś tam jeszcze.

Po kolei.

Najciekawszy Warlikowski. Chwyta się za najtrudniejsze. Śmierć i co dalej albo co przedtem... przedtem...

Inni o czym innym. Nie chce mi się pisać recenzji.

Jadę do Zakopanego na narty.

Próba założenia butów narciarskich. Założyłem.

Nie mogę zdjąć.

Zachwalają mi wódkę „Dzięgielówkę”. Ma właściwości lecznicze. Podpisany jest rabin. Można ją dostać tylko u Zegarmistrza przy Krupówkach.

Śni mi się święto Purim, gdzie upijam się w trupa, aby – jak mówią Żydzi – nie odróżniać wtedy przyjaciela od wroga. Nazajutrz po spożyciu nie mogę wstać.

Śpię do południa.

Wywiad Mazurka w „Dzienniku” z facetem znanym z telewizyjnego talk-show. Poruszył starą, zardzewiałą strunę.

Od lat obserwowałem w telewizji najazdy różnej maści cwaniaków. Zwykle działających jako *sfora*. Pod różnymi hasłami i sztandarami. Zwykle udawali ideowość, szlachetność i zaangażowanie w dobro ogólne, wszystko to w sosie odnowy, misyjności i naprawy Rzeczypospolitej. A potem równo jadą po apanażach, luksusowych samochodach, przekrętach i miejscach wygrzanych przez poprzedników. Ileż to mord przewinęło się na tych festiwalach w pierwszych rzędach, gdzie usłużni redaktorkowie pokazywali ich dziesiątki razy, jak się śmieją, bawią, wzruszają i klaszczą.

Pytanie: – Jak pan otrzymał miejsce na swoją audycję na antenie? W ramówce? Tamten wspomniał tylko mimochodem, że czytał jakiś artykuł jednego z nowej sfory telewizyjnej. I to tak wzruszyło nowych decydentów, że go natychmiast zatrudnili(!).

Redaktor tak zręczny w wyłapywaniu miękkiego podbrzusza rozmówcy i kopania go w jaja, nie zwraca na to uwagi. Jeden ze sfory?

Jakby powiedział wicepremier Pawlak: „gryzie teraz za niemieckie pieniądze”.

A wszystko to dotyczy tzw. pięknych życiorysów. Myślałem, że nie dożyję takiej powtórki z historii, ale niestety wszystko się powtarza. Znów słyszę: nie fachowiec, ale za to z *pięknym życiorysem*.

Fuck you!

Za komuny prezesem telewizji został facet, który biegał podczas okupacji do sąsiedniej wsi po bimber dla guru nowej sfory. Guru był wtedy Mieczysław Moczar, a chłopakiem prezesem... mniejsza z tym.

Koniec lata. Liście opadają w zastraszającym tempie. Za kilka dni będą suche konary. Już po sezonie, ale dla długowiecznych sezon jeszcze trochę potrwa. Kolejny raz przypominam sobie trzy okna w ponurym londyńskim szpitalu nad ranem. Coraz wyraźniej się wybarwiały, jak w laboratorium fotograficznym czarno-biały obraz wywoływanego zdjęcia.

P i e r w s z e okno z konarami drzewa i jeszcze z liśćmi targanymi podmuchami wiatru, które rozpaczliwie trzymają się drzewa, d r u g i e okno – konary, ale już tylko z resztką liści w rozpaczliwej walce z wiatrem, aby nie dać się oderwać od życia. I wreszcie okno t r z e c i e: same czarne konary drzewa na tle szarej ponurej płachty nieba, bez jednego listka.

Jeszcze jestem w pierwszym oknie.

Ale nieubłaganie zbliża się drugie... trzecie...

Dziś pogrzeb Gustawa. Długo stoimy przed kościołem w oczekiwaniu na przejście na miejsce wiecznego spoczynku.

Drugi wielki aktor polski zawsze się bał, że umrze pierwszy. Znana jest anegdota, jak wybierał z żoną miejsce na Cmentarzu Powązkowskim.

– A może tu byś się zgodził leżeć po zejściu? – pyta żona.

– Nie będę leżał obok tego chuja.

– A tu, Andrzeju? – wskazuje miejsce pod murem.

– Za blisko ulicy! Będą mnie rano budzić przejeżdżające tramwaje.

– A obok tego, co tu leży?

– Nie będę kładł się obok kogoś, kogo miałem całe życie za szmirusa.

– To już nie wiem – mówi żona – Tu nie, tam nie! Zostaje ci tylko w n i e b o w s t ą p i e n i e.

Ona pierwsza umarła, a mąż niedawno ożenił się z kobietą młodszą od swojej wnuczki.

Tak też bywa.

Konwicki po ślubie przyjaciela nagle zmarniał, chociaż zabawnie ich nowy związek skomentował: – Ostatecznie, jak się tak dobrze zastanowić, to różnica między młodymi, sześćdziesiąt lat, nie jest aż tak wielka.

Każdy człowiek ma żyć sto lat. Ale „wypadki” zabierają go zwykle wcześniej. Każda choroba jest takim samym „wypadkiem” jak zderzenie samochodu – patrz Geremek – rak, zawał... itp.

Stenka w Narodowym na *Maracie* wzywa publiczność, aby nie zgadzać się na śmierć.

Bardzo słusznie.

Długowieczny przestał być długowiecznym. Koniec. Gustaw długo walczył o życie, na końcu już bez przekonania, ale ciągle z humorem... Podobno usnął. Talmud mówi, że w chwili śmierci przestaje się być ironicznym.

Nie wiem, jak było z nim.

Brązowa, skromna trumna. Przemówienia. Kompania honorowa, ustalanie kolejności wieńców. Na wstążce na swoich kwiatach napisałem: „Od Jerzego G". Tak jakbym przyniósł tę wiązankę na urodziny, gdzie po przyjęciu państwo odczytują wizytówki. Z trudnością przedarłem się przez tłum, aby dołożyć się do sterty kwiatów od różnych ludzi. Przedtem długo stałem obok jakichś kobiet, które dyskutowały, czy obok żony przy grobie nieboszczyka stoi Trojanowska, czy Karel.

Co pewien czas padał deszcz, to znów świeciło słońce. Miałem i okulary słoneczne, i parasolkę. Wyglądałem na picera w tych okularach, ale ciągle płakałem – nie z powodu śmierci aktora, lecz z powodu chronicznego zapalenia spojówek. Chociaż nie jestem taki pewny, z jakiego powodu zalałem się łzami przy *Marszu Pogrzebowym*.

Zawsze mi przykro, że ateiści nie mogą śpiewać razem z nami „zmiłuj się nad nami"... itd. Chociaż mogą. Stoją, pochylając głowy, albo patrzą w niebo, które na końcu uroczystości lunęło deszczem, zawyło huraganowym wiatrem i wzburzyło się jakby z wściekłości, że wielki aktor umarł.

Po nim przy stoliku pustka. Mimo że pełno ludzi.

Sztuka się zdarza.

Wiatr wieje, gdzie chce.

Podobno to znaczy to samo.